

**Brian Haig**

# **Tajna sankcja**

*Secret Sanction*

**Przekład: Anna Kolyszko**

W armii uczysz się szacunku dla trzech wartości: obowiązku, honoru i ojczyzny. W Kosowie uczysz się, jak wybrać dwie spośród tych trzech.

## ROZDZIAŁ 1

Fort Bragg w sierpniu tak bardzo przypomina piekło, że w powietrzu czuje się zapach siarki. Wprawdzie nie jest to siarka, lecz dziewięćdziesiąt osiem procent wilgotności pomieszanej z pyłem Karoliny Północnej i wonią trzydziestu tysięcy rozgrzanych ciał mężczyzn i kobiet, którzy połowę życia spędzają, uganiając się za sobą po okolicznych lasach i obywając się bez prysznica.

Gdy tylko wyszedłem z samolotu, ogarnęła mnie przemożna chęć wykonania telefonu do moich szefów w Pentagonie i błagania ich, by ponownie rozważyli swoją decyzję. Choć zapewne nie na wiele by się to zdało.

Dźwignąłem więc brezentowy wór oraz pękata prawniczą teczkę i ruszyłem na postój taksówek. No tak, na moment zapomniałem, że to przecież baza lotnicza Pope'a przylegająca do Fort Bragg i tworząca z nim wspaniały wojskowy obiekt, w którym nie ma takich udogodnień jak postój taksówek. Że też wypadło mi to z głowy! Pomaszerowałem więc prosto do budki telefonicznej i zadzwoniłem do dyżurnego w dowództwie Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznodesantowej.

— Dowództwo, sierżant Mercor — rozległ się w słuchawce surowy głos.

— Tu major Sean Drummond — warknąłem, starając się wcielić w bezwzględne, odrażającego drania, co zwykle wychodziło mi całkiem nieźle.

— W czym mogę pomóc, sir?

— To chyba oczywiste. Dlaczego nie podstawiono mi dżipa?

— Nie wysyłamy dżipów po personel. Nawet po oficerów, sir.

— Hej, sierżancie, czy macie mnie za głupka?

Pozwoliłem, by pytanie na chwilę zawisło w powietrzu, po czym dodałem już przyjaźniej:

— Słuchajcie, generał, który pracuje na wyższym piętrze waszego budynku, obiecał, że dżip będzie na mnie czekał. Umówmy się, że jeśli dotrze tu w ciągu dwudziestu minut, to zapomnę o całej sprawie. Inaczej...

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Sir, ja... hm, cóż, to wbrew przepisom. Nikt mi nie powiedział, że ma na pana czekać dżip. Przysięgam.

Oczywiście, że nikt mu nie powiedział. Obaj o tym wiedzieliśmy.

— Słuchajcie, sierżancie. Sierżant Mercor, zgadza się? Jest wpół do jedenastej wieczorem i moja cierpliwość topnieje z każdą minutą.

— W porządku, majorze. Dyżurny kierowca będzie tam za dwadzieścia minut.

Usiadłem na worku i czekałem. Powinienem odczuwać wyrzuty sumienia z powodu tego kłamstwa, ale miałem na głowie inne rzeczy. Przede wszystkim byłem zmęczony. A poza tym w mojej kieszeni tkwiły rozkazy zlecające mi przeprowadzenie specjalnego dochodzenia. Już choćby z tego powodu należało mi się parę przywilejów.

Dokładnie po dwudziestu minutach podjechał dżipem szeregowy Rodriguez. Wrzuciłem z ulgą worek na tył pojazdu i wskoczyłem do środka.

— Dokąd? — spytał Rodriguez, patrząc przed siebie.

— Kwatery oficerów. Wiecie, gdzie to jest?

— Pewnie. Ma pan tu przydział, sir?

— Nie.

— Ma się pan zameldować?

— Nie.

— Jest pan przejazdem?

— Trochę cieplej.

— Aa, prawnik, zgadza się? — domyślił się Rodriguez, spoglądając na odznakę przy moim mundurze, zdradzającą, że jestem członkiem Wojskowego Biura Śledczego, JAG.

— Rodriguez, jest późno i czuję się zmęczony. Rozumiem, że masz chęć pogadać, ale nie jestem w nastroju. Po prostu jedźmy.

— Nie ma sprawy, sir. — Rodriguez gwizdał przez dwie minuty. — Widzę, że ma pan Odznakę Bojową Piechoty — nie wytrzymał.

Szeregowy Rodriguez, irytująco bystry facet, ustawił sobie lusterko wsteczne tak, by widzieć szczegóły mojego munduru.

— Kiedyś służyłem w piechocie — przyznałem.

— I walczył pan?

— Tak, ale tylko dlatego, że wysłali mnie tam, zanim zdążyłem się połapać, jak dać nogę.

— Bez urazy, sir, ale jak mężczyzna może zrezygnować ze służby oficera piechoty, by zostać jakimś tam prawnikiem?

— Poddano mnie testom. No i okazało się, że jestem za bystry na oficera piechoty. A wiecie, jak to jest w armii. Wszystko musi grać. Zasada to zasada. Macie jeszcze jakieś pytania?

— Nie, sir. Tylko parę. Co pan tu robi?

— Jestem przejazdem. W drodze do Europy.

— Czy przypadkiem nie do... hm, Bośni?

— Właśnie tam. Mam złapać C-130, który odlatuje z Pope Field o siódmej rano i dlatego muszę tu przenocować.

Nie było to całkiem zgodne z prawdą, ponieważ o moim odlocie do Bośni miała zdecydować rozmowa z czterogwiazdkowym generałem o nazwisku Partridge, z którym byłem umówiony wcześniej rano. Szeregowy Rodriguez nie musiał jednak tego wiedzieć. W zasadzie nikt poza generałem, mną i kilkoma jeszcze osobami w Waszyngtonie nie musiał tego wiedzieć.

— KO są przed nami — poinformował szeregowy Rodriguez.

— Dzięki — odparłem, gdy właśnie parkowaliśmy przed kwaterami oficerskimi.

Dźwignąłem worek, zameldowałem się i poszedłem do pokoju. Po minucie leżałem rozebrany pod kołdrą i zasypiałem.

Gdy zadzwonił telefon przy moim łóżku, nie mogłem uwierzyć, że minęło już pięć godzin. Dyżurny powiedział, iż wóz generała Partridge'a czeka na mnie na parking. W mgnieniu oka wzięłem prysznic i ogoliłem się. Potem wyrzuciłem wszystko z worka, żeby znaleźć połowy mundur i buty.

Dojazd do Specjalnej Centrali Wojskowej Johna F. Kennedy'ego, w której mieściło się między innymi Dowództwo Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych, zajął nam pół godziny.

Przed biurem Partridge'a czekał na mnie major o ponurej twarzy. Kazał mi zaczekać. Po dwudziestu minutach drzwi do gabinetu Partridge'a otworzyły się. Podeszedłem szybko do biurka generała. Stałem, żwawo zaszalutowałem i przedstawiłem się w ten dziwny, charakterystyczny dla wojskowych sposób.

— Major Drummond melduje się na rozkaz, sir.

Generał podniósł głowę znad papierów, skinął nią lekko, wziął do ust papierosa i ze spokojem go zapalił. Prawą rękę trzymałem nadal przy czole, co wyglądało dość idiotycznie.

— Proszę opuścić tę rękę — mruknął generał.

Zaciągnął się papierosem i oparł wygodnie na krześle. Pokój wypełniony był dymem.

— Jest pan zadowolony z tego zadania? — zapytał.

— Nie, sir.

— Przyjrzał się już pan tej sprawie?

— Trochę, sir.

Znów zaciągnął się głęboko. Miał wąskie wargi i pociągłą twarz. Był chudy i jakby wypłowiały. Sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego ciała i wszelkich emocji.

— Drummond, od czasu do czasu zdarza się proces wojskowy, który przykuwa uwagę całej Ameryki. Gdy byłem porucznikiem, był to sąd wojenny w sprawie My Lai. Potem była sprawa Tailhook, którą marynarka spartaczyła w sposób niewybaczalny. Lotnictwo miało swoją historię z Kelly Flynn. A teraz nadeszła pańska kolej. Jak pan to zawali, to przyszłe pokolenia oficerów JAG będą się zastanawiały, jak ten Drummond mógł się zbliżyć do tego stopnia. Pomyślał pan o tym?

— Przeszło mi to przez myśl, generale.

— Jeśli pan zdecyduje, że nie ma podstaw do procesu, oskarżą pana o tuszowanie sprawy. Zdecyduje pan, że są wystarczające podstawy, to będziemy mieli niezły bal w sądzie na oczach całego świata. — Generał przerwał i przez chwilę uważnie mi się przyglądał. — Wie pan, dlaczego wybraliśmy właśnie pana?

— Mam pewne podejrzenia — odparłem ostrożnie.

Uniósł trzy palce i zaczął wyliczać.

— Po pierwsze, stwierdziliśmy, że skoro służył pan w piechocie i do tego otarł się o prawdziwą wojnę, to lepiej pan zrozumie tych chłopców niż przeciętny świeżo upieczony wojskowy prawnik. Po drugie, pana szef zapewnił mnie o pana błyskotliwym umyśle i niezależności sądów. I w końcu, ponieważ znałem pana ojca i służyłem pod nim. Szczerze go nienawidziłem... ale tak się składa, że był najlepszym dowódcą, jakiego kiedykolwiek znałem. Jeżeli odziedziczył pan choć trochę jego genów, to istnieje szansa, że pan także może być dobry jak cholera.

— To miło z pana strony, sir. Dziękuję bardzo.

Partridge ponownie zaciągnął się głęboko papierosem.

— Słuchajcie, Drummond. Stąпам po lotnych piaskach. Odpowiadam za Centrum Dowodzenia Operacji Specjalnych i dlatego ponoszę odpowiedzialność za tych ludzi i za to, co robią. Kiedy więc zakończy pan swoje dochodzenie, przedstawi mi pan wniosek, czy ma być proces, czy nie. A ja podejmę ostateczną decyzję.

— Tak właśnie stanowią przepisy, sir.

— A obaj wiemy, że jeśli nie zachowam neutralności, to natychmiast zostanę oskarżony o wywieranie presji na przebieg dochodzenia. Wtedy zaś nasza sytuacja nie będzie wesoła. Zaaranżowałem pański przyjazd tutaj po to — powiedział, wskazując na maleńki magnetofon w rogu biurka — by móc zadać panu dwa pytania.

— Niech pan strzela, sir.

— Czy uważa pan, że ja lub ktoś inny z pana przełożonych jest uprzedzony do tej sprawy lub że którykolwiek z nas próbował wywierać jakąś presję przed rozpoczęciem przez pana dochodzenia?

— Nie i jeszcze raz nie, sir.

— A więc możemy uznać naszą rozmowę za zakończoną — oznajmił, wyłączając magnetofon.

Właśnie podnosiłem prawą dłoń, by zaszalować, gdy wąskie usta Partridge'a wykrzywił podstępny uśmiezek.

— A teraz, Drummond, pora na właściwą odprawę. Ta sprawa jest dla armii kłopotliwa. Kłopoty zaś mogą być różnego rodzaju. Na przykład, żołnierze dopuszczają się jakiegoś nikczemnego czynu, a społeczeństwo zastanawia się, co też ta barbarzyńska armia zrobiła z biedakami, że przeobrazili się w takie monstra. Kiedy indziej armia jest oskarżana o tuszowanie spraw. I wreszcie, są sytuacje powszechnie uznane za zbyt delikatne, by taka instytucja jak armia mogła je rozwiązać.

— W pełni się z tym zgadzam, sir.

Patrząc mi prosto w oczy, Partridge powiedział:

— Tym razem pan będzie musiał zdecydować, jakiego rodzaju jest nasz kłopot. I niech pan nie będzie na tyle naiwny, by sądzić, że uda się to panu rozwikłać. Rozumiemy się?

Rozumiałem, do czego zmierzał, lecz byłem na tyle naiwny i dostatecznie arogancki, by wierzyć, że poradzę sobie z tą sprawą i wyjdę z tego wszystkiego z podniesionym czołem.

— Rozumiem bardzo dobrze, generale.

— Mylicie się, Drummond. Tylko wam się wydaje, że rozumiecie.

— Pan wybaczy, generale, ale czy mógłby pan się wyrazić jaśniej?

Generał zamrugał parę razy i od razu skojarzył mi się z jaszczurem, który obserwuje muchę i zastanawia się, czy wyciągnąć już po nią swój długi język i sprawić sobie ucztę. Następnie uśmiechnął się i skłamałbym, gdybym określił ten uśmiech jako przyjazny.

— No dobra, Drummond, jesteście zdani tylko na siebie.

Cóż, generał sądził zapewne, że zrobi na mnie wrażenie tym teatralnym gestem, lecz sprawa wyglądała tak, że był piątym z kolei dowódcą wysokiej rangi, który w ciągu ostatnich trzech dni spotykał się ze mną, przynosił miniaturowy magnetofon i próbował dawać wskazówki, udostępniając nieco oficjalnych i tajnych informacji.

W dawnych czasach żołnierz skazany na śmierć musiał przemaszerować wzdłuż szeregu swoich kompanów, a w drodze na szafot towarzyszyło mu miarowe bicie bębna. Współczesna wersja tego marszu śmierci — jak się właśnie dowadywałem — polegała na wysłuchiwanie dętych wykładów wygłaszanych zza wielkich biurk i przerywanych odgłosem włączania i wyłączenia magnetofonu.

\* \* \*

Kiedy krzepki sierżant z obsługi technicznej samolotu wpuścił mnie na pokład, zauważyłem z tyłu, w czeluściach kadłuba C-130, dwoje kapitanów: Jamesa Delberta i Lisę Morrow. Lecz pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, było to, że C-130, typowy samolot transportowy, wypełniony był niemal po dach zielonymi pudełkami. Co gorsza, pudełka zawierały produkty higieny kobiecej.

Drugą rzeczą, jaką dostrzegłem, były skwaszone miny Delberta i Morrow. Nie miałem jeszcze pewności, czy sfrustrował ich mój widok, czy też fakt, że kazano im rzucić wszystko i stawić się na pokładzie samolotu na spotkanie ze mną.

Nie podano im żadnego powodu, lecz obojgu nie brakowało bystrości i pewnie mieli jakieś własne przypuszczenia. Od trzech dni ta sprawa nie schodziła z nagłówków gazet i ekranów telewizyjnych. Nietrudno było wydedukować, że fakt zgromadzenia na pokładzie samolotu lecącego do Europy najlepszych prawników w armii amerykańskiej miał coś wspólnego z masakrą. Na mój widok wstali, podczas gdy ja przepychałem się między wielkimi kartonami opatrzonymi napisem Podpaski.

— Delbert, Morrow, cieszę się, że was widzę — powiedziałem, wyciągając dłoń i obdarzając ich najbardziej uroczym z mojego zestawu uśmiechów.

— Ja też się cieszę — odparł Delbert, przystojny żołnierz, odwzajemniając uśmiech i potrząsając zapamiętałe moją dłonią.

— A ja nie — mruknęła Lisa Morrow.

— Nie cieszy się pani, że się tu znalazła? — spytałem.

— Ani trochę. Właśnie prowadziłam proces o kradzież broni. Odciągnął mnie pan od mojego klienta.

W tym momencie pojąłem, dlaczego uważano tę kobietę za takiego świetnego adwokata. Traktowała swoją pracę całkiem serio. Po ośmiu latach procesów nadal podchodziła do każdej sprawy bardzo osobiście.

— A no właśnie — odparłem. — Odciągnąłem panią od procesu, który dotyczył jednego żołnierza, po to, by zajęła się pani największą i najważniejszą od trzydziestu lub czterdziestu lat sprawą w naszej armii.

Generał odpowiedzialny w armii za Wojskowe Biuro Śledcze powiedział mi, że mogę sobie dobrać do współpracy dowolną liczbę najlepszych prawników. Ja natomiast wiedziałem, że im więcej ich się pojawi, tym mniejsze będą szanse na wyjaśnienie czegokolwiek. Dlatego też zażądałem jedynie prokuratora i obrońcy.

Kierowało mną przekonanie, że na każdą sprawę można spojrzeć z dwóch punktów widzenia — winnego i niewinnego. Prokuratorzy to rozpuszczeni pasierbowie wymiaru sprawiedliwości. Sami decydują, czy podejmą się prowadzenia danej sprawy, czy nie. Jeśli fakty okażą się niesprzyjające lub jeśli dopatrzą się pogwałcenia praw oskarżonego, po prostu rezygnują. Obrońcy natomiast obarczeni są nieszczęściem na wieczność. Zwykle bywają powoływani już po tym, jak prokurator zadecyduje, że ma co najmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans na skazanie oskarżonego. Jest mnóstwo prokuratorów, którzy mają za sobą wyłącznie wygrane sprawy, i jedynie garstka obrońców, mogących się pochwalić wygraną w połowie swoich procesów.

Lisa Morrow stanowiła wyjątek. Po ośmiu latach pracy w zawodzie obrońcy wygrała sześćdziesiąt dziewięć procent swoich spraw. Nigdy jednak nie broniła kogoś, kto by pogwałcił zasadę konwencji genewskiej.

James Delbert doprowadził do skazania w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach spraw, co było wynikiem imponującym, nawet jeśli wziąć pod uwagę uprzywilejowaną sytuację prokuratorów.

Nigdy wcześniej ich nie spotkałem. Byłem w korzystniejszej od nich sytuacji, ponieważ poprosiłem generała brygady Clappera nie o zwykłych prawników, lecz takich, którzy mieli najwięcej wygranych spraw w całej armii. Wybrał tych dwoje i przekazał mi ich akta. Muszę przyznać, że znacznie więcej czasu poświęciłem studiowaniu akt Morrow niż Delberta. Było tam jej zdjęcie. Stała w zielonym mundurze w postawie na baczność.

Wystarczył mi rzut oka na tę fotkę, by zrozumieć, dlaczego tyle ław przysięgłych i tylu sędziów uległo jej urokowi. Nie określiłbym jej twarzy jako pięknej, choć zapewne taka była. Miała za to najbardziej współczujące spojrzenie, jakie w życiu widziałem. Muszę tu dodać, że współczucie nie jest uczuciem szczególnie popularnym w armii, chyba że maluje się na pięknej kobiecej twarzy. Wtedy wyjątki się zdarzają.

Za to Delbert wyglądał na żołnierza w każdym calu. Szczupły, wysportowany, przystojny, z ciemnymi, krótko przyciętymi włosami, miał twarz o ostrych rysach i zaczepne spojrzenie. Chętnie bym sobie uciął z nimi dłuższą pogawędkę, ale ryk silników w tylnej części C-130 zagłuszał każde słowo. Poza tym loty transatlantyckie mają to do siebie, że zapewniają człowiekowi mnóstwo czasu na czytanie. Chociaż zapewniłem generała Partridge'a, iż zapoznałem się z tą sprawą, to w gruncie rzeczy w ciągu ostatnich dwóch dni biegałem jedynie na spotkania z różnymi ważnymi figurami naszej armii, z bardzo nerwowym adiutantem z ochrony osobistej prezydenta i masą innych, tak że z tego wszystkiego nie miałem nawet kiedy kichnąć.

Wiedziałem nieco więcej, niż zechcieli mi wyjawić moi rozmówcy z Waszyngtonu, lecz co ciekawe, wszyscy oni wydawali się przekonani, że tych dziewięciu nie zrobiło nic złego. Nie wyrazili tego wprost, ale ja jestem dobrym słuchaczem i wyczuwam takie niuanse na kilometr.

Moja teczka była wypchana artykułami prasowymi oraz długim i zawiłym oświadczeniem podpułkownika Willa Smothersa, bezpośredniego dowódcy oskarżonych.

Oto jakie były fakty: oddział specjalny A, złożony z dziewięciu członków Dziesiątej Jednostki Sił Specjalnych, został przydzielony do szkolenia Albańczyków z Kosowa, wypędzonych stamtąd przez serbską milicję. Akcja ta stanowiła część kampanii na rzecz

utworzenia Wyzwoleńczej Armii Kosowa. Oddział A szkolił rekrutów przez siedem lub osiem tygodni, a potem otrzymał tajny rozkaz eskortowania ich do Kosowa. Tydzień później kosowski oddział zaatakował jedną z wiosek i wszyscy jego członkowie polegli. Oddział A — wbrew rozkazom lub rzekomo wbrew rozkazom — wziął odwet za ich śmierć. Urządzili zasadzkę na trasie, którą przemieszczały się serbskie posiłki, i przypuścili huraganowy atak na serbski oddział liczący trzydziestu pięciu ludzi. Następny serbski oddział odkrył ciała rodaków i mnóstwo amerykańskiej amunicji. Serbowie poinformowali swoje dowództwo i po kilku wielce dramatycznych konferencjach prasowych międzynarodowe media zostały przekonane, że oddziały amerykańskie dopuściły się strasznych rzeczy.

Armia amerykańska aresztowała wszystkich żołnierzy oddziału A, których trzymano obecnie w bazie lotniczej w północnych Włoszech.

No i w tym momencie sprawa staje się prawdziwie interesująca, wręcz emocjonująca. Formalnie stan wojny nie został ogłoszony. Stany Zjednoczone i NATO bombardowały Serbów w desperackiej próbie zmuszenia ich do zmiany stanowiska w sprawie Kosowa. Jednak idę o zakład, że dla bombardowanych ludzi było to najprawdziwszą wojną. Przepisy konwencji genewskiej obejmują stan wojny. Jakie więc zasady obowiązywały tych żołnierzy? Niektórzy prawnicy uwielbiają takie pytania. Inni ich nie znoszą. Ja na przykład należę do tej drugiej kategorii. Mój sposób myślenia jest dziecinnie prosty. Czarny i biały to moje ulubione kolory. Szary nie pasuje do mojej mentalności.

Inną zastanawiającą rzeczą był fakt, iż nikt z oddziału serbskiego nie przeżył. Trzydziestu pięciu ludzi i nikt nie ocalał. Każdy, kto choć trochę orientuje się w sztuce wojennej, wie, że na jednego zabitego w walce przypada zwykle jeden lub dwóch rannych. Dlatego właśnie ten przypadek rodził tak wiele wątpliwości.

Nawet waszyngtońscy mędrcy z różnych talk show wyrażali swoje oburzenie. Wszyscy zastanawiali się, jakie to rozkazy wydano oddziałowi A? Ilekroć zadawano to pytanie rzecznikowi Pentagonu lub też pytano, jak daleko mogli się posunąć w swoich działaniach członkowie oddziału, stawał się rozczulająco bezradny w swoich odpowiedziach. Przyznawał jedynie, że misja nazywała się Anioł Stróż i miała w zasadzie charakter humanitarny.

Przeczytałem dokumenty i przekazałem je Delbertowi. Ten po zapoznaniu się z nimi podał je Morrow. Stawaliśmy się dobrze zgranym zespołem. Kiedy samolot podchodził do lądowania w bazie sił powietrznych w Tuzli, całkiem spory stosik porządnie ułożonych papierów piętrzył się na siedzeniu obok kapitan Morrow, a doborowa ekipa wojskowych prawników chrapała na trzy głosy.

\* \* \*

Tym razem zapewniono nam transport, a dokładnie dwa dżipy, z tym że w jednym z nich rozsiadł się już generał brygady w stroju polowym i zgrabnym zielonym berecie na czubku głowy.

Miał ponad metr osiemdziesiąt i rozpoznawał go każdy, kto nosił mundur armii amerykańskiej. Najlepszy student Akademii West Point, stypendysta Rhodesa i najmłodszy generał brygady, nazywał się Charles „Chuck” Murphy. Był cudownym dzieckiem armii Stanów Zjednoczonych. Twarz miał teraz zachmurzoną i napiętą, ponieważ oddział A, którym bezpośrednio dowodził, został tymczasowo aresztowany, co oznaczało, że jego błyskotliwa kariera była poważnie zagrożona.

Zasalutowałem mu w ten sam sposób co generałowi Partridge’owi, jego czterogwiazdkowemu szefowi.

— Major Drummond, sir.

Odpowiedział identycznym pozdrowieniem.

— Witamy w Bośni, Drummond. Ilu macie ze sobą prawników?



— Jest nas troje, sir.

— W porządku, wrzucicie bagaże do drugiego łazika i jedźcie za mną.

Wykonaliśmy polecenie i trzydzieści sekund później opuszczaliśmy teren lotniska. Jechaliśmy około dwóch kilometrów, mijając wielkie namioty rozstawione na betonowych płytach, olbrzymie metalowe kontenery i drewniane hangary z prefabrykatów. Baza w Tuzli służyła jako centrum zaopatrzeniowe i operacyjne podczas działań w Bośni. Gdy sytuacja w Kosowie uległa zaostreniu, postanowiono użyć jej w tym samym celu. Jeśli wojskowi są w czymś dobrzy, to właśnie w budowaniu z niczego całkiem sporych miast. Tuzla była tego dobrym przykładem.

Wreszcie stanęliśmy obok dwupiętrowego budynku, przed którym powiewały dwie flagi. W środku pełno było spieszących się dokądś żołnierzy.

Zaprowadzono nas prosto na tyły budynku do pokoju z wielkim stołem konferencyjnym. Generał Murphy kazał nam usiąść, więc usiedliśmy.

Przyglądał się uważnie naszym twarzom i pewnie obmyślał strategię postępowania z nami. Przyjąć postawę przyjacielską czy chłodną? Bezpośrednią czy usztywnioną? Tak czy inaczej, jego przyszłość mogła teraz w dużej mierze zależeć od nas. W końcu twarz generała rozjaśnił szeroki, rozbrajający uśmiech.

— Cóż, nie powiem, by wasz widok napawał mnie szczęściem, ale witajcie.

Był to zaiste pomysłowy kompromis.

— Dziękujemy, generale — odpowiedziałem za wszystkich.

— Kazano mi zapewnić wam wszelką pomoc. Każdy dostanie osobny namiot. Jeden z budynków został opróżniony i będzie do waszej dyspozycji. Piątka pracowników sądowych przyjechała wczoraj wieczorem z Heidelbergu i właśnie przygotowują dla was pomieszczenia do pracy. Co jeszcze mógłbym teraz dla was zrobić?

— Nic mi nie przychodzi do głowy — odparłem. — Ale jeśli przyjdzie, to na pewno skontaktuję się z panem.

Było to przemyślane posunięcie, gdyż podjąłem już decyzję, jak mają wyglądać nasze kontakty. Przyjacielskie nie wchodziły w grę.

Lekko zacisnął wargi. Spojrzał na mnie uważnie, oceniając sytuację, po czym wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je i wpuścił do środka jakiegoś podpułkownika; wysokiego, szczupłego i dość przystojnego, w małym zielonym bereciku na czubku głowy, podobnie jak jego szef.

— Przedstawiam państwu podpułkownika Willa Smothersa, dowódcę Pierwszego Batalionu Dziesiątej Jednostki Sił Specjalnych. Will będzie pracował z wami na co dzień — oznajmił generał Murphy.

Chciał przez to powiedzieć, że na jego usługi nie ma co liczyć. Bardzo zręczne posunięcie, które omal mu się nie powiodło.

— Przepraszam, generale, ale nie mogę tego zaakceptować. Podpułkownik Smothers jako dowódca batalionu, w którym służył oddział A, może być pozwany w tej sprawie. Proszę o innego oficera łącznikowego.

Tu należałoby wyjaśnić, że prawnicy wojskowi nie cieszą się zbyt wielkim szacunkiem wśród prawdziwych żołnierzy, a zwłaszcza Zielonych Beretów. Wojna to sprawa żołnierzy, a prawnicy dużo mówią, natomiast nie potrafią dobrze strzelać, zatem dla reszty wojska są niepotrzebnym dodatkiem, nawet złem koniecznym. A już z całą pewnością nie są postrzegani jako część wojskowej społeczności.

Przystojną, szeroką twarz Murphy'ego wykrzywił afektowany grymas.

— Sądzi pan, że to konieczne? — zapytał generał.

— Z prawnego punktu widzenia absolutnie konieczne.

— A więc, wyznaczę kogoś innego.

— Dziękuję.

— Bardzo proszę — odrzekł Murphy, lecz nie zabrzmiało to szczerze.

Zresztą wypowiedział te słowa już odwrócony i w połowie drogi do drzwi.

Moi koledzy prawnicy wyglądali na nieco zaszokowanych tą potyczką słowną, ale nie była to pora ani miejsce na wyjaśnienia. Wstaliśmy, wyszliśmy z budynku i po krótkiej przejażdżce dżipem wysiedliśmy przed innym drewnianym barakiem.

W środku uwijało się pięć osób. Montowały nasze stanowiska komputerowe i roznosiły pudła z papierem do drukowania prawniczych dokumentów, które ustawiały we wszystkich czterech pomieszczeniach stanowiących wnętrze budynku.

Kobieta, której naszywki na mundurze wskazywały siódmy stopień specjalizacji, w jej dziedzinie bardzo wysoki, na nasz widok odstawiała dwa pudła papieru i szybko podeszła, by nas przywitać.

Nazywała się Imelda Pepperfield, co brzmiało nieco dziwnie w zestawieniu z jej osobą — ciemnoskórej pani podoficer, o niskiej i krępej posturze, oczach zezujących zza okularów w złotej metalowej oprawce — która z miejsca nie pozostawiła nam najmniejszych wątpliwości, kto tu rządzi.

— Nie blokujcie przejścia tymi płóciennymi worami. Trzymajcie je w waszym biurze albo wrzucicie do dżipa. Nie mogą plątać mi się pod nogami — powiedziała, wymachując palcem.

— Nam również bardzo miło panią poznać — odparłem. — Może trudno w to uwierzyć, lecz to ja mam odpowiadać za prowadzenie całego dochodzenia.

Natychmiast wycelowała palec w moją twarz:

— Nic podobnego! Pan tylko odpowiada za stronę prawną, ja natomiast odpowiadam za cały zespół dochodzeniowy, za ten budynek i całą robotę, która tu będzie odchodzić. I niech nikt z was o tym nie zapomina.

— To raczej niech pani o tym zapomni — odparłem. — A czy tak zupełnie przypadkiem nie znajdzie się tutaj jakieś miejsce, gdzie troje całkiem bezużytecznych oficerów mogłoby usiąść? — spytałem.

Zauważyłem, że dolne szczęki Delberta i Morrow opadły dziwnie nisko i stwierdziłem, że moim kapitanom należy się jakieś wyjaśnienie. Skinąłem ręką, by poszli za mną. Pepperfield uznała, że jej ten gest również dotyczy, i weszła za nami do jednego z pomieszczeń. Stało w nim biurko, a przed nim pięć krzeseł. Usiedliśmy, ja oczywiście za biurkiem. Ranga musi mieć swoje przywileje.

— Imeldo — odezwałem się. — Przedstawiam pani kapitana Jamesa Delberta i kapitan Lisę Morrow.

Posłała im ostre spojrzenie. Ja natomiast zwróciłem się do nich:

— W ostatnich latach pracowałem z Imeldą już wiele razy. Jest faktycznie najlepsza. Trzyma całość spraw silną ręką i wymaga, żeby rano wszyscy byli w pracy punkt szósta. Dopilnuje, byśmy byli najedzeni, wykapani, napojeni kawą i odstawieni do łóżek przed północą. Jej jedynym warunkiem jest to, żebyśmy padali na twarz z przepracowania i wypełniali wszystkie jej polecenia.

Imelda poprawiła okulary.

— Dokładnie tak — przytaknęła, po czym wstała i pewnym krokiem wymaszerowała z pokoju.

Kapitan Delbert patrzył na mnie jak na kogoś, kto właśnie postradał zmysły. Nie odpowiada się po grubiańsku generałom, chyląc jednocześnie czoło przed sierżantami. A co do wyrazu malującego się na pięknej twarzy Morrow, no cóż, jako doświadczony obrońca pani kapitan zdążyła się już przyzwyczaić do przebywania wśród różnego rodzaju kanalii.

Stwierdziłem, że skoro mamy już swój własny kąt do pracy, powinniśmy się lepiej poznać.

Odchyliłem się na krześle do tyłu, dłonie założyłem za głowę, a nogi oparłem na biurku.

— Gratuluję państwu. Zostaliście wybrani, by tworzyć historię prawa. Bo cóż my tu mamy? Dziewięciu porządnych amerykańskich żołnierzy, oskarżonych o zamordowanie

trzydziestu pięciu osób. Czy zrobili to wbrew rozkazom? Wręcz odwrotnie. Ich dowódca w randze kapitana miał do pomocy starszego chorążego. Resztę stanowili podoficerowie. To nie była grupa młodzików, lecz zespół zawodowców. Większość Amerykanów chce wierzyć, że przydarzył się tragiczny błąd, że zrobili to niedoświadczeni, przestraszeni żołnierze, którzy załamali się w obliczu trudnej sytuacji. Ale tak nie jest. Mamy tu bowiem do czynienia z masową zbrodnią.

— Mówi pan tak, jakby już było pewne, że to zrobili — zjeżyła się Morrow, instynktownie przybierając pozycję obrońcy.

— Bo zrobili — poprawił ją łagodnie Delbert.

— Wszystko wskazuje na to, że zrobili — skorygowałem ich oboje.

— Dlaczego wybrano nas? — zapytała logicznie Morrow.

— Cóż, to interesujące pytanie. Mnie wybrano, ponieważ jestem dobry w tym co robię, a jednocześnie niezbyt pasuję do systemu, jak już może zdążyliście zauważyć. Założę się, że ci tam na górze powiedzieli: Ejże, pošlijmy tego Drummonda. Jak nawet coś mu się stanie, to niewielka strata.

— Ale dlaczego nas? — podtrzymał pytanie Delbert. Najwyraźniej uważał, że ten dorodny kawał ciała wciśnięty w jego polowe buty na pewno nie był na straty.

— No cóż, Delbert, pana wybrano, bo podobno jest pan najlepszym prokuratorem w armii. Kapitan Morrow natomiast najlepszym obrońcą. Coś w rodzaju zasady yin i yang.

— Mnóstwo jest dobrych obrońców — wtrąciła Morrow, co było niewątpliwie prawdą i nasuwało podejrzenia, iż to jej płeć i wygląd mogły mieć wpływ na ten wybór.

— No dobra. Należy się wam trochę wyjaśnić. Pomijając liczbę wygranych spraw, zajęliście drugie i trzecie miejsce w konkursie ocen wystawionych w Szkole JAG. Pułkownik Winston, który uczył was oboje, twierdzi, że w całej swojej karierze nie spotkał zdolniejszych od was ludzi. Oczywiście poza człowiekiem, który zajął pierwsze miejsce.

— Czyli panem? — domyśliła się Morrow.

Wzruszyłem ramionami i wykrzywiłem twarz w grymasie, który miał wzbudzić w nich odpowiedni respekt. Ponieważ nie, to nie byłem ja. Daleko mi było do tego. Ale po co zrażać swoją drużynę jeszcze przed rozpoczęciem akcji? A poza tym wszyscy prawnicy są tacy sami — wiecznie ze sobą rywalizują. Delbert ukończył Uniwersytet Yale, a potem jeszcze Wydział Prawa Yale. Morrow studiowała na Uniwersytecie Wirginia, a potem na fakultecie prawa w Harvardzie.

Teraz rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę Delberta i lekko zakasłała, zanim zdecydowała się spytać:

— A czy przypadkiem nie wie pan, które z nas zajęło drugie miejsce?

A nie mówiłem?

— Powinienem powiedzieć wam o jeszcze jednej rzeczy — dodałem, oni zaś poruszyli się nerwowo, ponieważ naprawdę chcieli wiedzieć, kto zdobył drugą lokatę. — Otaczają nas tu wrogowie. Ci wszyscy wojskowi, którzy się tu kręcą, noszą mundury takie jak my, ale poza tym nic nas nie łączy. Nie dajcie się nabrać na ich uprzejmość. Oni nas nie lubią. Ta dziewiątka w więzieniu to ich bracia. My jesteśmy ci obcy, którzy chcą ich osądzić i skazać. A poza tym — może tu być więcej osób wmieszanych w tę sprawę.

— Chyba pan przesadza — zaprotestowała Morrow.

— Raczej nie. Są w tej bazie ludzie, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żebyśmy zabłądzili w lesie i dali im okazję do wpakowania nam kulki w tył głowy.

Morrow patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

— Chcę tylko powiedzieć, że możemy tu liczyć wyłącznie na siebie. Nie możecie ufać nikomu poza naszym wąskim gronem, więc proszę się tego trzymać. Mamy dwadzieścia jeden dni na wykrycie tego, co się wydarzyło. A najprawdopodobniej nie było to nic rozślawiającego dobre imię armii amerykańskiej.

## ROZDZIAŁ 2

Spędziłem w armii czternaście lat. Pierwsze pięć w piechocie, potem trzy lata w szkole prawniczej, sześć miesięcy w Szkole JAG, a resztę na praktykowaniu prawa wojskowego. Oskarżałem, broniłem i w trakcie tego wyrobiłem sobie stopniowo pogląd, że najlepszym miejscem do rozpoczęcia dochodzenia w sprawie o morderstwo jest kostnica.

Przed wyjazdem z Waszyngtonu powiedziałem moim zleceniodawcom, że najpierw odwiedzimy kostnicę na przedmieściach Belgradu, gdzie przechowywano ciała zabitych. Problem polegał na tym, iż był to teren Serbii, a my nadal zrzucaliśmy sporo metalowych pojemników z materiałami wybuchowymi na wsie i miasta tego kraju. Wynikały z tego dość oczywiste komplikacje.

Jeszcze w Waszyngtonie odbyłem spotkanie z dwoma sztywniakami ze służb zagranicznych, którzy pouczali mnie niczym jakiegoś niedorozwiniętego uczniaka, jak mam postępować. No cóż, w rzeczy samej był to mój debiut w takiej roli, ale byłem także prawnikiem i to dość upartym. Przewinęło się przede mną wiele niezadowolonych twarzy, lecz w końcu jakiś ważny dyplomata z ONZ wezwał telefonicznie Niegrecznego Chłopca Slobodana Miloszevicia, a ten się nawet nie zawahał.

Powiedział tak. Oczywiście, że powiedział tak. W końcu jemu najbardziej zależało na tym, by moja drużyna stwierdziła, iż w kostnicy leży trzydzieści pięć ciał pomordowanych ludzi. Jednak to łatwe przyzwolenie ze strony Miloszevicia miało i swoje złe strony. Mogło bowiem oznaczać, że był absolutnie pewien, iż nasi chłopcy faktycznie zabili tych ludzi.

Udaliśmy się na zasłużony odpoczynek i o piątej rano drugiego dnia naszego śledztwa Delbert, Morrow, ja i lekarz patolog wsiedliśmy do helikoptera Blackhawk. Patolog był człowiekiem o dziwnym wyglądzie, bladym, o chorobliwie wypukłych oczach, ale zapewniono nas, że należał do najlepszych w swojej dziedzinie.

Lot trwał około trzech godzin. Na lotnisku międzynarodowym w Belgradzie czekały na nas dwa sedany. Za kierownicą siedzieli wojskowi. Zawieźli nas przez miasto do kostnicy, nie zamieniając po drodze ani słowa. Miejsce to w niczym nie przypominało eleganckich kostnic, jakie czasem widuje się w Stanach. Był to ponury, zniszczony budynek. Przy wejściu czekał na nas serbski lekarz. Poprowadził nas schodami do mrocznej piwnicy.

Była zimna i pełna wilgoci. Z sufitu zwisały się słabe lampy, takie, o które ludzie słusznego wzrostu zawadzają głowami. Przeszliśmy ciemnym korytarzem. Na jego końcu skręciliśmy w lewo i znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu. Doktor przekręcił włącznik. Dziesięć jarzeniówek zamigotało, by wreszcie oświetlić całe wnętrze.

Zobaczyliśmy trzydzieści pięć nagich ciał, starannie ułożonych w czterech długich rzędach. Ktoś zadał sobie trud, by je podeprzeć od tyłu w ten sposób, że wszystkie siedziały sztywno wyprostowane. Wyglądało to upiornie i natychmiast poczuliśmy, jak cierpnie nam skóra. Pierwszy doszedł do siebie doktor Simon McAbee, nasz patolog. Z lekarską torbą na ramieniu i błyskiem w oku ruszył naprzód.

Delbert i Morrow cofnęli się za mnie. Po chwili ja również przeszedłem wzdłuż rzędów ciał, zatrzymując się na krótko przy każdym, by przekonać się, co było przyczyną śmierci. Ciała dokładnie umyto, więc rany były bardzo wyraźne. To, co zdążyłem zauważyć, potwierdziło niestety moje najgorsze obawy.

Niektóre zwłoki były straszliwie okaleczone, lecz jedna rana była wspólna dla wszystkich — ta od strzału w czaszkę. Jeden korpus nie miał głowy. Pozostał jedynie kikut szyi. Do niektórych strzelano od tyłu, do innych od przodu, większość jednak otrzymała strzał w skroń. Otwory wlotowe były małe, takie jakie pozostawia pocisk 5,56 mm. Tak się składa, że jest to amunicja stosowana w karabinach M-16, które stanowią standardowe wyposażenie prawie wszystkich oddziałów amerykańskich.

Obrażenia widoczne na niektórych ciałach były ewidentnie wynikiem wybuchów min. Jednak rodzaj użytych min stanowił dla mnie zagadkę. Oddziały amerykańskie zwykle wyposaża się w tak zwane miny odłamkowe kierunkowego działania — ustawia się je pionowo na powierzchni ziemi na niewielkich metalowych nóżkach. Mają kształt prostopadłościanów, pokrytych materiałem wybuchowym. W warstwie wierzchniej materiału wybuchowego umieszcza się tysiące maleńkich stalowych kulek, które eksplozja wyrzuca z ogromną siłą. Miny tego rodzaju stosuje się bardzo często przy urządzeniu zasadzek. Zapalnik jest uruchamiany impulsem elektrycznym. Niektórzy łączą te podstępne urządzenia przewodem, tworząc tak zwany łańcuch stokrotek. W ten sposób impuls elektryczny wzbudza wszystkie miny naraz.

Szczególnie zmasakrowane ciała nosiły ślady kontaktu z wieloma małymi kulkami. Dziwny natomiast wydał mi się fakt, że wszystkie rany zadano z tyłu, co nasuwało różne przypuszczenia, niektóre bardzo nieciekawe.

Przeszedłszy wolno wzdłuż wszystkich rzędów, Delbert, Morrow i ja stanęliśmy w rogu pomieszczenia i zaczęliśmy szeptem wymieniać swoje uwagi. Doktor McAbee i serbski lekarz dalej dokonywali dokładnych oględzin poranionych ciał.

— Co o tym sądzicie? — spytałem Delberta i Morrow.

— To zmienia postać rzeczy — rzekła szybko Morrow.

— Zdecydowanie zmienia — dodał Delbert, starając się przebić Morrow w jej ocenach. — Nie wygląda to dobrze, prawda?

— Nie — przyznałem ponuro. — Będziemy mieli pewność, kiedy McAbee skończy swoje oględziny, ale to mi wygląda na dzieło naszych min i M-16. Jeden lub dwa karabiny maszynowe też były na pewno w robocie.

— Niektórzy z nich to jeszcze chłopcy — powiedziała cicho Morrow.

Przy pierwszym podejściu specjalnie unikałem patrzenia na twarze, żeby emocje nie zniekształciły mojego sądu. Teraz musiałem wrócić i ponownie obejrzeć każde ciało. Być może niektórzy z nich robili okropne rzeczy Albańczykom wypędzanym z Kosowa. Teraz jednak musiałem pamiętać, że oni także byli ludźmi. Spędziłem więc następne dwadzieścia minut, oglądając ich zwłoki i próbując uporządkować moje podatne na wpływy sumienie.

Doktor McAbee fotografował teraz każde ciało. Pracował bardzo sprawnie i skończył przede mną.

— Nie wygląda to dobrze — rzekł, podchodząc do mnie. — Nasz gospodarz wręczył mi kolekcję pocisków wyjętych z ciał.

— Czy któryś z nich usunął pan osobiście?

— Kilka. To pociski kalibru 5,56. Małe kulki najwyraźniej pochodzą z naszych min.

— A więc wszystkie rany zadano bronią amerykańską?

— Przy trzydziestu pięciu ciałach potrzebowałbym trzech aparatów rentgenowskich i całego tygodnia, by odpowiedzieć na to pytanie z całą pewnością.

— Ale czy pana ogólne wrażenie jest właśnie takie? — nalegałem.

Utkwił we mnie spojrzenie swoich wypukłych oczu i jakby z namysłem westchnął.

— Każda rana, którą dotychczas zbadałem, zdaje się pochodzić z broni amerykańskiej.

— A co z ranami głowy?

— Do większości z tych ludzi strzelano z odległości kilkudziesięciu centymetrów.

— Jak by to pan wytłumaczył?

— To chyba oczywiste, prawda? Ktoś się postarał, żeby nie było żadnych świadków.

— Nic nie jest oczywiste — sprostowałem. — Czy poprosił pan tego serbskiego lekarza, by ciała zostały tutaj aż do zakończenia naszego śledztwa?

— Tak, ale powiedział, że to niemożliwe. Miloszević nakazał zorganizowanie wielkiej państwowej gali, podczas której rodziny zamordowanych zostaną odznaczone z racji tego, co je spotkało. Po ceremonii odbiorą ciała, by je pogrzebać.

— To może przysporzyć wielu problemów zarówno nam, jak i Serbom — powiedziałem.  
— Gdybym był obrońcą oskarżonych, nalegałbym na równe prawa do obdukcji ciał.

— Cóż, właśnie dokonałem takiej obdukcji.

Odparłem jego spojrzenie, najlepiej jak umiałem.

— A czy może pan, doktorze, stwierdzić z całkowitą pewnością, ilu z tych ludzi zginęło od broni amerykańskiej? Jeśli członkowie oddziału A zostaną oskarżeni o zabójstwo, to jaką liczbę ofiar im się przypisze? Musi się pan z tym liczyć. A potem trzeba będzie im udowodnić, że zabili tyle właśnie osób.

— Oczywiście — przyznał doktor potulnie. — Przepraszam, ale nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z taką sprawą.

— Podobnie jak my. Chciałbym, żeby pan obejrzał dokładnie każde ciało i stwierdził, kto z tych ludzi zginął od razu, a kto został tylko ranny, a potem dobity. Czy może pan to dla mnie zrobić?

— Zrobię, co w mojej mocy.

— To dobrze. Czy jeszcze czegoś pan potrzebuje?

— Chciałbym mieć możliwość ponownego zbadania kilku ciał, żeby stwierdzić faktyczną przyczynę zgonu.

— W porządku. Po powrocie do bazy proszę złożyć oficjalne podanie w tej sprawie. Ja złożę podobne.

\* \* \*

Wróciliśmy do Tuzli po trzeciej. Kiszki nam marsza grały, więc poprosiłem Imeldę o jakieś jedzenie. Wydawałoby się, żadna sprawa, ale trzeba pamiętać, że w wojsku jada się w stołówce. Oczywiście, z drugiej strony jednak należy uwzględnić korektę, że mieliśmy tu do czynienia z Imeldą Pepperfield, która potrafiłaby wycisnąć łzy nawet z kamienia.

Wróciła do naszego biura naburmuszona, a za nią wkroczyły dwie jej koleżanki. Położyły na stołach kilka tac, na których były kanapki z mięsem i ziemniaczane puree polane sosem.

— Jakies problemy? — zapytałem.

— Nie. Sierżant ze stołówki próbował się opierać, więc musiałam mu trochę dokopać i ustąpił.

Imelda wychowała się na zapadłej wsi gdzieś w Alabamie i pozostały jej naleciałości i nawyki niewykształconej czarnej dziewczyny z Południa. Wiele osób dawało się na to nabrać. A prawda była taka, że Imeldą ukończyła dwa fakultety — prawa karnego i literatury. I nigdzie się nie ruszała bez kilku opasłych książek w zanadrzu.

Delbert i Morrow patrzyli na mięsne kanapki z wyraźnym obrzydzeniem, podczas gdy ja zabrałem się do nich z apetytem.

Imelda zmierzyła ich pytającym wzrokiem i klasnęła w dłonie.

— Czy coś jest nie tak z tym posiłkiem?

— W rzeczy samej — odparł nierozważnie Delbert. — Preferuję zdrowsze jedzenie.

Imelda pochyliła się nad nim.

— To jest jedzenie wojskowe. A kiedy Wuj Sam mówi, że jest dla was zdrowe, to znaczy, że jest zdrowe.

Morrow obserwowała przez chwilę tę potyczkę, po czym szybko sięgnęła po kanapkę i zaczęła ją żuć z mazurem. Mądra dziewczyna.

Imelda wyprostowała się i świdrując wzrokiem Delberta, oświadczyła:

— Okay, wybredny kolego. Albo to zjesz, albo w ciągu najbliższych tygodni ubędzie ci kilka kilogramów.

— Lubię sałatę — powiedział Delbert słabym głosem. — Czy mogę dostać sałatę?

— Sałatę? — wrzasnęła Imelda. — Ja tu nie prowadzę stołówki dla królików.

— No, to sam ją zdobędę — oświadczył z desperacją Delbert i wyszedł z pokoju. Imelda zabalgotowała i wymaszerowała za nim.

Morrow z wyraźną ulgą odłożyła na talerz nadgryzioną kanapkę.

— Pana załodze brakuje silnej ręki — powiedziała z wyrzutem. — Ta kobieta odnosi się do nas bez odrobiny szacunku. Sądziłam, że były oficer piechoty potrafi trzymać swój oddział w większej dyscyplinie.

Czy już wspominałem wcześniej, że Lisa Morrow była kobietą o uderzającej urodzie? Jeśli nie, to zrobię to teraz. Nie ma większego wyzwania dla mężczyzny, niż to rzucone przez piękną kobietę. Przeciętny facet napiąłby w tym momencie swoje bicepsy i mruknął coś ostrego i męskiego.

Ja powiedziałem ze spokojem:

— Ludzie zbyt łatwo ulegają stereotypom.

Skończyłem trzecią kanapkę i spojrzałem na zegarek. O ile się nie myliłem, pod drzwiami powinien już czekać nasz świadek. Rano prosiłem Imeldę, żeby wezwała podpułkownika Willa Smothersa do naszego biura na godzinę 15.30.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je. W rzeczy samej, Smothers stawiał się punktualnie. I to nie sam. Za nim stał nieco otyły kapitan o wyglądzie urzędnika, z okularami na nosie i odznaką JAG.

— Proszę wejść — zwróciłem się do Smothersa i szybko wysunąłem rękę, blokując tym samym przejście jego prawnikowi z nazwiskiem Smith na plakietce.

— Panu dziękujemy — powiedziałem.

Smothers odwrócił się gwałtownie.

— Życzę sobie, by mi towarzyszył.

— Nie — odrzekłem. — To tylko wstępne przesłuchanie. Nie będę odczytywał pańskich praw, dlatego nic, co pan tu powie, nie będzie mogło zostać użyte przeciwko panu. Chcemy tylko uzyskać od pana trochę informacji.

— Skoro pułkownik chce, żebym z nim wszedł, to wchodzę — zaskrzeczał kapitan Smith.

— Jest pan w błędzie — wyjaśniłem. — To ja kieruję tym śledztwem. I jeśli mówię żadnych adwokatów, to nie będzie tu żadnych adwokatów. — I zamknąłem osłupiałemu Smithowi drzwi przed nosem.

— Proszę siadać — zwróciłem się do Smothersa.

Przesłuchania podejrzanych mają to do siebie, że jeśli z miejsca nie uzyska się przewagi, to cała robota na nic. Smothers przewyższał mnie rangą, więc musiałem to nadrobić.

Siadłem za biurkiem i oboje z Morrow zastygliśmy w bezruchu. Smothers próbował się pozbierać. Wyjąłem z szuflady biurka magnetofon i włączyłem go.

— Pułkowniku, proszę się przedstawić i powiedzieć nam, jaką rolę pełnił pan w stosunku do oskarżonych?

— Nazywam się Will Smothers. Jestem dowódcą Pierwszego Batalionu Dziesiątej Jednostki Sił Specjalnych. Oddział A dowodzony przez kapitana Terry'ego Sancheza został przydzielony do mojego batalionu.

— Od jak dawna jest pan dowódcą?

— Od dwóch lat.

— A pański podwładny, kapitan Sanchez, od jak dawna jest dowódcą jednego z oddziałów?

— Około pół roku.

— A więc zna go pan dopiero od pół roku?

— Nie. Pracował dla mnie już dawniej, podczas innych operacji wojskowych.

— Więc zna go pan od dwóch lat?

— Tak, od dwóch lat. Mniej więcej.

To była tylko rozgrzewka. Przesłuchanie najlepiej zaczynać od ustalenia prostych, nie budzących kontrowersji faktów. Dzięki temu pytany odpowiada szybko, niemal automatycznie.

— Kto wyznaczył Sancheza na dowódcę oddziału?

— Ja. Musiał to jeszcze zatwierdzić dowódca jednostki, ale rekomendacja wyszła ode mnie.

— A dowódca jednostki to...

— Generał brygady Murphy.

— Czy Sanchez jest dobrym oficerem?

— Hm... tak. Aaa... cóż, bardzo dobrym oficerem — odparł Smothers po dłuższym zastanowieniu. — W gruncie rzeczy doskonałym, i to pod każdym względem.

— To znaczy? Czy jest dobrym dowódcą? Czy mobilizuje ludzi do działania? Czy jest bystry? Czy ma mocny charakter?

— Tak, na wszystkie pytania.

— Ile ma lat? — spytałem.

— Dokładnie nie wiem. Około trzydziestu.

— A z tego, ile spędził w wojsku?

— Chyba dziesięć. Może jedenaście lub dwanaście. Jest starszym kapitanem. W tym roku powinien dostać majora.

— Do awansu potrzebna mu była jeszcze funkcja dowódcy oddziału, zgadza się?

— To świetny oficer. Nigdy nie widziałem jego papierów, ale jestem pewien, że to odzwierciedlają.

Smothers zorientował się teraz, dokąd zmierzam i zaczął ostrożnie ważyć każde słowo. Jeśli oddział dowodzony przez Terry'ego Sancheza wymordował z zimną krwią trzydziestu pięciu ludzi, to de facto Terry Sanchez nie nadawał się do tego, co robił, co by oznaczało, że Will Smothers popełnił fatalny błąd. Blisko współpracował z Sanchezem, a jednak nie określił jego wieku, nie opisał jego stylu dowodzenia. Znał odpowiedzi na te pytania, ale nie zamierzał mi ich udzielić.

— A więc — podjąłem, zmieniając nieco temat — jakie konkretnie rozkazy otrzymał Sanchez, kiedy wysłano go do Kosowa?

— Cóż, on i jego oddział szkolili przez dwa miesiące partyzantów z Kosowa. Ponieważ partyzantom brakowało jeszcze doświadczenia, oddział Sancheza dostał rozkaz eskortowania ich na miejsce stałego pobytu i dalszego szkolenia.

— Czy nie jest to nieco dziwna misja?

— Nie. Dla żołnierzy Sił Specjalnych to dość częsty rodzaj misji. Po to nas utworzono, abyśmy szkolili mniej doświadczone jednostki.

— Nie chodzi mi o szkolenia, pułkowniku. Mówię o fakcie eskortowania partyzantów do Kosowa przez oddział Sancheza.

— Nie widzę w tym zadaniu niczego niezwykłego.

— Naprawdę? A konkretnie, jakie rozkazy otrzymał Sanchez?

— Dalszego szkolenia Kosowian.

— Czy otrzymał również rozkaz włączania się w wymianę ognia?

— Absolutnie nie. Wszyscy znamy przepisy, majorze. Żadnej wojny.

— Czy Sanchez i jego ludzie byli dopuszczeni przez partyzantów do planowania akcji zbrojnych?

— Tak i nie. Nie jesteśmy jednostką bojową. Więc odpowiedź brzmi: nie. Sanchez i jego ludzie nie mieli pomagać partyzantom w planowaniu akcji zbrojnych. Gdyby jednak dowódca Kosowian poprosił o radę, to mogli jej udzielić.



— To bardzo mglista linia postępowania, panie pułkowniku. Przypuśćmy, że Sanchez i jego ludzie zostaliby zaatakowani przez serbską jednostkę. Czy wtedy mogli odpowiedzieć na zbrojny atak?

— Tak. Mają prawo do samoobrony. Gdyby zostali wykryci, mieli prawo ratować się. Jeśliby to wymagało użycia broni, mogli to oczywiście zrobić.

— Kto ułożył te przepisy? — spytałem.

— Nie wiem. Przypuszczam, że jakiś oficer sztabowy. Ostateczną aprobatę musieli jednak wyrazić szefowie połączonych sztabów.

— Dziękuję, pułkowniku. Może pan odejść.

Przez chwilę patrzył na mnie zaskoczony, zastanawiając się pewnie, co, u licha, stało się z tą trudną częścią przesłuchania. Lecz ja tylko przyglądałem mu się w milczeniu. Trudna część go jeszcze czekała, ale w swoim czasie.

Po wyjściu Smothersa do sali wszedł Delbert.

— Zadowolony pan z lunchu? — zapytałem go.

— Uhm, oczywiście. — Rozejrzał się dookoła i odprowadził wzrokiem Smothersa. — Co to było?

— Pułkownik Smothers wpadł na małe przesłuchanko.

— Dlaczego nie zaczekał pan na mnie?

— Ponieważ wybrał pan jedzenie.

— Nie miałem pojęcia, że zaplanował pan to przesłuchanie. Dlaczego nic mi pan nie powiedział?

— Nie słyszałem, aby pan pytał.

Byłbym wierutnym kłamcą, gdybym utrzymywał, że irytacja Delberta nie sprawiła mi dużej przyjemności. Może i był on najlepszym prokuratorem w naszej armii, lecz także beznadziejnym zarozumiałcem, wręcz bufonem.

— Nie denerwuj się — powiedziałem. — Wszystko jest na taśmie. Przesłuchasz ją sobie wieczorem, jak skończymy.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka niemal wpadła Imelda, a za nią trzy jej asystentki. Dźwigały oburącz jakieś ciężkie pudła.

— Co to znowu za makulatura? — zapytałem.

— Wszystkie rozkazy operacyjne, zapisy rozmów i teczki osobiste oskarżonych.

— Nie przypominam sobie, żebym o nie prosił.

— A jak zamierza pan radzić sobie bez nich? Nie da się posunąć tego śledztwa ani trochę naprzód bez zapoznania się z tym wszystkim — powiedziała Imelda, mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwa. Potem wymaszerowała z pokoju, popychając swoje asystentki przed sobą.

Każde z nas wzięło pudło i następne osiem godzin upłynęło nam na kilkakrotnym wertowaniu tych papierów wte i wewte. Pochłanialiśmy je w milczeniu, poznając dane osobowe dziewięciu amerykańskich żołnierzy, oskarżonych o masową zbrodnię w krainie zwanej Kosowo.

\* \* \*

Tej nocy otrzymałem dwa telefony. Pierwszy od generała z Pentagonu brzmiał mniej więcej tak:

— Drummond, to pan?

Aż musiałem się uszczypnąć.

— Tak, tu Drummond.

— Tu generał Clapper.

— Witam o poranku, sir.

— O jakim poranku. Tutaj jest ósma wieczorem.

— Tak? Ach, to dlatego tu jest druga nad ranem.

W słuchawce rozległ się basowy rechot.

— Jak tam sprawy?

— Cóż, byliśmy wczoraj w kostnicy i spędziliśmy trochę czasu w towarzystwie trzydziestu pięciu nieboszczyków. Patolog wciąż nad nimi pracuje, ale wstępne oględziny nie wypadły dobrze. Wiele wskazuje na to, że wszystkie rany pochodzą od broni amerykańskiej.

— Spodziewaliśmy się tego.

— Taaa, ale idę o zakład, że nie spodziewaliście się, iż każdy otrzymał strzał w głowę.

— Wszyscy?

— No cóż, niektórym pozostała tylko część głowy, a inni całkiem ją stracili, ale tak, odpowiedź brzmi: owszem, wszyscy otrzymali strzał w głowę.

— To czemu Miłoszević i jego ludzie nie nagłośnili tej sprawy podczas konferencji prasowej?

— Musiałby pan o to spytać jego, panie generale. Ale doradzałbym poczekać z tym do rana. Z tego, co słyszałem, nie należy do ludzi równie łagodnych, jak ja.

— He, he, mógłbym o tym dyskutować. Czy otrzymuje pan odpowiednie wsparcie?

— Oczywiście. Kochają nas tutaj. Otrzymaliśmy najlepsze namioty w całym terenie.

— Dostaliśmy pana prośbę, żeby Miłoszević odłożył państwowe uroczystości pogrzebowe, by można było dokładnie zbadać ciała.

— To dobrze. Koroner wysłał tę prośbę swoimi kanałami.

— Niczego to nie zmieni. Zaniósłem pana prośbę do Departamentu Stanu ale mnie tam wyrzucano. Na ile zaszkodzi to śledztwu, jeśli prośba zostanie odrzucona?

— Dobremu adwokatowi otworzy to kilka korzystnych możliwości obrony.

— No cóż, nic na to nie poradzimy. Czy jeszcze czegoś potrzebujesz, Sean?

— Nie, sir. Ale dziękuję, że pan zapytał.

Obaj odłożyli słuchawki. Dopiero po kilku minutach udało mi się ponownie zasnąć. Gdybym miał określić, kim był dla mnie generał brygady Thomas Clapper, to przyjacielem byłoby określeniem najbliższym. Uczył mnie prawa wojskowego dawno temu, kiedy był jeszcze majorem, a ja świeżo upieczonym porucznikiem, odbywającym podstawowe szkolenie oficerskie. Chyba nie miał studentów gorszych ode mnie, bo jeśli tak, to musieli to być kompletni krety. Można sobie wyobrazić jego konsternację, gdy cztery lub pięć lat później zjawilem się u niego, prosząc, by poparł moje podanie na wydział prawa i do korpusu JAG. Nigdy się nie dowiem, co sobie wtedy pomyślał, ale powiedział „tak”, a reszta to już historia prawa.

W przeciwieństwie do mojej, kariera Thomasa Clappera rozwijała się szybko. Teraz był już dwugwiazdkowym generałem, dowodzącym zespołami wojskowych prawników. To największa firma prawnicza na świecie, tysiące prawników, sędziów i ekspertów.

Następny telefon obudził mnie po godzinie. Człowiek po drugiej stronie przedstawił się jako Jeremy Berkowitz. Nawet o trzeciej nad ranem rozpoznałem to nazwisko. Berkowitz był reporterem waszyngtońskiego „Heralda”. Zastąpił, wywlekając do wiadomości publicznej wiele skandali związanych z armią. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

— Pan jest majorem Seanem Drummondem?

— Tak napisano na moim identyfikatorze.

— He, he, to było dobre. Nazywam się Jeremy Berkowitz. Nasz wspólny przyjaciel podał mi pana numer.

— A mógłby mi pan podać jego nazwisko? Chętnie bym go przy najbliższej okazji udusił.

Znów usłyszałem grzecznościowy rechot.

— Ejże, zna pan chyba zasady. Dobry reporter nigdy nie ujawnia źródeł swoich informacji.

— Czego pan chce?

— Przydzielono mi masakrę w Kosowie. No i myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy się obaj poznali.

— A ja tak nie myślę.

— Czy miał pan kiedyś do czynienia z korespondentami?

— Kilka razy.

— A więc wie pan, że należy z nimi współpracować.

— A w zamian pan będzie współpracował ze mną, czy tak?

— No właśnie. Dopilnuję, żeby pana wersja wydarzeń została opublikowana i żeby zawsze dobrze o panu pisano w naszych relacjach.

Klik! Och, słuchawka całkiem niechcący spadła mi na widełki.

Właściwie wylądowała tam, ponieważ nie lubię, gdy mi się grozi. A jeśli umie się czytać między wierszami, to facet dokładnie to zrobił. Oczywiście, było to głupie, nieodpowiedzialne zachowanie. Z mojej strony, ma się rozumieć. Ale, jak już wspominałem, czułem się zmęczony.

Mój nastrój wcale nie był lepszy, gdy o szóstej rano wchodziłem do naszego drewnianego baraku, gdzie dwoje kapitanów, Delbert i Morrow, czekało na moje przyjście, popijając kawę.

Oboje wyglądali na wypoczętych i zadowolonych z życia, co wcale mi się nie spodobało.

— Dobry — rzekłem lub mruknąłem, czy też warknąłem. Wszystko jedno.

— Ouu — odezwała się Morrow. No i oczywiście w tym właśnie momencie zadzwonił telefon.

— Halo — powiedziałem, podnosząc słuchawkę.

— Majorze Drummond, tu kapitan Smith. Pamięta mnie pan?

— Taaa. Przy kości, ze skrzeczącym głosem, prawda?

— Zatelefonowałem do pułkownika Mastersona, który jest sędzią wojskowym i któremu podlega ta sprawa. Powiedziałem, że uniemożliwił mi pan reprezentowanie mojego klienta. Mam panu od niego przekazać, że jeśli zrobi pan to jeszcze raz, to on pozbawi pana uprawnień.

— Bardzo się wstydzę mojego zachowania — przyznałem śmiało.

— I powinien pan. Poza tym mój klient powiedział mi, że jego przesłuchanie było nagrywane. Chciałbym, aby kopia taśmy została dostarczona do mojego biura.

— Czy to również polecenie sędziego?

— Nie pytałem go. Lecz jeśli pan nalega, to mogę to zrobić.

— Nalegam.

— Niech tak będzie — powiedział, niemal zachłystując się gniewem i odwiesił słuchawkę.

Może to zabrzmiało perwersyjnie, ale telefon Smitha zdecydowanie poprawił mi nastrój. Przy tak dużych i skomplikowanych sprawach dochodzeniowych jest rzeczą bardzo ważną, by zwrócić na siebie uwagę. Należy pokazać, że jest się nieposkromionym barbarzyńcą, a wtedy każdy, z najmniejszym nawet poczuciem winy, natychmiast zacznie szukać obrońcy lub protektora. Podpułkownik Will Smothers był tego najlepszym przykładem.

— O co chodziło? — spytał Delbert.

— Pomyłka — odparłem.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtargnął huragan zwany Imeldą, a za nią dwie asystentki z tacami wyladowanymi jajkami na bekonie, bułkami polanymi tłustym sosem i kawałkami mielonej wołowiny.

Imelda posłała Delbertowi i Morrow piorunujące spojrzenie i kazała asystentkom postawić tace na stole konferencyjnym. Niezwłocznie podszedłem do niego i przystąpiłem z apetytem do tego wojskowego posiłku.

— A wy dwoje zamierzacie jeść to cholerne śniadanie? — zwróciła się do Morrow i Delberta.

Nasza rzeczniczka obrony odpowiedziała jak gdyby w przestrzeń:

— Zwykle jadam na śniadanie jogurt, pełnoziarniste bułki i sok.

— I co, pewnie jeszcze mam powiedzieć sierżantowi w kantynie, żeby zrobił pani filizankę *caffè macchiato*, czy jak jej tam? — odparła niewzruszona Imelda.

Delbert już otwierał usta, ale rozśadek nakazał mu milczenie i stał tylko, przestępując z nogi na nogę.

Morrow zdążyła zauważyć taniec Delberta i żeby jakoś pokryć swoją porażkę, dodała:

— Ale był czas, kiedy lubiłam jajka na bekonie.

— No, to polubi je pani znowu.

W przeciągu dwóch sekund Delbert i Morrow znaleźli się obok mnie i żwawo zabrali się do śniadania, modląc się w cichości ducha, żeby Imelda już sobie poszła.

— Co mamy na dzisiaj? — spytał po chwili Delbert.

— Pomyślałem, że dobrze byłoby porozmawiać z kapelanem jednostki, a potem z jej głównym dowódcą — odparłem.

— Kapelanem? — okazała zdziwienie Morrow. — A kiedy rozmawiamy z Sanchezem i jego ludźmi?

— Już niedługo.

Oboje skinęli głowami. Nie zgadzali się, ale skinęli głowami. To właśnie jedna z rzeczy, które uwielbiam w Imeldzie. Z mety wybiła im z nosa wszelkie fomy.

Kaplicę urządzono w wielkim namiocie, długim i szerokim na tyle, aby pomieścić czterdzieści krzeseł. Kapelan, major Kevin O'Reilly, przeszedł do tylnej części namiotu, gdzie na niego czekaliśmy całą trójką.

Jak można się było spodziewać po kapelanie Sił Specjalnych, w niewielkim stopniu przypominał księdza. Miał dużą, nalaną twarz o nosie boksera i wielkie, silne dłonie, którymi niemal zmiażdżył nam ręce w czasie przywitania.

— Dziękujemy, że zgodził się ksiądz z nami spotkać — odezwałem się. — Od jak dawna jest ksiądz w tej jednostce?

— Od czterech lat.

— To długo. Musi się ksiądz tu dobrze czuć.

— Rzeczywiście. To są dobrzy chłopcy, panie majorze. Panuje opinia o Siłach Specjalnych, że to chuligani i awanturnicy. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Większość z nich to kochający ojcowie i synowie.

— Przypuszczam, że kapitan Sanchez jest katolikiem?

— Owszem, jest. I to dobrym.

— Czy zna ksiądz jego rodzinę?

— Bardzo dobrze. Żonę Stacy i dwóch synków. Trzej inni członkowie oddziału to również katolicy, więc ostatnio sporo czasu spędzałem z ich rodzinami.

— Oczywiście. Jeśli ksiądz pozwoli, chciałbym teraz zadać kilka pytań. Jeśli wydadzą się księdzu zbyt drażliwe lub mogące naruszyć powierzone księdzu tajemnice, proszę mi od razu powiedzieć.

— Dobrze. Zgadzam się.

— Jak by ksiądz określił ludzi z tej jednostki?

Po chwili zastanowienia kapelan odparł:

— Na ogół pozytywnie. Żołnierze w Siłach Specjalnych są starsi od tych z regularnych jednostek i przechodzą bardziej rygorystyczną selekcję, zanim dostaną beret.

— A gdyby miał ksiądz użyć jednego określenia?

— *Gung ho*.

Uśmiechnąłem się.

— Poproszę o następne.

— No dobrze — przytłoczeni. To ludzie czynu, z dużym poczuciem odpowiedzialności za swoje działania. Pobyt wśród uchodźców z Kosowa to dla nich wielkie wyzwanie. Widok tego, co się dzieje po drugiej stronie granicy, nadszarpuje im nerwy.

— Oczywiście. Wyobrażam sobie, jak przygnębiająco to musi oddziaływać na ich morale.

— Przygnębiająco? Majorze, niektórzy z tych ludzi nie mogą wprost normalnie spać.

— Czy wielu z nich zwraca się do księdza o poradę i pocieszenie?

— Od przyjazdu tutaj mieliśmy jedno samobójstwo i jedną próbę samobójczą. Właściwie nie robię nic innego, tylko w kółko kogoś pocieszam.

— Czy również Terry’ego Sancheza lub któregoś z jego ludzi?

O’Reilly zawahał się. W końcu rzekł:

— Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.

— Ojcie, pytam nieoficjalnie, jak żołnierz żołnierza.

— No dobrze. Nie wierzę, żeby chłopcy Terry’ego byli do tego zdolni. Wiele jednak wskazuje na nich.

Akurat, nie wierzył. Jego słowa świadczyły o czymś wręcz przeciwnym, choć nie umiałbym powiedzieć, czy znał jakieś fakty.

— A co może ksiądz powiedzieć o batalionie Smothersa?

— To świetna jednostka. Nic dziwnego, przy takim dowódcy... Poza tym to weterani. Wielu z nich walczyło w Zatoce, w Somalii, na Haiti i w Bośni.

— Czemu tak wielu weteranów jest w jego batalionie?

— Nazywają ich klubem weteranów. Istnieje niepisana umowa w Dziesiątej Jednostce, że po pięciu lub dziesięciu latach służby w różnych batalionach, wielu sierżantów występuje o przeniesienie do jednostki Smothersa.

— Ale dlaczego?

— Poczucie koleżeństwa, jak sędzę.

W kaplicy zaczęli się gromadzić żołnierze i niecierpliwie na coś oczekiwali. Usłyszałem już wszystko, czego chciałem, więc podziękowałem księdzu O’Reilly i pożegnaliśmy się. Zaraz po wyjściu z namiotu Delbert powiedział:

— To było bardzo przydatne. Starał się przedstawić nam ich motyw działania.

— Być może — odparłem, patrząc na Morrow.

— Czy czegoś nam nie powiedział? — spytała.

Zdałem się na mój instynkt.

— Niepokoi mnie ta historia z klubem weteranów — wyznałem. — Weteran wojenny to całkiem inny rodzaj żołnierza niż młody zielony sierżant, który może i został dobrze wyszkolony, ale brakuje mu doświadczenia w prawdziwej walce. Najwięcej ludzi ginie przez takich właśnie zielonych młodzików.

— Nie rozumiem tego — odezwał się Delbert.

— Ten klub weteranów przypomina związek tych, co przeżyli. Facet służy pięć lub dziesięć lat i może do niego przystąpić. Reszta kariery wojskowej upływa mu wśród wypróbowanych, doświadczonych w walce zawodowców, którzy nie popełniają błędów i nie załamują się w trudnych chwilach.

— Czy jest w tym coś złego? — spytała Morrow.

— Być może nie. Szanse na przeżycie są znacznie większe, zwłaszcza że, jak podejrzewam, Pierwszy Batalion bardzo starannie dobiera swoich członków.

Oboje skinęli głowami, a ja postanowiłem na razie nie ujawniać przed nimi moich wszystkich podejrzeń. Odsłużyłem swoje w piechocie, podczas gdy Delbertowi i Morrow wręczono plakietki JAG zaraz po ukończeniu szkoły prawniczej. Pewnych rzeczy człowiek uczy się jedynie w praktyce.

Dziesięć minut później zajechaliśmy pod drewniany barak generała Charlesa „Chucka” Murphy’ego. Przywitał nas w drzwiach i poprowadził do swojego biura. Urządzone było po

spartańsku, jak na oficera tej rangi — długi polowy stół pełniący rolę biurka, dwa mniejsze stoliki i dwie metalowe szafy na dokumenty.

Generał wskazał nam kilka krzeseł stojących pośrodku pomieszczenia. Nie bez problemu ulokował swoje potężne ciało na jednym z nich, założył nogę na nogę i skrzyżował ręce na piersi.

— Przykro mi — powiedział — ale mogę być do państwa dyspozycji tylko przez dziesięć minut, ponieważ trwa właśnie bardzo ważna operacja.

— Nie ma problemu, generale. Będziemy się streszczać. — Po chwili zastanowienia zadałem pierwsze pytanie: — Od jak dawna zna pan kapitana Sancheza?

— Jestem dowódcą tej jednostki od osiemnastu miesięcy. Kiedy obejmowałem tę funkcję, Terry już tu był.

— Czy zaaprobował pan powołanie go na dowódcę oddziału?

— Tak, ale wyłącznie pro forma.

— Dlaczego pro forma?

— Dziesiąta Jednostka składa się z czterech batalionów. Trudno więc znać wszystkich pułkowników, podpułkowników i majorów. Rozpoznaję nazwiska prawie wszystkich kapitanów, ale nie znam ich dobrze.

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

— A czy Sanchez nie jest może przypadkiem jednym z tych, których zna pan lepiej?

— Nie, nie jest. Rozpoznałbym go na ulicy, ale to wszystko.

Coś mi tu jednak nie grało. Generał najwyraźniej wyczuł moje niedowierzanie.

— Niech pan posłucha — dodał pośpiesznie, starając się mówić łagodnym i uprzejmym tonem — poproszę adiutanta, żeby sprawdził w moim kalendarzu, ile razy spotkałem się z Sanchezem w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Ja nie byłem nawet w połowie tak łagodny jak on.

— To miło z pana strony, generale, ale może będzie pan tak uprzejmy i poprosi adiutanta, żeby dostarczył nam pański kalendarz, a my już sobie sami wszystko sprawdzimy.

— Kalendarz moich spotkań jest dokumentem tajnym i nie mogę go udostępnić.

— Generale, wszyscy mamy upoważnienie do wglądu w dokumenty najwyższej wagi państwowej.

Dolna szczęka generała wysunęła się nieco w przód.

— Jeśli pan pozwoli, majorze, to chciałbym się porozumieć z radcą prawnym, zanim panu odpowiem.

— W porządku, sir. Tylko proszę się pośpieszyć, bo chciałbym otrzymać ten kalendarz możliwie przed końcem pracy.

Oczy generała przypominały teraz lodowe głazy.

— Jeszcze jakieś pytania? — zapytał. Morrow wychyliła się na krześle do przodu.

— Czy mógłby nam pan powiedzieć, dlaczego Pierwszy Batalion jest nazywany klubem weteranów pamiętających stare dobre czasy?

Generał uniósł prawą brew.

— Ach, to? Cóż, to stara tradycja, popularna wśród sierżantów tej jednostki. Niejako etap przechodzenia do formacji o wyższych standardach w procesie naturalnej ewolucji. Z mojego punktu widzenia, posiadanie jednostki, której można całkowicie zaufać, jest bardzo korzystne. Takim ludziom można zlecić najbardziej karkołomne misje.

Teraz prokurator Delbert przypuścił swój atak:

— Sir, czy może nam pan powiedzieć, kto wydał rozkaz aresztowania Terry'ego Sancheza i jego ludzi?

— Ja.

— Na jakiej podstawie podjął pan taką decyzję?

— Kiedy Miłoszević i jego ludzie zaczęli organizować codzienne konferencje prasowe, zdaliśmy sobie sprawę, że coś poważnego musiało się wydarzyć.

— Ale dlaczego padło akurat na oddział Sancheza?

— To proste. Ciała zabitych znaleziono w Trzeciej Strefie. A tam działał tylko oddział Sancheza.

— Czy nakazał pan ewakuację oddziału?

— Nie musiałem. Ewakuowali się sami trzy lub cztery dni przed wydaniem przeze mnie nakazu aresztowania.

— Dlaczego się ewakuowali?

— Ponieważ jednostka kosowska, którą przedtem szkolili, została wymordowana.

— Kiedy to nastąpiło?

— Jakies trzy, cztery dni wcześniej.

— Czy śmierć partyzantów z Kosowa nie została przez nich natychmiast zgłoszona?

— Sądzę, że tak właśnie było.

— A więc, czemu nie nakazano im natychmiastowej ewakuacji?

— Ponieważ zdecydowałem, że lepiej będzie, jeśli zostaną na miejscu. Po tym, jak Kosowianie wpadli w zasadzkę, Terry przeniósł się z oddziałem do nowej bazy, o której tylko oni wiedzieli. Byli więc bezpieczni. Nadal szkolimy kosowskich partyzantów. A kiedy przeniesiemy ich do Kosowa, być może oddział Sancheza znów będzie pełnił wobec nich rolę Anioła Stróża.

— Jak wygląda morale żołnierzy Sancheza, generale? — zapytałem.

— Świetnie. Powiedziałbym nawet, że lepiej niż kiedykolwiek.

— Słyszałem, że mieliście tutaj przypadek samobójstwa i usiłowania samobójstwa.

— W każdej jednostce zdarzają się takie przypadki.

— To prawda. Ale tu mamy do czynienia z jednym udanym i jednym usiłowanym samobójstwem w ciągu zaledwie paru miesięcy.

Teraz oczy Murphy'ego przypominały wąskie szparki.

— Słuchajcie, majorze, w tym oddziale nie było przypadku samobójstwa od trzech lat. Niech pan sprawdzi inne jednostki, a przekonana się pan, że jesteśmy znacznie poniżej średniej.

— Tu generał spojrział na zegarek i powiedział: — Słuchajcie państwo, muszę wracać do centrum operacyjnego. Przerzucamy dzisiaj dwa oddziały, więc muszę być pod ręką.

— Oczywiście, generale — powiedziałem. — Przepraszam, że zajęliśmy panu tyle czasu.

Nie byłem szczerzy, rzecz jasna. O wiele bardziej wolałbym umieścić tego gagatka na dwanaście godzin w pustym pokoju, poświecić mu lampą w oczy i mieć pod ręką kilka ostrych przedmiotów do wbijania pod paznokcie. Czasem kłamstwo wyczuwa się na odległość. Jeśli powiedział choć słowo prawdy, to przez czysty przypadek.

Szczególnie intrygował mnie fakt tak dużego upływu czasu pomiędzy złożeniem przez Sancheza raportu o zabitych partyzantach z Kosowa a ewakuacją oddziału. Wyjaśnienie Murphy'ego nie trzymało się kupy. Byłem jednak pewien, że coś wymyśli.

Po wyjściu z budynku zapytałem Morrow i Delberta:

— To co już wiemy?

Delbert potarł brodę i powiedział:

— Wiemy, że oddział Sancheza miał zatrzeć ślady.

— Wiemy, że ni stąd, ni zowąd nikt nie przyznaje się do znajomości z Terryem Sanchezem. Nagle stał się trędowaty — dodała Morrow.

Wszyscy zastanawialiśmy się nad tym przez chwilę, po czym Delbert zapytał:

— A więc, jakie mamy plany na dzisiejsze popołudnie?

— Jedziemy odwiedzić obóz uchodźców albańskich.

— Po co? Kiedy zobaczymy się z Sanchezem i jego oddziałem?

— Niech pan słucha, Delbert. Można uznać niemal za pewnik, że Sanchez i jego drużyna zabili trzydziestu pięciu ludzi. Co gorsza, dodatkowo ktoś wykonał *coup de grâce*. Mamy ciała, narzędzia zbrodni i podejrzanych. Czego nam brakuje?

— Motywu — odparł Delbert.

\* \* \*

Lot do Albanii trwał około dwóch godzin. Musieliśmy lecieć wzdłuż linii brzegowej Bośni, a potem skrócić gwałtownie w lewo. Albania to mały kraj, bardzo ubogi, pełen biednie ubranych ludzi i rozpadającej się stalinowskiej architektury.

Albańczycy to silny i odważny naród. Nie wtrącają się do innych i oczekują, że inni też zostawią ich w spokoju. Burzliwa historia Bałkanów sprawiła, iż wielu Albańczyków osiedliło się w Macedonii i w Kosowie.

Kosowo z kolei jest serbską Jerozolimą, miastem starych prawosławnych świątyń i ważnych historycznych miejsc, i chociaż niespełna dziesięć procent jego mieszkańców mogłoby się doszukać u siebie paru kropel serbskiej krwi, zaborczy Słobo Miloszević postanowił oczyścić tę krainę z Albańczyków, zabijając ich lub wypędzając przez góry do sąsiedniej Macedonii lub Albanii.

Samolot podskoczył kilka razy przy lądowaniu na nierównej powierzchni, jakieś dwadzieścia kilometrów od granicy z Kosowem. Znowu czekał na nas dżip. Za kierownicą siedział major Sił Specjalnych o nazwisku Willis. Miał nas zawieźć do obozu uchodźców o niewyszukanej nazwie Obóz Alfa.

Nie pierwszy raz byłem w takim miejscu. Widziałem niedolę tysięcy Kurdów i szyitów, którzy po wojnie w Zatoce uciekli na południe do Kuwejtu. U Delberta i Morrow natomiast od razu zaobserwowałem symptom szeroko otwartych oczu, jak mówiono w wojsku. Składało się na niego trzydzieści procent przerażenia, trzydzieści procent współczucia, a resztę stanowiło poczucie winy.

— Przyzwyczajacie się do tego — powiedział major Willis, gdy mijaliśmy rzędy stawianych naprędce namiotów, w których tłoczyli się przeważnie starzy ludzie i matki z małymi dziećmi.

— Ilu ich tu jest? — spytał Delbert.

— Nie jesteśmy pewni. Codziennie ta liczba się zmienia. Czasem wzrasta o kilkaset osób, czasem o kilka tysięcy.

— Skąd wiecie, ile żywności przygotować? — spytała Morrow.

— Tym się zajmują ci z ONZ. Poznacie kobietę, która tym zarządza, ale to później.

Zatrzymaliśmy się przed małą częścią obozu ogrodzoną drutem kolczastym. Przed bramą stało dwóch uzbrojonych strażników.

Wygramoliliśmy się z dżipa i weszliśmy do wielkiego namiotu, który okazał się centrum operacyjnym prowadzonym przez Zielone Berety i Albańczyków ubranych w prowizoryczne mundury.

— To jedna z trzech baz szkoleniowych założonych dla Wyzwoleńczej Armii Kosowa — powiedział Willis. — Jej oddziały walczyły przeciwko Serbom jeszcze przed nalotami NATO, ale Serbowie szybko je rozbili.

— Jak liczna jest Armia Wyzwoleńcza? — spytał Delbert.

— Mniej więcej pięć, sześć tysięcy.

— Tylko pięć lub sześć tysięcy?

— Zgadza się. No cóż, Serbowie robią dokładną selekcję. Niemal każdego młodego Albańczyka zdolnego do noszenia broni zabierają do lasu, zabijają i ciało zakopują. My próbujemy rekrutować tych, którzy się jeszcze uchowali.

— Czy oddział Sancheza miał bazę właśnie w tym obozie? — zapytałem majora Willisa.



— Nie. Sanchez i jego chłopcy stacjonowali w Obozie Charlie, jakieś czterdzieści kilometrów stąd na wschód. Wszystkie obozy są do siebie podobne. — Willis spojrzął na zegarek. — Jeśli chcecie trochę pogadać z tymi z ONZ, to lepiej ruszajmy.

Wyszliśmy z centrum operacyjnego i wsiedliśmy do dżipa. Przejechaliśmy wśród namiotów do następnej ogrodzonej drutem kwatery, gdzie czekała na nas żylasta i chuda pięćdziesięcioletnia kobieta o ptasiej twarzy. Wskoczyła do dżipa i kazała kierowcy jechać do centrum obozu. Mówiła z francuskim akcentem. Nazywała się Marie.

Dojechaliśmy do ogrodzonych drutem namiotów. Przy wejściu widniał wielki czerwony krzyż. Wsiedliśmy z samochodu.

— Nowi uchodźcy są w pierwszej kolejności przywożeni tutaj na badanie lekarskie — powiedziała Marie. — Aby dostać się przez granicę do tego obozu, muszą się przeprawić niebezpieczną drogą przez góry. Niektórzy docierają tu z odmrożeniami lub ranami zadanyimi przez Serbów.

Weszliśmy do jednego z namiotów. W kilku miejscach lekarze badali ludzi. Marie poprowadziła nas do małej dziewczynki leżącej na łóżeczku. Dziecko było brudne, w poszarpanym ubraniu. Nad nim trwała nieruchomo skulona w kłębek kobieta, podczas gdy lekarz robił jakieś notatki.

Marie i lekarz zamienili kilka słów po francusku, a my tymczasem patrzyliśmy na dziewczynkę. Była w stanie śpiączki, choć oczy miała szeroko otwarte.

— Ta dziewczynka ma dwanaście lat — wyjaśniła Marie. — Jej matka mówi, że serbska milicja wpadła do ich domu późno wieczorem. Wyłamali drzwi i wyciągnęli dziewczynkę i jej dwie siostry do ogrodu. Wszystkie zgwałcili, a siostry dziewczynki zastrzelili. Matka nie wie, dlaczego oszczędzili najmłodszą. Kazali im w ciągu dwóch dni opuścić dom, grożąc, że przyjdą znowu.

Podeszli do następnego lekarza. Przykładał stetoskop do piersi starego człowieka, który miał stopy obwiązane szmatami. Mężczyzna siedział na metalowym stole i cierpliwie poddawał się badaniu. Znowu Marie i lekarz wymienili kilka zdań.

— Ten człowiek został zgarnięty przez serbską policję około trzech tygodni temu. Bili go ciężkimi metalowymi pałkami. Lekarz mówi, że cudem uszedł z życiem — powiedziała Marie.

Kiedy wyszliśmy z namiotu, dodała:

— Staruszek nie przeżyje nawet dwóch dni. Ma ciężki wewnętrzny krwotok.

I tak przez następną godzinę. Szliśmy od namiotu do namiotu, przyglądając się różnym okropnym przypadkom.

Muszę przyznać, że po obejrzeniu dziewczynki i starca nie miałem ani odrobiny zrozumienia dla Serbów. W drodze powrotnej do Tuzli prawie się do siebie nie odzywaliśmy.

## ROZDZIAŁ 3

Imelda wraz z asystentkami wniosła tanecznym krokiem tace z jajkami na bekonie. Znow była w pełnej gotowości do stawienia czoła Delbertowi lub Morrow lub obojgu naraz. Tymczasem nikt się nie odezwał słowem. Wzięli noże, widelce i zaczęli jeść śniadanie, apatyczni i obojętni. Imelda obserwowała ich bacznie przymrużonymi oczami, węsząc jakiś podstęp. Nic się nie wydarzyło. Po wizycie w Obozie Alfa nawet najbardziej szowinistyczny maniak zdrowego odżywiania nie śmiałyby narzekać na coś takiego jak nadmiar cholesterolu.

Całą noc nie zmrużyłem oka, podczas gdy stary człowiek umierał od ran po brutalnym pobiciu, a mała dziewczynka wciąż na nowo przeżywała koszmary i konała w cichych męczarniach. Z podkrążonych oczu Delberta i Morrow wywnioskowałem, że też mieli za sobą bezsenność pełną upiórów.

Teraz Delbert, Morrow i ja mieliśmy pewien rodzaj moralnego kompasu potrzebnego do rozpoczęcia śledztwa.

— Sądzę, że nadeszła pora na wycieczkę do Włoch i poznanie naszych podejrzanych — oznajmiłem.

Moi podwładni bez słowa przyjęli to polecenie.

Niezastąpiona Imelda już zapewniła nam transport. Na pasie startowym czekał na nas nowy C-130, tym razem wypełniony rozkrzyczanymi żołnierzami, spieszącymi się do Włoch po trochę rozrywki.

Na szczęście lot był krótki. Po upływie półtorej godziny znaleźliśmy się na nowoczesnym lotnisku w północnych Włoszech. Za sprawą Imeldy stał już podstawiony wojskowy łazik. Jego kierowca oczekiwał nas w budynku.

Pojechaliśmy do hoteliku na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się wspaniały widok na długą równinę urozmaiconą miejscami przez pagórki. Na szczycie każdego z nich wznosił się pałac lub zameczek. Widok zaiste romantyczny, prawdziwie włoski. Baza lotnicza Aviano, gdzie trzymano więźniów, znajdowała się około pięciu kilometrów stąd.

Delbert i Morrow natychmiast wskoczyli w stroje sportowe i pobiegli drogą. Po powrocie do cywilizacji musieli się pozbyć nadmiaru cholesterolu nagromadzonego przy czynnym udziale niestrudzonej Imeldy. Ja natomiast włożyłem kąpielówki i udałem się na basen. Było to miejsce, gdzie zwykle przychodziły mi do głowy najlepsze pomysły i rozwiązania.

Postanowiliśmy, że zaczniemy przesłuchanie od kapitana Terry'ego Sancheza, dowódcy oddziału. Przystudiowałem jego papiery i z niecierpliwością oczekiwałem tego spotkania. Dowiedziałem się, że jego rodzice byli kubańskimi emigrantami, którzy uciekając przed Fidelm Castro, osiedlili się wraz z dużą falą uchodźców na południowej Florydzie. Sam Sanchez miał trzydzieści dwa lata. Był absolwentem Uniwersytetu Stanowego Florydy. Radził sobie dzięki stypendium. Teczka zawierała jego służbowe zdjęcie, gdy stoi na baczność w zielonym mundurze. Wzrost i wagę miał średnią, włosy ciemne, a oczy uderzająco smutne.

Podpułkownik Smothers określił Sancheza jako doskonałego oficera. Lecz w oficjalnych raportach oceniających pracę Sancheza dał mu ocenę średnią, podobnie jak inni. Tyle na temat otwartości i szczerości Smothersa.

Siedziałem już dobrą godzinę na basenie, gdy ujrzałem Lisę Morrow i Delberta. Morrow biegła pierwsza, a gdy dotarli do mojego leżaka, dyszeli oboje jak konie pociągowe. Morrow miała na sobie obcisłe nylonowe legginsy i muszę przyznać, że mogłaby je prezentować na pokazie mody sportowej.

Spojrzałem na zegarek.

— Do rozmowy z pierwszym świadkiem mamy około trzydziestu minut — przypomniałem.

Pognali do swoich pokoi, a ja pokręciłem się przy basenie jeszcze piętnaście minut i też ruszyłem do siebie przebrać się w mundur.

Areszt sił lotniczych był hańbą dla armii. Przypominał luksusowy hotel z telewizją kablową w celach, oddzielnymi prysznicami i toaletami oraz miłą nowoczesną jadalnią.

Powitał nas strażnik, puciołowaty major lotnictwa. Zamieniliśmy z nim kilka zdań przed spotkaniem z więźniami. Chciałem się upewnić, że więźniowie nie mieli ze sobą kontaktu. Mruknął coś wymijająco, więc zbliżyłem twarz do jego twarzy i zapytałem:

— Ci więźniowie nie stykali się ze sobą, zgadza się? Zaprzeczył. Pozwolono im na spotkania. Spytałem, co za dureń im na to zezwolił. Zaczerwienił się po cebulki włosów i powiedział, że mieli oficjalne pozwolenie od dowódcy Dziesiątej Jednostki, generała Murphy'ego.

Oddział Sancheza był oskarżony między innymi o spiskowanie, a każdy specjalista od spraw karnych wie, że standardowa procedura wymaga trzymania podejrzanych z daleka od siebie, żeby uniemożliwić im uzgodnienie alibi. Major zapytał, czy chcę zobaczyć kopię rozkazu generała Murphy'ego. Pewnie, że chciałem, i z miejsca odwołałem ten rozkaz.

Wprowadzono nas do jakiegoś pokoju i kazano czekać. Trzy minuty później wprowadzono kapitana Terry'ego Sancheza. Miał na sobie mundur połowy. Niczym go nie skrepowano. Sierżant lotnictwa, który go wprowadził, ulotnił się dyskretnie.

Sanchez wyglądał szczuplej niż na fotografii, a wyraz oczu miał znacznie twardszy, bez śladu tamtej melancholii. Być może był to efekt oskarżenia o masową zbrodnię.

— Kapitanie Sanchez, jestem Sean Drummond, szef zespołu dochodzeniowego, a to pozostali jego członkowie — James Delbert i Lisa Morrow. Proszę usiąść — powiedziałem, wskazując mu krzesło po przeciwnej stronie stołu.

Przeszedł bez słowa na wskazane miejsce i usiadł.

— To tylko rozmowa wstępna — wyjaśniłem. — Powiedziano nam, że zrezygnował pan z prawa do adwokata. Czy to się zgadza?

— Owszem — odparł, a głos lekko mu zadrżał.

— Na początek kilka pytań ogólnych. Proszę zacząć od zadania, jakie pana oddział otrzymał po wysłaniu was do Kosowa.

Pochylił się do przodu i oparł usta o mocno ściśnięte dłonie. Każdy zawodowy śledczy wie, że to klasyczna postawa człowieka, który zamierza opowiedzieć parę kłamstw.

— Byliśmy częścią operacji nazwanej Anioł Stróż. Ludzie Wyzwoleńczej Armii Kosowa, których szkoliliśmy, mieli wkroczyć do akcji. Naszym zadaniem było eskortowanie ich i pomaganie im.

— Czy zostali przez was wyszkoleni wystarczająco, aby radzić sobie samodzielnie?

— Nie.

Sięgnąłem do mojej grubej teczki po kartkę.

— Mam tu kopię pana oceny tej grupy po zakończeniu szkolenia. Pisze pan, że są gotowi.

Popatrzył na kartkę.

— Piszę, że spełniają minimalne standardy, jakie musi spełnić każdy oddział kosowski, zanim uzyska właściwe świadectwo.

— Czy było coś nie tak z tymi standardami?

— Tak. Te standardy są trochę niższe niż przewidziane dla żołnierzy szkolonych w naszej armii. Nauczyliliśmy ich akurat tyle, że dali się zabić.

— Jakie miał pan stosunki z grupą albańską?

— Zawodowe.

— Czy czuł się pan za nich odpowiedzialny?

— Nie, nie czułem. To nie nasza wojna, lecz ich.

— Słuszna uwaga — przyznałem. — A jednak mimo wszystko wydaje mi się, że w tamtych warunkach trudno było zachować obojętność wobec tych ludzi.

— Majorze, obaj wiemy, do czego zmierzają pana pytania.

— A do czego?

— Do stwierdzenia, że kiedy grupa Armii Wyzwoleńczej została wyrznięta w pień, wpadliśmy w szal i dokonaliśmy zemsty. Nic takiego nie miało miejsca.

— Nie? — spytałem, notując w pamięci, że użył zwrotu „wyrznięci w pień”. — To proszę mi powiedzieć, co się stało.

— Po tym jak nasza kosowska grupa została, hm, zgładzona, zameldowaliśmy o tym w dowództwie Dziesiątej Jednostki. Powiedziano nam, żebyśmy przenieśli obóz w inne miejsce i czekali na dalsze instrukcje. Tak też zrobiliśmy. Po upływie dwóch dni zaczęliśmy podejrzewać, że nasza nowa baza została odkryta, a więc...

— Skąd się wzięły te podejrzenia? — przerwałem mu.

— Stąd, że sierżant Perrite i sierżant Machusco zauważyli, iż jesteśmy pod obserwacją jakiegoś serbskiego oddziału.

— Kiedy to było?

— Siedemnastego po południu.

— Nie przypominam sobie takiej notatki w dzienniku dowództwa Dziesiątej Jednostki.

— Nie złożyłem takiego raportu.

— Dlaczego? Wydaje mi się, że coś tak ważnego należy zgłosić natychmiast.

— Może dlatego, że jest pan prawnikiem i nigdy nie był pan w podobnej sytuacji.

Bywałem w takich sytuacjach, ale nie zamierzałem tego zdradzać Sanchezowi. Sanchez najwyraźniej raczył mnie historyjką, którą wymyślili z kolegami. Postanowiłem, że na razie najlepszą strategią będzie wysłuchanie jej do końca.

— I co pan wtedy zrobił?

— Atak mógł nastąpić w każdej chwili, wobec czego postanowiliśmy zastosować opracowany przed dwoma dniami plan odwrotu.

— Czy byliście śledzeni? — spytałem.

— Tak.

— Skąd o tym wiedzieliście?

— Ponieważ zostawialiśmy za sobą flary.

— Ile z nich wybuchło?

— Nie pamiętam dokładnie. Może jedna lub dwie.

— Co to był za rodzaj flar?

— Gwiazdy sygnałowe odpalane potykaczami rozciągniętymi w poprzek ścieżki.

— Ile ich zastawiliście?

— Dokładnie nie wiem. Zastawiał je zamykający kolumnę.

Jednym z trików stosowanych w przesłuchaniach spiskowców jest pytanie o drobne szczegóły. Zwykle konspiratorzy ustalają między sobą rzeczy ogólne i wpadają na szczegóły.

— I co się potem wydarzyło?

— Nasz plan wycofywania się i unikania bezpośredniej konfrontacji zakładał posuwanie się na południe, przez granicę, do Macedonii. Obawiałem się, że serbski pościg zawiadomi swoje dowództwo i zastawią na nas zasadzkę. Postanowiłem zmienić kierunek marszu na wschodni.

— Czy rozmawiał pan o tym z kimś z oddziału?

— Chyba nie. Wszystko działo się bardzo szybko.

— W jakiej mniej więcej odległości za wami poruszał się serbski oddział? — zapytałem.

— Byli za nami. To wszystko, co wiedziałem.

— Ale mówił pan, że kilka flar wypaliło. Na tej podstawie można obliczyć odległość dzielącą wasze oddziały.

Patrzył na mnie przez chwilę i dopiero potem odpowiedział:

— Osobiście nie widziałem tych flar. Skupiałem się na prowadzeniu oddziału. Doszła do mnie taka wiadomość, ale nie pamiętam, kto mi o tym mówił.

Teraz ja z kolei milczałem chwilę, czekając na dalsze wyjaśnienia, ale nie nastąpiły.

— Okay — odezwałem się. — I co pan dalej robił?

— Przez resztę dnia posuwaliśmy się naprzód zygzakiem, żeby zmylić wroga. Od czasu do czasu widzieliśmy słupy dymu nad wierzchołkami drzew i odgłosy pojazdów dochodzące z oddali.

— A jak je pan interpretował? — zapytałem.

— Uważałem, że Serbowie przegrupowują swoje siły, by zastawić na nas zasadzkę.

— I ciągle nie decydował się pan na kontakt radiowy z dowództwem Dziesiątej Jednostki?

— Nie. Posuwaliśmy się w dużym tempie. Wszystko wokół nas działo się bardzo szybko. A poza tym, co oni mogli zrobić w tej sytuacji?

— Na przykład wykonać powietrzny rekonesans i określić waszą sytuację. Mogli też dać wam osłonę z powietrza, a nawet posłać helikoptery, żeby wyciągnęły was stamtąd.

Przez moment sprawiał wrażenie rozdrażnionego, ale zaraz wruszył tylko ramionami.

— Cóż, przyznaję, że nie myślałem zbyt jasno tego dnia. Próbowałem ocalić życie moich ludzi. Poza tym obawiałem się, iż Serbowie mogą przechwycić nasze sygnały radiowe. Namierzyliby nas wtedy z łatwością.

— Sądziłem, że namierzili was już wcześniej.

— Nie. Powiedziałem, iż mieliśmy takie przypuszczenia. Jak mi doniesiono, nasze flary wystrzeliły, ale to nie oznaczało, że znali dokładnie nasze położenie.

Sanchez zaczynał się denerwować. Moje pytania wyraźnie wytrąciły go z równowagi. Dokładnie to chciałem osiągnąć.

— Proszę mówić dalej — poprosiłem go.

Dłuższą chwilę dochodził do siebie.

— Przez cały dzień uciekaliśmy. Miałem nadzieję, że po zapadnięciu zmroku zawrócimy na południe i spróbujemy przejść przez granicę. Około północy dotarliśmy do serbskich pozycji. Z różnych kierunków dochodziły do nas odgłosy samochodów, co oznaczało, że Serbowie nasilali poszukiwania. Potem, około drugiej, wystrzeliła w powietrze następna flara, niecałe dwa kilometry od nas. Wtedy zadecydowałem, że musimy zastawić pułapkę na kolumnę pościgową Serbów.

— A co pana do tego skłoniło?

— Musieliśmy zwrócić czymś uwagę wojsk serbskich. Byli od nas szybsi i coraz bardziej zacieśniali wokół nas pętlę. Gdybym nie znalazł sposobu na opóźnienie ich ruchów, dopadliby nas szybko.

— I uznał pan, że zasadzka to właśnie to?

— Oczywiście. Musieli się przekonać, że jesteśmy niebezpieczni.

— Czy rozkazy nie mówiły wyraźnie, że zabijać możecie jedynie w obronie własnej?

— To była obrona własna — upierał się. — Postanowiłem uderzyć o świcie. Znalazłem na mapie miejsce, gdzie na drodze był podwójny zakręt, a po obu jej stronach — strome zbocza. Zajęliśmy pozycje około czwartej nad ranem. Przygotowaliśmy zasadzkę i czekaliśmy. Co pewien czas przejeżdżał jakiś samochód, ale przepuszczaliśmy go. Przed wpół do szóstej nadjechała kolumna sześciu pojazdów i wtedy zaatakowaliśmy.

— Dlaczego wybraliście tę właśnie kolumnę?

— Bo była liczniejsza. Chciałem, by Serbowie myśleli, że jest nas więcej niż w rzeczywistości.

— Skoro was śledzili, to czy nie sądzi pan, że mieli całkiem dobre wyobrażenie o waszej liczności?

— Właśnie o to chodziło. Też sądziłem, że wiedzą, ilu nas jest mniej więcej i dlatego pomyślałem, że jeśli zaatakujemy większy oddział, to pomyślą, że w rzeczywistości jest nas więcej, niż im się początkowo wydawało.

— Ile czasu trwała ta zasadzka?

— Pięć minut. Umieściliśmy na drodze dwie zdalnie detonowane miny przeciwpancerne i wysadziliśmy pierwszy samochód, żeby zatrzymać kolumnę. Ustawiliśmy też łańcuch „stokrotek” po przeciwnej stronie drogi, który zdetonowaliśmy, gdy oddział wyskoczył z pojazdów i próbował kryć się za nimi. Przez kilka dobrych minut przeczesywaliśmy kolumnę ogniem z M-16 i karabinów maszynowych. A potem odeszliśmy.

Mieliśmy już wyjaśnienie, dlaczego tak wiele ciał w kostnicy w Belgradzie miało plecy posiekane minowymi kulkami. Przyjęliśmy to z ulgą, ponieważ alternatywą było to, iż Sanctiez i jego ludzie odpalili takie miny w plecy wycofującego się wroga.

— Czy ktoś z Serbów przeżył?

— Tak.

— Skąd pan wie?

— Ponieważ ciągle strzelali, kiedy odchodziliśmy.

— Ilu mogło przeżyć według pana obliczeń?

— Czterech lub pięciu strzelało za nami, i z pewnością było wielu rannych.

— Wie pan, że Serbowie twierdzą, iż nikt nie przeżył?

— To kłamstwo! — krzyknął autentycznie rozwścieczony. — Kiedy odchodziliśmy, na tej drodze z całą pewnością byli żywi ludzie.

— Widziałem ciała — odparłem. — Trzydzieści pięć ciał.

W tym momencie nasze oczy się spotkały i przez chwilę w milczeniu mierzyliśmy się wzrokiem. W końcu spytałem:

— Co się działo potem?

— Poprowadziłem ludzi z powrotem na południe. Od granicy dzieliło nas może pięćdziesiąt kilometrów. Poruszając się szybko, mogliśmy przejść ten dystans w ciągu nocy.

— Czy skontaktował się pan z dowództwem? — spytałem, wiedząc, że to zrobił, ponieważ jego raport odnotowano w dzienniku.

— Tak.

— Czy zameldował pan o zasadzce?

— Nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ chciałem uniknąć błędnych domysłów z ich strony.

— A więc, o czym pan zameldował?

— O tym, że wycofywaliśmy się z tego terenu.

— Czy wyjaśnił pan, że oddział był w niebezpieczeństwie?

— Nie.

— Dlaczego?

— Sądziłem, że dzięki zasadzce zyskaliśmy wystarczająco dużo czasu na wycofanie.

— Ale po powrocie nadal nie informował pan nikogo o zasadzce. Dlaczego?

— Niech pan słucha, popełniłem błąd — powiedział, przybierając skruszony wyraz twarzy. — Przyznaję się. Uważałem, że nic takiego się nie stało i nie było powodu do meldowania o tym incydencie.

Ogólna koncepcja tej opowieści była dobra. Można dzielić włos na czworo, dyskutując nad zasadnością obrony własnej. Tu jednak mieliśmy obraz zdesperowanego oddziału, który wpadł w pułapkę na tyłach wroga i otaczali go żądni krwi Serbowie. Taka historia mogła w każdym wzbudzić zrozumienie i współczucie.

— Czy macie jakieś pytania? — zwróciłem się do Delberta i Morrow.

Pokręcili przecząco głowami.

Sanchez wciąż siedział w tej samej pozycji, trzymając mocno splecione dłonie przy ustach. Domyślałem się, że umiera z niepokoju, jakie wrażenie wywarła na nas jego opowieść.

— Dziękujemy za poświęcony nam czas, kapitanie Sanchez — powiedziałem beznamytnie, wyłączając magnetofon i wkładając dokumenty do teczki.

Podniósł się i przysunął swoje krzesło z powrotem do stołu. Stał, czekając na coś z dziwną miną.

— Hej, majorze — odezwał się w końcu.

— Tak? — odparłem, wstając i szykując się do wyjścia.

— Nie zamordowaliśmy tych Serbów. Przysięgam. Kiedy odchodziliśmy, niektórzy z nich jeszcze żyli.

\* \* \*

W pokoju hotelowym zastałem kopertę wsuniętą przez szparę pod drzwiami, a na telefonie mrugało irytujące czerwone światełko wskazujące na wiadomość.

W kopercie znalazłem faks przekazany przez Imeldę. Zawierał kopię artykułu z wczorajszego wydania waszyngtońskiego „Heralda”. Autorem był nie kto inny, jak Jeremy Berkowitz, facet, z którym rozmowę przerwałem, rzucając słuchawką. Podawał szokujące rewelacje, że armia przekazała prowadzenie śledztwa — w być może najpoważniejszej w jej historii sprawie kryminalnej — podrzędnemu majorowi i parze kapitanów. Nawet wymienił kilka razy moje nazwisko. Uznałem, że jeśli to miało być najlepszym dziennikarstwem, na jakie stać Berkowitza, to absolutnie należy go dopuścić do relacjonowania tej sprawy.

W poczcie głosowej były dwie wiadomości. Jedna od nachalnego i nerwowego prezydenckiego asystenta, z którym miałem spotkanie przed wyjazdem z Waszyngtonu, a druga od generała Clappera, szefa JAG. Do Białego Domu nie zamierzałem oddzwaniać. Wystarczy, że człowiek zrobi to raz i już na zawsze będzie miał tych ludzi na karku. Jak była dziewczynę, która się nie chce odczepić.

Poprosiłem centralę o natychmiastowe połączenie z generałem Clapperem. Już po chwili usłyszałem jego głos:

— Jakie to uczucie być sławnym? — zachichotał do słuchawki.

— Znacznie lepiej czułem się jeszcze wczoraj, gdy nikt nie znał mojego nazwiska.

— Czym pan tak wkurzył Berkowitza? — spytał.

— Rzuciłem tylko słuchawką.

— Nie radzę tak postępować z tym człowiekiem.

Też byłem nierad ze swojego postępu, ale nie zamierzałem się przyznawać generałowi.

— Jak tam pogoda w Waszyngtonie? — spytałem.

— Gorąco jak w piekle. Niektórzy zaczynają mieć wątpliwości, czy wybór pańskiej osoby do prowadzenia tej sprawy był właściwy. Osobiście nic do pana nie mam, Sean, ale ten artykuł Berkowitza znalazł swój oddźwięk w niektórych kręgach.

— Czy mógłbym wiedzieć, kto konkretnie ma te wątpliwości?

— Nie rozmawiałem z nim o tym osobiście, ale mówiono mi, że prezydent niemal chodził po suficie po przeczytaniu tego artykułu.

— Ach, on — powiedziałem, usiłując zachować zimną krew. — Czy ktoś jeszcze? To znaczy, ktoś ważny?

— Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów też nie był szczególnie zadowolony. A z nim akurat rozmawiałem osobiście.

A więc atak Berkowitza okazał się o wiele skuteczniejszy, niż sądziłem. Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza na tyle długa, że można ją było określić jako pełną napięcia. Pomyślałem, że może w ten subtelny sposób Clapper daje mi do zrozumienia, iż powinienem dobrowolnie zrzec się prowadzenia śledztwa na rzecz kogoś innego. W końcu wypaliłem:

— Panie generale, rozpocząłem to dochodzenie i chciałbym je doprowadzić do końca.

Clapper odpowiedział bez chwili wahania:

— Dobrze. Niech tak będzie. Ale jedna rzecz, Sean. Popracuj pan nad swoją postawą wobec prasy.

— W porządku — odparłem i wyłączyłem się.

Od tygodnia nie miałem w ustach porządnego mocnego drinka. Postanowiłem to naprawić, zwłaszcza że rzeczy wyglądały, tak jak wyglądały. *Tout de suite*, jak mówią niektórzy. Zadzwoeniłem najpierw do Delberta, a potem do Lisy Morrow z propozycją spotkania w barze na dole.

Delbert wymówił się, tłumacząc, że musi przygotować pytania na jutrzejsze przesłuchanie.

Morrow powiedziała:

— Oczywiście. Będę na dole za dziesięć minut. Skłamałbym, gdybym powiedział, że zmartwiłem się takim obrotem spraw.

Sączyłem pierwszą szkocką z lodem, gdy pojawiła się Morrow w obcisłych dzinsach i luźnym podkoszulku. Stwierdziłem po raz kolejny, że gdyby ta kobieta chciała zrezygnować z kariery prawniczej, to całkiem nieźle poradziłaby sobie jako modelka.

— Czego się napijesz? — spytałem, gdy usadowiła się naprzeciwko.

— Szkockiej z lodem — odparła, a ja o mało nie spadłem z krzesła. Byłem niemal pewien, że zamówi wodę Evian z odrobiną cytryny.

Dałem znak barmanowi, iż zamawiam jeszcze raz to samo.

— Zawsze to pijesz? — spytałem.

— Nie. Zwykle zamawiam wodę Evian z odrobiną cytryny, ale chciałam cię zaskoczyć — rzekła z przekornym uśmieszkiem.

— Taaa, ja też zwykle pijam wodę Evian — powiedziałem w przekonaniu, że jestem superdowcipny.

— Nie, ty zwykle pijasz szkocką z lodem. W gruncie rzeczy mogłabym się założyć, iż nigdy w życiu nie wypijeś nawet łyka wody Evian.

— A dlaczego miałabyś się zakładać?

— A dlatego. Zagramy w pytania i odpowiedzi?

Gdybym nie był takim zarozumiałcem, to z miejsca bym się sprzeciwił. Zamiast tego powiedziałem głupio:

— Pewnie. O co gramy?

— Ten, kto traci pytanie, wypija za każdym razem łyk szkockiej. Kto przegra całość, płaci rachunek.

— Zgoda.

Uśmiechnęła się.

— Co robi twój ojciec? — spytała.

— Jest fryzjerem — odparłem. — Mieszka w San Francisco.

— Pij! — nakazała. — Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że twój ojciec był zawodowym wojskowym.

Dopiłem resztkę szkockiej i skinałem na barmana po następną. Starłem się, jak mogłem, żeby ukryć zdumienie.

— Jakim cudem to zgadłaś? — spytałem w końcu.

— Nie zgadywałam. Doszłam do tego drogą dedukcji. Synowie mężczyzn o silnym charakterze zwykle są zbuntowani i zachowują się tak, jakby pozjadali wszystkie rozumy.

— W porządku. Powiedz, skąd jesteś?

— Ames, Iowa. Dorastałam na farmie i dzieciństwo upłynęło mi na dojeniu krów i wybieraniu jajek spod kur.

— Święta prawda — przyklasnałem. — Pij! I nie zapomnij mi opowiedzieć, jak zostałaś królową piękności, która omal nie wyszła za mąż za kapitana drużyny futbolowej.



— Ty pij! — rozkazała. — Nigdy w życiu nie byłam w Ames, Iowa. Pochodzę z północnego wschodu. Urodziłam się i wyrosłam w mieście. A blisko krowy znajdowałam się jedynie wtedy, gdy kroilał na talerzu wołową pieczeń.

— Naprawdę? — spytałem, otwierając usta ze zdumienia.

— Naprawdę — odparła z uśmiechem.

Upiłem łyk szkockiej i doszedłem do wniosku, że Morrow, już idąc tu, zamierzała wciągnąć mnie w tę grę. Roześmiała się i zadała następne pytanie:

— Okay. Dlaczego odszedłeś z piechoty i zostałeś prawnikiem?

Musiałem się przez chwilę zastanowić. W końcu wzruszyłem tylko ramionami:

— Chyba zmęczyło mnie zabijanie ludzi. Byłem na wojnie parę razy i jakoś ani trochę jej nie polubiłem.

Przyjrzała mi się uważnie i nagle twarz jej złagodniała.

— Pij — powiedziała niemal ze współczuciem.

— O nie, ty pij! — odpaliłem. — Bardzo mi się podobało na wojnach. A gdy się kończyły, płakałem z żalu.

Tak rzeczywiście było. I z tego właśnie powodu zostałem prawnikiem. Bałem się, że skończę jak mój ojciec, który do końca uwielbiał walkę.

— No dobrze — zacząłem, dumny ze zwycięstwa. — Czy byłaś kiedyś mężatką?

Nagle posmutniała.

— Byłam. Mój mąż też był wojskowym prawnikiem. Pewnego dnia przyszedł do domu wcześniej i zastałam go w łóżku z dwudziestoletnią praktykantką. — Morrow wpatrywała się intensywnie w dno swojej szklanki. — To była chyba moja wina. Zbyt wiele czasu poświęcałam pracy i... cóż... ja, hmm... wydaje mi się, że czułem się zaniedbywany.

— Pij! — warknąłem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

— Co?

— Słyszałaś! Pij!

Wypiła łyk i posłała mi prawdziwie intrygujące i zarazem złośliwe spojrzenie.

— Skąd wiedziałaś?

— Byłaś coś zbyt wylewna. Należysz do osób, które takie rzeczy trzymają tylko dla siebie.

— No dobrze. Czy byłaś kiedyś żonaty? — spytała.

— Nie.

— A zakochany?

— Raz.

— Więc dlaczego się nie ożeniłeś?

— Bo nie można się ożenić z własnym psem, choćby się nie wiem, jak go kochało — odrzekłem, posyłając Morrow jadowny uśmiech. — A teraz pij!

— To oszustwo — skrzywiła się.

— A właśnie, jest trzy do dwóch dla mnie. Płacisz za drinki.

Wypiła resztę szkockiej. Wyglądała na lekko pijaną. Wargi miała wilgotne. Serce zabiło mi żwawiej i nasze oczy się spotkały. A potem nastąpiła ta dziwna chwila, która zakończyła się jej uwagą, żebym zdjął mój ciężki but z jej sandałów.

Zapłaciła rachunek i rozstaliśmy się przy windach, ponieważ Morrow chciała pokonać dwa piętra pieszo, a ja wolałem wygodniejszy sposób. Zanim wsiadłem do windy, zauważyłem, jak wchodzi po schodach, potykając się i starając zachować fason.

\* \* \*

Rano, gdy wyruszyliśmy do bazy lotniczej, miałem leciutkiego kaca. Cały atak podstępnej szkockiej skoncentrował się na biednej pannie Morrow. Jedynie Delbert tryskał humorem i radością życia.

Dzisiaj mieliśmy się rozdzielić i w pojedynkę przesłuchiwać członków oddziału Sancheza. Licząc po dwie godziny na każdego z ośmiu pozostałych żołnierzy, powinniśmy skończyć wczesnym popołudniem. Zdecydowałem się wziąć starszego chorążego Michaela Persico, starszych sierżantów Andy'ego Caldwell'a i François Perrite'a.

Persico miał czterdzieści sześć lat. Kiedyś był sierżantem sztabowym, ale zgłosił się na szkolenie na chorążego i został przyjęty. Każdy oddział A ma swego starszego chorążego, który jest ekspertem technicznym, zdolnym do zajęcia się dosłownie wszystkim. W razie potrzeby potrafi przejąć funkcje pozostałych członków grupy, zaczynając od uzbrojenia, przez komunikację po służbę medyczną. Persico służył w tym oddziale przez ostatnie osiemnaście lat. Zdobył Brązową Gwiazdę za odwagę w Somalii i Srebrną Gwiazdę w Zatoce.

Przyglądałem mu się uważnie, kiedy wchodził do pokoju. Wzrost i budowę miał średnie, ale wyglądał na twardziela. Zdążył już mocno osiwieć. Twarz miał ogorzałą, a zmienna pogoda wyorała na niej wiele zmarszczek. Poruszał się pewnie, jak człowiek, który osiągnął w życiu większość z tego, co zamierzał.

Przyprowadził ze sobą prawniczkę, kapitan Jackie Caruthers, która posturą przypominała zawodowego futbolistę, tylko była ciut większa.

— Proszę usiąść — zwróciłem się do obojga.

Oczy Persica były szare jak u wilka. Mierzyły mnie teraz, jak wroga przed bitwą.

— Proszę mi opisać serię wydarzeń, które doprowadziły do zagłady oddziału Armii Wyzwoleńczej szkolonego przez pana — rzekłem.

Spojrzał na prawniczkę, a ona skinęła głową przyzwalająco.

— W porządku. Dowódcą oddziału był kapitan Kalid Akhan. Przyszedł do nas po południu i powiedział, że o świcie planuje wypad na siedzibę serbskiej policji...

— Czy rzeczywiście go zaplanował? — przerwałem mu.

— Tak, sir, zaplanował. Powiedział, że wie od miejscowych, iż ta komenda jest słabo strzeżona.

— Czy otrzymał jakąś pomoc od pana lub kogoś z pana oddziału?

— Nie. Dał nam jasno do zrozumienia, że chce to zrobić sam.

— Czy ten plan podobał się panu?

— Wyglądał okay. Biorąc pod uwagę informacje o Serbach, wydawał się dziecinnie prosty.

— Czy mógłby pan opisać ten plan?

— Oczywiście. Komenda policji znajdowała się pośrodku wioski o nazwie Piluca. Kapitan Akhan miał do dyspozycji dziewięćdziesięciu pięciu ludzi. Planował rozdzielenie się na trzy grupy i uderzenie o świcie. Jedna grupa miała zejść do wioski i oddzielić komendę od reszty gospodarstw. Druga miała zabezpieczać drogę do wsi od północy. Trzecia miała zaatakować i zająć budynek.

— A po zajęciu budynku, co planowali?

— Cóż, musi pan wiedzieć kilka rzeczy o komendzie w Pilucy. Serbski kapitan, jej dowódca, był uważany za eksperta od czystek etnicznych. Otrzymał nawet pseudonim Miot. Zawsze nosił młotek przytroczonego do pasa i kiedy mógł, używał go do miażdżenia palców, kości i genitaliów. To był prawdziwy sadysta.

— Jak duży miał oddział?

— Około trzydziestu Serbów. Nieźle sterroryzowali to miasteczko przez ostatni rok.

— A więc oddział Akhana chciał się zemścić? — spytałem.

— To pewnie też, ale kapitan Akhan zdawał sobie sprawę, że komenda w Pilucy była symbolem. Gdyby udało się ją zlikwidować, wtedy każdy Albańczyk z Kosowa w tym sektorze dowiedziałby się, że Armia Wyzwoleńcza była do czegoś zdolna.

— Co pan rozumie przez: zlikwidować?

— Zająć ją na godzinę lub dwie. Uwięzić kapitana i pozostałych Serbów.

— Jak pan wtedy sądził, co zamierzali zrobić z więźniami?

— Zakładałem, że kapitan Akhan zamierzał wydać ich przedstawicielom ONZ, aby mogli być sądzeni za zbrodnie przeciw ludzkości.

— Jak zamierzał tego dokonać, zważywszy na to, że byliście za linią wroga, co najmniej dwa dni marszu od Macedonii?

— Po prostu wierzyłem, że to zrobi — oświadczył Persico. — Kapitan Akhan nie był typem zabójcy.

— Czy zameldował pan w dowództwie o planowanym przez Akhana ataku?

— Nie. Nie było takiego wymogu. Mieliśmy upoważnienie do wydawania zgody na akcje kapitana Akhana.

— Upoważnienie? Sądziłem, że byliście tam jednak w charakterze doradców.

Nawet nie drgnęła mu powieka.

— Zgadza się. Źle się wyraziłem. Prawda była taka, że to kapitan Akhan miał prawo decydować o ataku samodzielnie.

— I jak się potoczyły wydarzenia?

— Wyszli około drugiej nad ranem, zamierzając zaatakować komendę o brzasku. Nie mamy dokładnych informacji, co się później stało. Być może Serbowie spodziewali się ich, a może był to po prostu nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

— Czy mógł nastąpić przeciek?

Persico zastanawiał się przez chwilę. W końcu odpowiedział:

— Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak się właśnie stało.

— Czy utrzymywał pan kontakt radiowy z oddziałem Akhana?

— Nie. Obowiązywała nas cisza radiowa.

— I co było dalej?

— Co było dalej? Cały plan wziął w łeb, a oni zginęli.

— Jak pan się o tym dowiedział?

— Około dziesiątej, kiedy ciągle nie wracali, wysłaliśmy Perrite'a i Machusca na zwiad. Przedostali się do miasteczka.

— Jak na tę wiadomość zareagował pański oddział?

— Wiadomo, że dopóki jest wojna, to ludzie giną.

— Nie był pan zawiedziony?

— Nie na tyle, by ruszyć do ataku i zabijać Serbów. Niech pan posłucha, kapitan Akhan i jego grupa to byli dobrzy chłopcy, ale nie utrzymywaliśmy z nimi zbyt bliskich stosunków. Oni trzymali się razem i my trzymaliśmy się razem. Większość z nich nie znała angielskiego, a z naszych tylko dwóch mówi po albańsku.

Persico popełnił coś, co nazwałbym bardzo pouczającym błędem. Chorążowie znani są z braku szacunku dla wszystkich. Pełnią dziwną rolę w armii, wciśnięci pomiędzy podoficerów i oficerów, nie akceptowani ani przez jednych, ani przez drugich. Persico nie mówił o Akhanie inaczej niż kapitan Akhan, co było wyrazem szacunku, jeśli nie czci. Nie kupowałem jego udanej obojętności.

— Jak się układały pana stosunki z kapitanem Sanchezem?

— Świetnie.

— Czy był dobrym przywódcą?

— Taa, fantastycznym.

— Proszę opisać, co pan dla niego robił?

— Byłem jego zastępcą. Odpowiadałem za szkolenie i umiejętności zawodowe naszego oddziału. On dowodził ludźmi, a ja pilnowałem, by każdy w oddziale znał swoje zadanie.

— Czy zdarzały się między wami jakieś tarcia?

— Nie. Współpracowało nam się bardzo dobrze. Majorze, dokąd pan zmierza? Znam Sancheza dwa i pół roku. Nie chodzimy razem do baru, ale się lubimy. Sposób, w jaki dowodził oddziałem, podobał mi się.

— Czy może pan opisać wydarzenia z siedemnastego, z dnia, w którym dowiedzieliście się, że Serbowie wykryli wasz oddział?

— Oczywiście. Byliśmy w bazie, a sierżanci Perrite i Machusco trzymali wartę na obrzeżu. Perrite wrócił biegiem ze swojego posterunku i zameldował, że on i Machusco zauważyli kilku Serbów na szczycie wzgórza, którzy obserwowali nas przez lornetki. Wtedy...

— Ilu Serbów zauważyli?

— Kilku. Powiedział, że nie przyglądali im się dokładnie. Wtedy Sanchez wydał rozkaz pakowania się i wymarszu. Plan ewakuacji mieliśmy gotowy już poprzedniego dnia. Zgodnie z nim, mieliśmy przemieścić się na południe.

— Czy tak właśnie zrobiliście?

— Przez pewien czas tak. Perrite zostawiał flary mniej więcej co dwa kilometry. Kiedy kilka z nich wybuchło, Sanchez zdecydował, że zmieniamy kierunek marszu.

— Ile flar wybuchło?

— Nie wiem. Może dwie lub trzy.

— Jak daleko byli Serbowie, gdy flary wystrzeliły?

— Jakies trzy kilometry od nas.

— W którym miejscu kolumny pan się znajdował?

— W części środkowej. Mieliśmy określoną procedurę marszową. Perrite i Machusco zabezpieczali tyły, Sanchez odpowiadał za mapy, kompas, a do mnie należało pilnowanie, by wszyscy stosowali się do jego poleceń.

— Skoro znajdował się pan pośrodku, to pewnie kapitan Sanchez nie dyskutował z panem o swoich decyzjach?

— Cały czas nie, ale rozmawialiśmy ze dwa razy.

— A o czym?

— Doszło do wymiany zdań, kiedy dowiedzieliśmy się, że Serbowie idą naszym śladem. Zaproponowałem, byśmy skręcili na wschód i poruszali się zygzakiem. Sądziłem, że Serbowie założyli, iż pójdziemy na południe prosto do granicy z Macedonią.

— A kiedy rozmawialiście po raz drugi?

— W nocy. Zrobiliśmy postój koło północy i rozstawiliśmy warty. Słyszeliśmy konwoje i widzieliśmy słupy dymu przez cały dzień, więc uznaliśmy, że Serbowie chcą nas okrążyć. Wiedzieliśmy, że musimy coś zrobić. Zdecydowaliśmy, że najlepszym wyjściem będzie atak na Serbów, który powstrzyma ich pościg.

— Czyj to był pomysł?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

— Może mój, a może Machusca lub Perrite'a. Wszyscy uważaliśmy, że to dobre wyjście.

— A więc to nie był pomysł kapitana Sancheza?

— Nie, ale natychmiast go kupił. Bo i czemu nie? Nie mieliśmy innego wyjścia.

— A na miejscu zasadzki, czy Serbowie odpowiedzieli ogniem?

— Z początku nie. Jadący na przedzie wóz wyleciał w powietrze. Serbowie wyskakiwali z pozostałych i kryli się za nimi. Potem odpaliliśmy trochę min odłamkowych, co ich całkiem zaskoczyło. Dopiero kiedy po tym ochłonęli, zaczęli strzelać.

— Jak pan ocenia, ilu ludzi do was strzelało?

— Z początku z dziesięciu. Pod koniec może czterech lub pięciu.

— A pana zdaniem, ilu Serbów jeszcze żyło, kiedy odchodziliście stamtąd? — spytałem, nie spuszczać z niego wzroku.

— Nie wiem. Czterech lub pięciu, którzy do nas strzelali, a oprócz nich pewno jeszcze kilku rannych.

— Jak doszło do tego, że wszyscy zginęli?

— Moim zdaniem, to sami Serbowie wymordowali swoich.

— Czemu mieliby to robić?

— Może za karę, że dali się tak podejść. Może dlatego, żeby to wszystko wyglądało gorzej niż w rzeczywistości. Najwyraźniej cel osiągnęli. Armia i prasa uwierzyli, że masakra była naszym dziełem.

— A pan?

— Ja nie. My tylko próbowaliśmy się ratować ucieczką.

Wyłączyłem magnetofon, włożyłem kartkę z notatkami do teczki i wstałem, jakbym zamierzał wyjść. Persico i jego prawniczka obserwowali mnie ze spokojem. Podszedłem do drzwi.

— Jeszcze jedno pytanie — dodałem, odwracając się do nich. — Już po zasadzce, kiedy zmierzaliście w stronę granicy z Macedonią, czy pamięta pan, ile flar wtedy wystrzeliło?

Przez chwilę pocierał podbródek.

— Taaa. Myślę, że dwie.

## ROZDZIAŁ 4

Przerwę zrobiliśmy sobie w południe. Akurat skończyłem ze starszym sierżantem Andym Caldwellem, który zdecydowanie nie odegrał żadnej wiodącej roli w całej sprawie. Powiedział niemal słowo w słowo to samo co Persico.

Jedliśmy w stołówce lotników, która miała świetnie zaopatrzony bar sałatkowy. Delbert i Morrow wzięli trzy dokładki. Najwyraźniej boleśnie odczuwali odcięcie ich od zieleniny przez Imeldę. Delbert spędził dzisiejszy poranek z sierżantem sztabowym George'em Butlerem i sierżantem Ezekialem Gravesem, lekarzem oddziału. Lisa Morrow przesłuchiwała sierżantów Briana i Jamesa Moore'ów, bliźniaków, którzy służyli w oddziale już od sześciu lat.

— Dowiedziałeś się czegoś niezwykłego? — spytałem Delberta.

— Rozmawiałem dwie godziny z Butlerem i godzinę z Gravesem. Ich zeznania pokrywają się. Jednak żaden z nich nie uczestniczył w podejmowaniu kluczowych decyzji.

— Czy powiedzieli coś sprzecznego z zeznaniami Sancheza?

— Nic, co by miało większe znaczenie. Graves powiedział, że nie widział zasadzki. Jako lekarzowi, wyznaczono mu stanowisko półtora kilometra dalej.

— To się trzyma kupy — przyznałem. Według prawa wojennego, lekarzom nie wolno było walczyć, chyba że w samoobronie. — A ty, Liso? — zwróciłem się do Morrow. — Czego się dowiedziałeś od bliźniaków Moore?

— Podobnie jak Butler i Graves, nie brali udziału w podejmowaniu decyzji. Mogli jedynie opisać, co widzieli — odparła.

— No dobrze. Oto, co jeszcze dziś zrobimy — powiedziałem. — Ja wezmę się za Perrite'a, a wy oboje za Machusca. Perrite i Machusco to oczy i uszy całego oddziału. Wygląda na to, że brali udział we wszystkim.

Szybko uwinęliśmy się z obiadem i wróciliśmy do naszych pokojów przesłuchań.

Czasami wystarczy jedno spojrzenie na człowieka, by nie mieć wątpliwości, że to zabójca. Tak było w przypadku François Perrite'a. Chudy i śniady potomek Kajunów z Luizjany, o najbardziej lodowatych oczach, jakie udało mi się zobaczyć u żywej istoty. Do tego miał zrośnięte brwi biegnące wzdłuż niskiego czoła niemal prostopadle do obwisłych czarnych wąsów. Przyszedł bez adwokata.

— Znane są panu zasady tego przesłuchania? — spytałem.

— Nie. Niech pan mi powie — rozkazał takim tonem, jakby rozmawiał z kelnerem.

Milczałem, patrząc na niego chłodno w nadziei, że poczuje się nieswojo. Ale bez efektu. Nadal obserwował mnie tym samym wzrokiem. Rzekłem bardzo uprzejmie:

— Wobec tego zacznijmy, sierżancie Perrite. Jestem major Drummond, oficer śledczy. Przywykłem do tego, że mówi się do mnie, używając mojego tytułu lub słowa sir.

— Domyślam się, że to zasada numer jeden, tak?

— Zgadza się. Zasada numer dwa mówi, że wszystko, co pan tu powie, może zostać użyte przeciw panu w sądzie. Czy jest pan pewien, że nie chce pan adwokata?

— Jestem pewien. Nie lubię prawników... sir.

— A teraz zasada numer trzy. Ze mną nie ma żartów, Perrite. Jest pan być może wmieszany w zabójstwo trzydziestu pięciu ludzi, więc niech pan wsadzi sobie chwilowo swoje odzywki do jakiegoś schowka.

Chciałbym móc powiedzieć, że Perrite zaczerwienił się lub zamrugał, ale nic z tych rzeczy. Posłał mi tylko spojrzenie, jakie już kiedyś zdarzyło mi się widzieć. Spojrzenie zmrużonych oczu snajpera na moment przed naciśnięciem spustu.

— Zaczynijmy od siedemnastego — podjąłem rozmowę — kiedy to pan i sierżant Machusco zameldowaliście o Serbach śledzących wasz oddział. Czy może pan opisać to zdarzenie?

Odchylił się na krześle wyraźnie rozbawiony, ale usta nadal miał zaciśnięte. Teraz ja pochyliłem się w jego stronę.

— Aha, czyżbym zapomniał wymienić czwartą zasadę? To jest oficjalne śledztwo i ma pan rozkaz odpowiadać. Jeszcze nie jest pan o nic oskarżony, ale jeżeli odmówi pan odpowiedzi na moje pytania, to jutro zwołuję sąd wojenny i skazuję pana za odmowę wykonania rozkazu.

Podrapał się niedbale w podbródek, pochylił do przodu i oparł łokcie na stole.

— Machusco i ja mieliśmy wartę. Zobaczyliśmy kilku Serbów na szczycie wzgórza. Obserwowali naszą bazę.

— Ilu Serbów pan widział?

— Może trzech.

— Jaka dzieliła was odległość?

— Kilometr. A może trochę więcej.

— Czy byli umundurowani?

— Tak. Mieli panterki.

— Komu pan o tym zameldował?

— Chorążemu Persico.

— Dlaczego akurat jemu? Dlaczego nie kapitanowi Sanchezowi?

— Bo nie mogłem znaleźć Sancheza.

— Nie było go w bazie?

— Przecież powiedziałem, że nie mogłem go znaleźć — powtórzył ze złośliwym grymasem, jakby zwracał się do idioty. — Skąd, do diabła, mogłem wiedzieć, gdzie on się podziewał?

Odpowiedziałem tym samym grymasem.

— Persico zeznał, że kiedy mówił mu pan o Serbach, wynikało z tego, iż nie przyjrzał się im pan dokładnie. Skąd ta pewność, że obserwowali właśnie waszą bazę?

— No, chyba nie podszedłem do nich i nie powiedziałem: „Ej, czy przypadkiem nie gapicie się na moją bazę?”. Dla mnie było jasne jak cholera, w jakim kierunku patrzyli.

— Okay. Kiedy oddział przystąpił do ewakuacji, to co pan robił?

— Machusco i ja osłanialiśmy tyły. Jak zwykle. Szliśmy jakieś pół kilometra za resztą oddziału i zakładaliśmy flary.

— Ile ich założyliście?

— Nie wiem. Dużo. Około dziesięciu lub piętnastu każdy.

— Jak to się stało, że mieliście przy sobie aż tyle flar?

— Bo odpowiadaliśmy za bezpieczeństwo. Zawsze zabieramy ich mnóstwo, gdziekolwiek idziemy.

— Czy oddział był śledzony?

— Taaa.

— Skąd o tym wiedzieliście?

— Bo Serbowie wciąż potykali się o flary i odpalali je.

— Ile razy to się zdarzyło?

Wydawało mi się, że zauważyłem u niego moment wahania, a potem krzywiąc się, odparł:

— Nie pamiętam dokładnie.

— Kapitan Sanchez powiedział, że pięć razy — skłamałem.

— Jasne. To by się zgadzało.

— Persico utrzymuje, że osiem — znów skłamałem.

— Cóż, Persico jest mądrzejszy od Sancheza, więc niech będzie osiem. Taaa, wybuchły osiem razy — powiedział, w oczywisty sposób mnie okłamując.

— Przepraszam, czy dobrze słyszałem? Persico jest mądrzejszy od Sancheza? W jakim sensie?

— Bo był w wielu trudnych sytuacjach i wie, co wtedy robić.

Zdecydowałem, że na razie nie będę drażył tego tematu.

— W jaki sposób została podjęta decyzja o urzędzeniu zasadzki?

— A bo ja wiem. Nie byłem przy tym. To się chyba musiało stać, kiedy wyszliśmy na wartę tamtej nocy. Sanchez i chorąży o czymś rozmawiali tylko we dwóch. Potem rozeszła się wiadomość, że będziemy zastawiać jakąś pułapkę na Serbów. To wszystko, co wiem na ten temat.

— Czy tej nocy wystrzeliło jeszcze więcej flar?

— Nie pamiętam.

Udałem, że przeglądam jakieś notatki. Po dwudziestu sekundach zastanowienia odezwałem się:

— Kapitan Sanchez powiedział, że jeszcze trzy flary wzbiły się w powietrze, a Persico to potwierdził.

— W porządku, zgadza się. Teraz, jak pan odświeżył mi pamięć, to faktycznie sobie przypomniałem, że trzy.

Teraz, jak się upewniłem, że gość kłamie, kontynuowałem:

— Kto miał osłaniać zasadzkę?

— Ja. Ustawiłem się jakieś osiemset metrów od miejsca zasadzki, na pagórku, z którego miałem widoczność w promieniu blisko półtora kilometra.

— Czy to pan zawiadomił oddział, w którą kolumnę ma uderzyć?

Skinął potakująco głową.

— Czy postępował pan według jakichś instrukcji?

— Taaa. Chcieli, żebym wybrał sporą kolumnę bez samochodów opancerzonych. Przepuściłem trzy lub cztery mniejsze, zanim wreszcie trafiła się ta właściwa — powiedział, a oczy mu pojaśniały jak na wspomnienie smaku gęstego, zimnego koktajlu mlecznego w upalny letni dzień.

— Czy brał pan udział w samej zasadzce?

— Nie. Pozostałem na pozycji, żeby pilnować, czy nie nadjeżdżają inne serbskie kolumny lub samochody. Po skończonej zasadzce dołączyłem do oddziału w umówionym miejscu.

— A potem realizował pan plan ewakuacji, tak?

— Tak.

Wyłączyłem magnetofon i wrzuciłem papiery do teczki.

— Dziękuję, sierżancie Perrite — powiedziałem najbardziej ugrzecznonym tonem, na jaki mnie było stać. — Był pan niezmiernie pomocny.

Pierwszy raz jak gdyby stracił nieco pewności siebie, a ja wychodziłem z poczuciem osobistej satysfakcji. Prawda była taka, że nie pomógł nam ani trochę.

\* \* \*

Imelda z asystentkami poleciały do Aviano późnym popołudniem, żeby przygotować transkrypcję nagranych rozmów. Zarezerwowała pokój w naszym hotelu, który wraz ze swoją załogą zamieniła w tymczasowe biuro.

Delbert, Morrow i ja spotkaliśmy się o siódmej i spędziliśmy trzy godziny, omawiając to, co usłyszeliśmy... oraz to, czegośmy się dowiedzieli, a z mojego punktu widzenia były to dwie różne rzeczy.

Sesja Delberta i Morrow z sierżantem Machusco najwyraźniej wyglądała bardzo podobnie do mojego spotkania z Perrite'em. Machusco okazał się równie czarujący jak grzechotnik.

— Nie chciałbym spotkać tych dwóch w ciemnej uliczce — powiedział z odrazą Delbert.



Skinałem głową.

— Każda armia od początku świata przyciągała takich ludzi. Z drugiej strony, to dobrze. Gdyby nie było wojska, rozlewaliby krew na ulicach. A tak, mogą ją przelewać w imię dobra swojej ojczyzny.

— Ale krzepiące — rzekł Delbert sarkastycznie i przez nos.

— Czy ktoś z nas usłyszał dzisiaj coś, co byłoby sprzeczne z główną linią ich obrony? — spytała następnie Morrow.

— To zależy — odparłem. — Wszyscy wypluwają z siebie ogólną koncepcję, ale pograżają innych, gdy dochodzi do szczegółów.

Delbert posłał mi sceptyczne spojrzenie.

— Być może, ale nie próbowałbym szukać w tym podstawy do procesu — zastrzegł i jął bębnić palcami po stole. — Po pierwsze, mają świetne wytłumaczenie tego, co zrobili. Po drugie, są jedynymi świadkami tamtych wydarzeń. Po trzecie, wszyscy opowiedzieli taką samą historię. Po czwarte, co gorsza, ta historia brzmi niezwykle prawdopodobnie.

— A więc, twoim zdaniem, mają dobrą linię obrony? — zapytałem.

Delbert skinął głową, a Morrow dodała:

— Nie, majorze. Ich linia obrony nie jest dobra — jest świetna.

— Aha. A czy przypadkiem nie przeoczyliście jednego niewygodnego szczegółu? Co z tymi małymi dziurkami w głowach Serbów?

— Może Persico miał rację. Może Serbowie zrobili to sami, żeby sfabrykować dowody winy na wypadek, gdyby nasze dochodzenie wykazało, iż zasadzka Sancheza była uzasadniona.

— Rodzaj szantażu? — spytałem.

— No właśnie. Błyskotliwy pomysł, jak się nad tym zastanowić — stwierdził Delbert. — My rekomendujemy niewnoszenie oskarżenia wobec grupy Sancheza, a wtedy Serbowie zwołują następną wielką konferencję prasową. Pokazują zdjęcia ze zbliżeniami głów przedziurawionych kulami i ogłaszają, że to dzieło naszych ludzi. A my wyjdziemy na tych, którzy próbowali zatuszować całą sprawę.

— A więc uważasz, że to jest właśnie rozwiązanie — że to wszystko zostało ukartowane? — spytałem.

Delbert wstał i zaczął przemierzać pokój.

— Kto wie? — powiedział, gestykulując, jakby znajdował się na sali sądowej. — Może załatwił ich jakiś zbłąkany oddział Albańczyków, którzy usłyszeli strzały i dotarli na miejsce walki przed Serbami. Tamtych ludzi zastrzelono z M-16. Armia kosowska jest wyposażona w amerykańską broń.

— Tak też mogło być, jak sądzę — przyznałem.

— Problem polega na tym, że wszystko to są jedynie domysły.

— A czy nie niepokoją cię pewne niezgodności? — spytałem.

— Czy chodzi ci flary, do których ciągle wracasz? Są bez znaczenia. Bardzo wątpię, żebym w podobnych okolicznościach był w stanie policzyć, ile flar rozstawiono, a ile z nich wybuchło. Sądzę, że ci ludzie byli śmiertelnie przerażeni i myśleli tylko o ratowaniu życia.

— On ma rację — poparła go Morrow. — Każdy adwokat rozłożyłby cię na łopatki, gdybyś z czymś takim wyskoczył na sali sądowej.

— A więc, wierzycie w ich niewinność?

— Nie usłyszałem niczego, co by ją podważało — odparł Delbert.

Spojrzałem pytająco na Lisę Morrow.

— Powiedzmy, że jestem teraz znacznie mniej skłonna wierzyć, iż dopuścili się tej zbrodni niż dwa dni temu, zanim poznałam ich wersję wydarzeń. I nie mów mi, że z tobą jest inaczej.

Patrzyłem to na nią, to na Delberta. Jak dotąd, nie zgadzałem się z żadnym z nich w żadnej kwestii.

— Ja natomiast wiem jedno. Każdy, z kim rozmawiałem, kłamał. Niektórzy w sprawach drobnych, inni w znacznie poważniejszych. Ludzie zwykle kłamią z jakiegoś powodu. Spędzili tu razem tydzień i mieli dość czasu, żeby przygotować wspólną linię obrony. Coś mi tu brzydko pachnie.

\* \* \*

Wczesnym rankiem następnego dnia znów wieziono nas na lotnisko, gdzie już czekał wszędzie obecny C-130. Wszyscy z ulgą skorzystaliśmy z zatyczek do uszu, gdyż uwalniały nas od konieczności podtrzymywania konwersacji.

Po wylądowaniu w Tuzli pojechaliśmy do naszego drewnianego baraku. Przekazano mi tam wiadomość, żebym skontaktował się z generałem Clapperem. Poszedłem więc do mojego biura i zadzwoniłem do Pentagonu.

Jego niezawodnie sprawna sekretarka połączyła mnie natychmiast.

— Jak tam Aviano? — zapytał generał.

— Ładne miejsce. Następnym razem, kiedy popełnię przestępstwo, dopraszam się o umieszczenie mnie w tym ośrodku wojsk lotniczych. Więźniowie są tam karmieni homarami i szampanem. A tak w ogóle, to wcześniej zaczyna pan pracę, generale — dodałem, ponieważ w Waszyngtonie była szósta rano.

— Staram się tylko nadrobić zaległości — mruknął. — Cały cholerny wieczór spędziłem w Białym Domu.

— Ale już chyba o mnie tam nie mówią?

— Wspomniano pana nazwisko parę razy, lecz pańska osoba to już temat *passé*. To już nie jest temat *dujour*. Nalegali, abym przedstawił im opcje.

— Opcje? Jakie opcje?

— Opcja pierwsza, że zaleci pan trybunał wojenny. Opcja druga, że go pan nie zaleci.

— Czy oni nie mają ciekawszych tematów, jak na przykład posiłki dla bezdomnych, stałe stopy procentowe, nowe liczby internowanych?

— To nie takie proste, Sean. Polityka prezydenta w Kosowie nie zyskała sobie ogólnonarodowego poparcia. Ludzie się boją. Tę wojnę zaprezentowano jako pierwszą, która opiera się wyłącznie na przesłankach moralnych — na zasadach. W ten sposób jest uzasadniana. Powiedzmy, że wybierze pan opcję pierwszą, czyli trybunał wojenny. Ma pan z tym jakiś problem?

— Nie. Akcja kilku ludzi nie powinna podważać polityki prezydenta USA.

— To dlatego, że ani pan, ani ja nie czujemy polityki, nie żyjemy nią jak ci ludzie w Białym Domu. Niektórzy z nich wiele nasłuchali się od naszych aliantów. Paru republikanów na Kapitolu grozi, że obetnie nam wszelkie fundusze i zarządzi przesłuchania.

— A więc gra toczy się o wysoką stawkę.

— Można to tak nazwać. Alternatywą jest pańska rekomendacja, że brak jest wystarczających podstaw do postawienia tych ludzi przed trybunałem wojennym.

— A w tym z kolei co złego?

— Nic. Jeśli faktycznie brakuje dowodów. Bo w przeciwnym razie, proszę pomyśleć. My tutaj zrzucaemy bomby na Serbów, których publicznie oskarżamy o zbrodnie wojenne, a okazuje się, że mamy kilku własnych zbrodniarzy wojennych. I do tego puszczamy ich wolno. I gdyby tak, broń Boże, się stało, że Miloszević i jego żądna krwi sfera zostaliby pojmami, to przy pierwszej próbie oskarżenia ich o zbrodnie wojenne zostalibyśmy nazwani największymi hipokrytami w historii.

— Zasady dostarczenia dowodów nadal obowiązują.

— Pan to wie i ja to wiem, ponieważ obaj jesteśmy prawnikami. Przeciętny Amerykanin nie zna się na tym. Co do reszty świata, to nie ma ona zielonego pojęcia, na czym opiera się nasz system prawny.

— A więc jedyne orzeczenie, jakie zaakceptują, powinno brzmieć, że oddział Sancheza działał w sposób odpowiedzialny i jest niewinny?

— A jest? — spytał, jak dla mnie zbyt pośpiesznie.

— Nadal tego nie wiem. Ich historia brzmi całkiem dobrze, tyle że nie wszystko mi się w niej zgadza.

— Ale ich wersje wydarzeń pokrywają się, czyż nie tak?

— Poza pewnymi szczegółami.

— No, to może mówią prawdę.

— Nie sądzę.

Na chwilę zapadła dziwna cisza. Wreszcie Clapper powiedział:

— Sean, czy wie pan, jaką miałem wątpliwość, rekomendując pana na to stanowisko? To, że służył pan w piechocie. Obawiałem się, że zacznie się pan doszukiwać w zeznaniach grupy Sancheza czegoś, czego w nich nie ma.

— Dlaczego pan sądzi, że coś takiego robię?

— Nie mówię, że pan to robi. Ostrzegam jedynie, by nie dał się pan wplątać w zbyt drobne szczegóły, jak na przykład, kto niósł czyj plecak w czasie zasadzki.

— Dziękuję, generale. Będę o tym pamiętał.

— Hmm... Jest jeszcze coś. Została podjęta decyzja, żeby skrócić czas śledztwa. Już nie macie dwudziestu jeden dni.

— Pan żartuje, rozumiem?

— Nie. W Białym Domu uważają, że ta sprawa ciągnie się już zbyt długo. Chcą, żeby ją zakończyć w dziesięć dni.

— Dziesięć? Dziesięć dni, licząc od dziś? — upewniłem się.

— Dziesięć od dnia, w którym zaczęliście, czyli cztery od dzisiaj. Wiem, że świetnie wam idzie, Sean. Trzymajcie tak dalej.

Odłożyłem słuchawkę i trzy razy głęboko odetchnąłem.

Zostałem sprzedany albo przez Delberta, albo przez Morrow. Do diabła, a może zdradzili mnie oboje? Już ich słyszałem, jak wiszą na telefonach i prześcigają się w donoszeniu.

Dlaczego odniosłem wrażenie, że Clapper wywierał na mnie nacisk, bym uznał tych ludzi za niewinnych? Zaczęło mi się zbierać na wymioty i może by do tego doszło, gdyby nie to, że byłem za twardy na takie rzeczy.

Rozległo się pukanie do drzwi mojego biura. Otworzyły się powoli i ukazała się w nich głowa jednej z asystentek Imeldy.

— Eee, majorze... Przepraszam. Jest tu człowiek, który chce się z panem zobaczyć. To cywil.

— Czy ma jakieś nazwisko?

— Zapytałam go o nie, ale nie chciał powiedzieć.

— Dobrze. Proszę go wpuścić.

Z jakiegoś jedynie im znanego powodu, większość reporterów, wyruszając w teren, nakłada na siebie te śmieszne skórzane kamizelki z tuzinem kieszonek, zupełnie jak myśliwi strzelający do ptactwa. Ów człowiek miał na sobie taką właśnie kamizelkę wyjątkowo dużego rozmiaru. Przypominała namiot z kieszonkami. Wyglądał na jakieś sto trzydzieści kilogramów żywej wagi. Był ode mnie trochę niższy i prawie trzy razy szerszy.

— Cześć — odezwał się poufale, podczas gdy jego paciorkowate oczka szybko lustrowały całe pomieszczenie. — Pan musi być majorem Drummondem. A wie pan, kim ja jestem?

— Pan Berkowitz, zgadza się?

— Ejże, chyba nie chowa pan do mnie urazy?

— Urazy? — spytałem, marszcząc czoło w wyrazie zdziwienia. — Przykro mi, panie Berkowitz, ale waszyngtoński „Herald” tu nie dociera. Czy powinienem o czymś wiedzieć?

Usta wykrzywił mu podstępny uśmiešek.

— Nie. Po prostu niektórzy wojskowi nie przepadają za moim stylem pisania. Martwi mnie to.

— A mnie wcale. W ogóle nie czytam gazet.

Przysunął się i usiadł na rogu mojego biurka, wyciągając dłoń.

— Mów mi Jeremy.

— Miło cię poznać, Jeremy. Mów mi major Drummond.

— W porządku, skoro pan tak woli — powiedział przymilnym głosem. Teraz, kiedy się upewnił, że nie jestem świadomy, jak zaszargał mi nazwisko na pierwszej stronie swojego pisma, stawał się miłszy z każdą chwilą.

— A więc, co cię tu sprowadza, Jeremy?

— Piszę reportaż o tej bazie. Nadal oczywiście interesuje mnie sprawa zasadzki, więc pomyślałem, że wpadnę i sprawdzę, czy może zmienił pan zdanie i będziemy mogli porozmawiać o tej sprawie.

— Kurczę, Jeremy. Ciężka sprawa. Bardzo bym chciał, ale wiąże się z tym dla mnie duże ryzyko. Może ujmę to inaczej — co ja z tego będę miał?

Jeremy wbił wzrok w blat mojego biurka, zastanawiając się nad nowym obrotem sprawy, a potem zapytał niezobowiązująco:

— Może moglibyśmy pomyśleć o małym honorarium?

— Jeremy! — wrzasnąłem.

— Przepraszam — wycofał się nieszczerze. — Nie zamierzałem pana obrazić, ale wielu z was, wojskowych, doprasza się pieniędzy.

— Czy właśnie tak zdobył pan moje nazwisko? Płacąc komuś?

— Nikomu nie płaciłem, tyle mogę panu powiedzieć i nic więcej.

— Uhm, oczywiście — uśmiechnąłem się. — Tym lepiej dla pana. Moim warunkiem miało być zachowanie całkowicie poufnego charakteru naszej rozmowy.

Posłał mi spojrzenie wielce cnotliwego człowieka i przeżegnał się znakiem krzyża.

— Nigdy niczego nie wyjawię. — A potem dodał: — Czy ma pan jeszcze jakieś wymagania?

— Przepływ informacji ma być dwukierunkowy. Ja daję informacje tobie, a ty mnie.

— Tylko informacje? Hej, nie ma problemu — powiedział z wyraźną ulgą.

— W porządku. To ja zaczynam. Jakie brzydkie plotki o tym śledztwie doszły do twoich uszu w Waszyngtonie?

Pochylił się do mnie i powiedział konspiracyjnym szeptem:

— A co pan powie na to, że prezydent zaczyna każdy dzień od piętnastominutowej relacji o pana śledztwie?

Zrobiłem wszystko, by nie okazać zdziwienia.

— Oczywiście, że to robi — odparłem, jakby oczywiste było, iż sam regularnie ślę te raporty do doradcy prezydenta. Fakty wyglądały tak, że jak dotąd z nikim nie rozmawiałem o szczegółach śledztwa, nawet z samym Clapperem. Więc skąd, do cholery, pochodziły te informacje?

— Mówi się o tym, że cała ta sprawa spędza mu sen z powiek — dodał Berkowitz. — Sekretarz prasowy mówi, że zżerają go wyrzuty sumienia na samą myśl o tym, iż nasi żołnierze — amerykańscy żołnierze — mogli się dopuścić takiej masakry. Co wieczór modli się do Boga o wybaczenie.

— Może się obawia, że ta sprawa podważy poparcie opinii publicznej dla całej operacji?

Berkowitz zeskoczył z mojego biurka i całe jego ciało zatrząsło się jak galareta wyrzucona z samolotu.

— A co tu jest do podważenia? Nikt nie popiera tej operacji. No dobrze. Teraz moja kolej.

— Wal.

— Czym się pan zajmował, zanim został pan oficerem JAG?

— Byłem oficerem piechoty w Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Wojsk Desantowych.

Wyciągnął ramiona i oparł dłonie o moje biurko.

— To ciekawe, majorze. Widzi pan, tak się składa, że dostałem kopię pana teczki personalnej od jednego z moich kumpli i faktycznie tak tam napisano. Zadzwoiłem więc do paru przyjaciół, którzy służyli w osiemdziesiątej drugiej w tym czasie co pan. Zbiegiem okoliczności, jeden z nich był nawet w tym samym batalionie co pan.

— No i co?

— I nigdy o panu nie słyszał.

— Dziwne. W batalionie jest tylko czterdziestu oficerów. Albo ten kolega był w innym batalionie, albo popełniłeś pomyłkę, przeglądając moją teczkę.

— To dlaczego wybrano pana do prowadzenia tego śledztwa? Bez obrazy, ale czy nie uważa pan, że armia mogłaby wybrać kogoś wyższej rangi?

— Kurczę blade, no nie wiem — odparłem. — Może wybrali mnie ze względu na to, że mam dobrego nosa i niezłomne zasady etyczne.

— Moja teoria jest ciekawsza — powiedział i cofnął ręce z mojego biurka. — W Fort Bragg istnieje specjalny wydział, tak tajny, że nikt nie ma prawa nawet o nim słyszeć. Jeśli ktoś do niego wstępuje, nadzór nad jego papierami przejmuje specjalna komórka. Oczywiście, kiedy gość opuszcza ten wydział... znowu musi mieć normalną teczkę, jak pozostali żołnierze. Wobec tego wpisuje mu się do papierów nazwy jednostek, w których nigdy nie służył.

— Naprawdę? — spytałem.

— Naprawdę — odparł, szczerząc zęby. — Oczywiście żaden z nich nie może się przyznać, że tam był i że taki wydział w ogóle istnieje. Ale on istnieje. To coś w rodzaju Delt, tylko że chłopcy z tego wydziału są twardsi, ostrzejsi i robią rzeczy bardziej niebezpieczne.

— Coś podobnego! Jestem w armii już tyle lat i jakoś nigdy o tym nie słyszałem.

— To rzeczywiście coś. Ale założmy, że pewien oddział A należący do Sił Specjalnych podczas tajnej misji dopuszcza się karygodnych rzeczy. Założmy również, że armia ma prawnika, który był członkiem tego nie istniejącego wydziału.

— Po pierwsze, musiałby się taki znaleźć. Tak się składa, że ja odbywałem służbę w batalionie Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji...

— Oczywiście, majorze. Jedno mnie jednak martwi. Armia mogła wybrać tego człowieka ze względu na prawdopodobieństwo, że oddział A wzbudzi w nim współczucie. Co więcej, że będzie on pomagał zatuszować tę sprawę.

Uśmiechnąłem się do niego, a on do mnie i dodał:

— Oczywiście, to były jedynie rozważania hipotetyczne.

— To dobrze, bo są całkowicie błędne.

Obaj zachichotaliśmy na myśl o ironii tej sytuacji. Nie ma to jak budować relację zaufania opartą — o czym obaj świetnie wiedzieliśmy — na kłamstwie.

— A więc, jak brzmi ich wersja wydarzeń? — zapytał Berkowitz.

— Ich wersja jest taka, że zostali wykryci przez Serbów i musieli walczyć, by się ratować. Dowódca uznał, iż Serbowie chcą ich okrążyć. Postanowił zorganizować zasadzkę na dużą kolumnę, by Serbowie myśleli, że ich oddział jest znacznie liczniejszy i żeby zwolnili tempo pościgu.

Berkowitz głośno gwizdnął.

— Żarty na bok. I pan im uwierzył?

— Jak dotąd, owszem. Cała dziewiątka opowiedziała nam taką samą historię.

Oczy mu pojaśniały, a na czole pojawił się wielki napis: Pulitzer.

— Co za wspaniała linia obrony. Biedne chłopaki wpadają w pułapkę na tyłach wroga podczas wypełniania tajnej misji rządowej. Walczą, żeby się ratować, i zamiast dać im medale, wsadza się ich za kratki i przesłuchuje jak zwykłych kryminalistów.

— Można to tak podsumować — zgodziłem się. — A tak szczerze, to ci chłopcy są naprawdę bohaterami. Gdyby to ode mnie zależało, sprawa byłaby zakończona w dwa dni. Problem w tym, że jeden z członków mojego zespołu uparł się, by udowodnić, iż coś jest nie tak w tej historii. Czepia się drobnych szczegółów. Reszta jest przekonana, że ci chłopcy są niewinni.

Widziałem, że już nie może się doczekać, by wybiec z mojego biura i wysłać artykuł do redakcji. Cała prasa międzynarodowa potępiała oddział A za ohydny zbrodnię, a tutaj on, Jeremy Berkowitz, odkrywa prawdziwą wersję wydarzeń, że ci chłopcy byli nie tylko niewinni, lecz wręcz bohaterscy. Dziennikarz ruszył do drzwi, ale przed wyjściem jeszcze się odwrócił i zapytał:

— Wie pan, że muszę się na pana powołać w moim artykule?

— Hmm, nie pomyślałem o tym — skłamałem.

— Nazwę pana drogi majorze, moim źródłem informacji w zespole dochodzeniowym.

— Sam nie wiem... Jest nas tylko troje... i hmm...

— Spoko, majorze, nigdy żadne z moich źródeł informacji nie zostało ujawnione. Może mi pan ufać.

Głęboko westchnąłem.

— No dobrze, skoro to konieczne.

Kiedy Berkowitz zniknął za drzwiami, zatarłem ręce z radości. Nieczęsto udaje się za jednym zamachem załatwić porachunki w dwóch sprawach. Berkowitz opublikuje swój artykuł i nada mu duży rozgłos. A potem, gdy udowodnię, że Sanchez i jego drużyna zamordowali Serbów z zimną krwią, wyjdzie na ostatniego dupka.

Biały Dom i Clapper nie będą mieli najmniejszego powodu, żeby akurat mnie podejrzewać o przeciek do prasy, bo w tej historii sam się ośmieszyłem. Podejrzenie padnie na Delberta lub Morrow, zależnie od tego, które z nich na mnie donosi. Całkiem zgrabnie się to ułożyło.

## ROZDZIAŁ 5

Henry Kissinger powiedział kiedyś, że to, iż wpadłeś w paranoję, wcale nie oznacza, że oni faktycznie nie próbują cię dopaść. Nagle uświadomiłem sobie, jak bardzo prawdziwe jest to stwierdzenie i poczułem się tak, jakby Kissinger mówił właśnie o mnie.

Ktoś w moim zespole przekazywał informacje komuś, kto pracował dla prezydenta, który z kolei z jakichś niewiadomych względów rozpoczynał każdy dzień od rozmowy o mnie. Jeden, a być może dwoje moich współpracowników wylewało swoją żółć na temat mojej niekompetencji do szefa JAG. Bezwzględny, ambitny reporter wiedział, że moja przeszłość kryła jakieś mroczne sprawy, a do tego wszystkiego generał, który sam wyznaczył mi to zadanie, nagle zapadł na ciężki przypadek utraty charakteru.

Jak na jeden dzień, to dość długa lista przykrych odkryć. Problem polegał na tym, że podobnie jak większość paranoików, musiałem to na kimś odreagować. Ale na kim? Pod ręką byli Delbert i Morrow, ale o żadnym z nich niczego nie wiedziałem. Były też cztery asystentki Imeldy, z których każda mogła być źródłem przecieku.

W pewnym sensie chciałem, żeby okazał się nim Delbert i wdychałem pobożnie, by to nie była Morrow. Ta jej uroda, a jeszcze te współczujące oczy... Już niemal ułożyłem sobie mały scenariusz. Rozwiązuję sprawę, zabieram piękną dziewczynę i odjeżdżam w stronę zachodzącego słońca. Problem polegał na tym, że Morrow była równie ambitna jak Delbert i jak on lubiła intrygować.

Właśnie przysypiałem, gdy nowa paranoja zaczęła się wkradać w moje myśli. Skoro ci ludzie z Waszyngtonu zadają sobie tyle trudu, to muszą coś wiedzieć. Coś naprawdę strasznego. A może to jeden z tych spisków Białego Domu, o których robi się takie świetne filmy?

Nie, zdecydowałem, posuwam się za daleko. Po zastanowieniu się doszedłem, że Clapper w żaden sposób nie powiedział mi wprost, abym oczyścił Sancheza i jego ludzi. Zasugerował tylko, że byłoby to mile widziane. W końcu, co tam. Nie zrobił nic złego. Po prostu sformułował tylko to, co dla wszystkich było oczywiste.

Rano obudziłem się rześki i wypoczęty. Po drodze do naszego biurowego baraku postanowiłem nawet, że będę dziś miły dla Delberta. Dla odmiany.

Zaraz od progu zauważyłem jednak, że wszyscy siedzą sztywno przy biurkach z ponurymi minami, jakby stało się coś strasznego. Zauważyłem również dwóch osiłków z żandarmerii wojskowej, popijających kawę przy wejściu do mojego biura.

— Przepraszam, major Drummond? — zapytał wyższy z nich, odlepiając się od ściany. Nosił naszywki kapitańskie, a na plakietce miał wypisane nazwisko Wolkowicz.

— Czym mogę panu służyć, kapitanie?

— Musimy z panem porozmawiać. Na osobności, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Weszliśmy do mojego biura i uprzejmie zaoferowałem im krzesła, ale odmówili. Usiadłem więc za biurkiem i próbowałem przybrać swobodny wygląd.

Zaczął kapitan Wolkowicz:

— Czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie pan był między godziną dwudziestą czwartą a piątą dziś rano?

— Mógłbym, ale pan mi nie wyjaśnił, dlaczego mam odpowiadać na podobne pytania.

— Czy zna pan człowieka o nazwisku Jeremy Berkowitz?

— Ponawiam moje pytanie. Dlaczego pan o to pyta, kapitanie?

— Pytam, ponieważ Berkowitz został zamordowany dzisiejszej nocy.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, a on na mnie.

— Teraz zatem pytam pana ponownie. Czy znał pan Berkowitza?

— Poznałem go wczoraj tu, w biurze.

— A gdzie pan był w nocy?  
— W moim łóżku, w namiocie, próbując zasnąć.  
— Czy dzieli pan namiot jeszcze z kimś?  
— Nie.  
— A czy są jacyś świadkowie, którzy mogliby potwierdzić pana słowa?  
— Kapitanie... hmm, Wolkowitz, czy ma pan powody, żeby mnie podejrzewać o zamordowanie pana Berkowitza?  
Zawahał się i to był jego pierwszy poważny błąd. Wstałem i uderzyłem pięścią w biurko.  
— Zapytałem pana o coś, kapitanie! Ma pan dwie sekundy na odpowiedź, inaczej oskarżę pana o niewykonanie rozkazu.  
Aż go trochę cofnęło.  
— Sir, ja...  
— Czy zamierza pan odpowiedzieć na moje pytanie — warknąłem. — Czy też mam podnieść słuchawkę i zadzwonić do pana dowódcy?  
Wolkowitz cofnął się aż pod ścianę.  
— Sir, ja...  
— Pan nie ma tu już nic do roboty, kapitanie! Oczywiście zdążył pan już przesłuchać moich pracowników?  
Jak większość zdenerwowanych ludzi, kapitan zaczął strzelać oczami na wszystkie strony. Błąd numer dwa.  
Jeszcze raz wałnąłem w biurko.  
— To nie do wiary! Czy pan wie, dlaczego jestem w Tuzli? Sekretarz armii osobiście wyznaczył mnie na oficera śledczego, a pan tu przychodzi bez mojego zezwolenia i przesłuchuje mi ludzi?  
— Pan nie jest podejrzany, sir. Przynajmniej na razie.  
— Więc czemu zadaje mi pan te wszystkie pytania?  
— Znaleźliśmy pańskie nazwisko w notatniku Berkowitza.  
— Jak on zginął? — zapytałem ostro.  
— Został uduszony, sir. Garotą. Podcięto mu żyły, ale bezpośrednim powodem śmierci było uduszenie.  
— A gdzie to się stało?  
— Zatrzymał się w kwaterze prasowej u oficerów informacji. Musiał wstać w środku nocy i pójść do latryny. Właśnie tam został zamordowany. Nad pisuarem.  
— Powiedział pan garotą? Domowej roboty czy robioną fabrycznie?  
— Wyglądała na kupioną w sklepie. Dwa drewniane uchwyty połączone drutem.  
— Kto go znalazł?  
— Reporter Associated Press o nazwisku Wolf.  
Przez chwilę przyglądałem się żandarmom, a potem powiedziałem:  
— Sierzancie, proszę wyjść!  
I sierżant polecenie wykonał. Wtedy dopiero wstałem. Przeszedłem się wokół biurka, a potem oparłem o nie. Należało wznowić kontakt z kapitanem Wolkowitzem.  
— Czy pan zawiadomił redakcję „Heralda” w Waszyngtonie? — spytałem już w miarę spokojnym i przyjaznym tonem.  
— Tak jest, sir. Byli bardzo tym przygnębieni.  
— Czy wie pan, co Berkowitz tutaj robił?  
— Powiedziano mi, że pracował nad historią o bombardowaniach.  
— Pracował także nad historią o moim śledztwie.  
Wolkowitz podrapał się w głowę i rzekł:  
— Ci z „Heralda” powiedzieli mi, że wczoraj pół godziny przed północą przysłał im jakiś tekst, ale nie chcieli powiedzieć o czym.



Tu sprawa stawała się delikatna. Winienem dać odczuć, że chętnie dzielę się informacjami, jednocześnie nie ujawniając nic istotnego. Rzekłem więc:

— Przyszedł tu wczoraj, żeby przeprowadzić ze mną wywiad. Odniosłem wrażenie, że miał wśród nas swojego informatora i szykował się na rozrobienie dużej sprawy. Był wyraźnie podekscytowany, jakby trafił na coś sensacyjnego.

— A czego chciał od pana?

— Sądzę, że była to jedynie wizyta kurtuazyjna. Chciał usłyszeć ode mnie potwierdzenie swoich odkryć.

— Nie dał panu wskazówek co do swojego źródła informacji?

Zrobiłem zniesmaczoną minę.

— Powiedział, że nigdy jeszcze nie ujawnił żadnego ze swoich źródeł. Wydawał się z tego bardzo dumny.

— Czy to był wasz jedyny kontakt?

— Nie. Jakiś czas temu zadzwonił do mnie w Waszyngtonie.

— O co mu chodziło?

— Nie wiem. Odłożyłem słuchawkę, zanim do tego doszedł. Myślę, że chciał uzyskać ode mnie tajne informacje. I prawdę mówiąc, wydało mi się to oburzające. — Jak dotąd udawało mi się nie kłamać, nie ujawniając jednocześnie słowa prawdy. Lecz jeśli ta rozmowa miałaby trwać dłużej, to w końcu wielki kapitan zadałby pytanie lub dwa, na których bym się potknął. Powiedziałem więc szybko:

— A więc... Zaraz, zaraz, jak pan ma na imię?

— Paul. Ale przyjaciele mówią do mnie Wolky.

Uśmiechnąłem się do niego ciepło, jakbym już należał do grona tych przyjaciół.

— Okay, Wolky. Po pierwsze, przepraszam za mój wybuch. Rozumiesz, ostatnio żyłem w wielkim napięciu. Przyjechałem tu prowadzić śledztwo, jak wiesz, i nikt z tutejszych nie był specjalnie dobrze do mnie nastawiony.

— Rozumiem — odparł Wolky. Nie miałem cienia wątpliwości, że tak rzeczywiście było. Jak już wspominałem, prawnicy nie cieszyli się w wojsku sympatią, a żandarmeria wojskowa była traktowana jeszcze gorzej.

— No cóż — westchnąłem. — Spodziewam się, że w związku z tą sprawą sprowadzisz tutaj wydział kryminalny, czy tak?

— Już tu lecą z Heidelbergu.

— To dobrze. Nie sądzą, żeby istniało jakieś powiązanie między morderstwem Berkowitza a moim śledztwem, ale wolę zachować ostrożność. Kiedy tu przylecą, chciałbym się z nimi spotkać. Chcę być informowany o wszystkim, czego się dowiecie o tym zabójstwie.

— Myśli pan, że takie powiązanie mogłoby istnieć?

— Wolky, Berkowicz mógł zostać zamordowany z miliona powodów. Facet żył z pisania tekstów szkalujących wojsko. Nienawidzą go niemal wszyscy, którzy kiedyś nosili mundur.

Wolkowicz słuchał z uwagą. Miły chłopak, ale nawet przy silnym wietrze nie poleci. Oczywiście, że istniały powiązania między śmiercią Berkowitza a moim śledztwem. Byłem tego pewien. Garota nie jest bronią dla amatorów. Trzeba podkraść się do kogoś z tyłu i szybko narzucić mu drut na szyję jak łąso. Niemal w tej samej chwili trzeba błyskawicznie pociągnąć uchwyty w przeciwnych kierunkach. Niewprawy zabójca może zarzucić ofierze drut na nos lub zaczepić go o brodę. Ofierze może się też udać wsunąć rękę do pętli.

Zwykli żołnierze nie rozróżniają prawie słowa garota od karotka. Natomiast w rzeczy samej broń ta jest jedną z ulubionych w oddziałach Sił Specjalnych, które czasem muszą zabijać bezszelestnie. Ktokolwiek zabił Jeremy'ego Berkowitza, wybrał tę broń nieprzypadkowo. Zamierzał zostawić ślad.

\* \* \*

Poprosiłem Delberta i Morrow, żeby przyszli do mojego biura w południe. Pierwszy zjawił się Delbert, potem Lisa Morrow z wyjątkowo dużą dawką współczucia w oczach.

— Masz kłopoty? — spytała.

— Nie, żadnych kłopotów — zapewniłem ją. — Żandarmeria dowiedziała się, że jestem najinteligentniejszym facetem w tej okolicy i wpadli, by się dowiedzieć, co sądzę o zabójstwie dziennikarza.

Twarz Delberta wyrażała najwyższe wzburzenie, chyba z tego powodu, że żandarmeria nie wpadła na rozmowę do niego. To przecież on uczęszczał do Yale. Lisa Morrow z kolei posłała mi spojrzenie, jakim wszystkie matki świata darzą swoje niegrzeczne trzylatki.

— Mam dla was wspaniałą wiadomość — powiedziałem, żeby zmienić temat. — Ze względu na niezwykle postępy naszego śledztwa postanowiono, że będzie ono trwało krócej.

— Ile? — spytała Morrow.

— Cztery dni, zaczynając od jutra.

— O rany, to faktycznie krótko — zdziwił się Delbert, powtarzając rzecz oczywistą.

— Gdybyśmy mieli wydać werdykt dziś, to jak by on brzmiał? — spytałem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem powiedzieli niemal jednocześnie:

— Brak podstaw do oskarżenia.

— W porządku. Brak podstaw, ponieważ uważacie, że są niewinni, czy dlatego, że dowody są niewystarczające?

— To pierwsze — odparł Delbert.

— To pierwsze — powtórzyła jak echo Morrow. — A ty jak sądzisz?

— Gdybym musiał dziś głosować, opowiedziałbym się przeciw oskarżeniu, ponieważ brak jest wystarczających dowodów. Sądzę też, że nasz zespół miał za mało czasu na podjęcie właściwej decyzji.

Wszyscy troje wiedzieliśmy, że po takim orzeczeniu całe śledztwo zostałoby unieważnione.

— Mamy cztery dni na zmianę naszego zdania lub twojego. Co mogłoby spowodować zmianę twojej decyzji? — spytała Morrow.

— Musiałbym uzyskać mocne dowody na to, że Sanchez i jego ludzie nie kłamią.

— Nie ma co liczyć na takie dowody — odparła Morrow z przykrością. — Tych dziesięciu ludzi to jedyni żyjący świadkowie.

Twarz Delberta nagle dziwnie się zmieniła.

— A może oprócz żyjących świadków istnieje jeszcze inna alternatywa — powiedział. — Agencja Bezpieczeństwa Narodowego lub ktoś inny muszą mieć jakieś satelity krążące w rejonie Kosowa. Osobiście nigdy nie widziałem zdjęć satelitarnych, ale słyszałem, że można z nich odczytać napis na monecie dziesięciocentowej.

Powinienem się teraz kopnąć w kostkę. Kto jak nie facet, który spędził pięć lat przy supertajnych operacjach, gdzie zdjęć satelitarnych używało się tyle co papieru toaletowego, powinien był wpaść na ten pomysł?

— Delbert, jesteś geniuszem — oświadczyłem pompatycznie. — Masz absolutną rację.

Spojrzałem na zegarek. Clapper powinien być już w biurze. Wykręciłem numer i czekałem. Sekretarka odebrała dopiero po trzecim dzwonku. Połączyła mnie natychmiast. Usłyszałem w słuchawce:

— Halo, Sean.

— Witam, generale. Przyjemny dzień?

— Nie miałem przyjemnego dnia, odkąd podjąłem się tej roboty. Słyszał pan o zabitym reporterze?

— Ma pan na myśli tego, który kiedyś do mnie dzwonił?

— Zgadza się. Czy pan się z nim widział?

— Tak, wpadł do mnie wczoraj. Trochę sobie porozmawialiśmy.

— Wydawca „Heralda” dzwonił do szefa połączonych sztabów. Powiedział, że wznieci piekło, jeśli nie ustalimy, kto to zrobił.

— Wcale mu się nie dziwię. Panie generale, dzwonię, ponieważ jest szansa na przełom w śledztwie. Chcielibyśmy ustalić, czy Agencja Bezpieczeństwa Narodowego lub inna jej podobna nie mają jakichś taśm lub zdjęć satelitarnych ze Strefy Trzy, robionych między czternastym a osiemnastym.

— Dobry pomysł — odparł. — Zaraz wykręcę parę telefonów.

— Dziękuję, generale — powiedziałem i rozłączyliśmy się.

Pewnie powinienem się podzielić z generałem Clapperem moimi podejrzeniami co do morderstwa Berkowitza, podobnie jak powinienem o nich powiedzieć Wolky’emu. Sprawy wyglądały jednak tak, że w chwili gdy Wolky powiedział mi, jak zginął Berkowicz, straciłem zaufanie do kogokolwiek, kogo znałem. Moje paranoiczne myśli prześladowcze, które udało mi się zwalczyć ubiegłej nocy, wróciły jak fala przyptywu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podniosłem wzrok i zobaczyłem w nich Imeldę.

— Dwóch w cywilu chce się z panem widzieć, majorze — powiedziała z niechęcią.

— Wydział kryminalny?

— Aha — skinęła głową.

— Czy moglibyście poczekać na korytarzu? — zwróciłem się do Morrow i Delberta.

Wyszli razem z Imeldą i niemal jeszcze w drzwiach wymienili się na miejsca z młodymi śledczymi, którzy jak większość wojskowych w cywilu, mieli na sobie tanie garnitury. Krawaty jak wyjęte ze „Strefy zmierzchu” i koszule non-iron ze sztucznego włókna.

Błysnęli odznakami i wymamrotali swoje nazwiska. David jakiś i Martie jakiś tam.

— Sir, kapitan Wolkowicz powiedział, że chciał się pan z nami widzieć — odezwał się Martie jakiś tam.

— Pewnie wspominał panom, że Berkowicz zajmował się również dochodzeniem, które prowadzę?

— Zgadza się — potwierdził Martie. — Podobno Berkowicz napisał o panu artykuł, który jego gazeta wydrukowała na pierwszej stronie kilka dni temu.

— Tak — przytaknąłem. — I właśnie dlatego go zabiłem.

Zdumieni, raptownie podnieśli głowy.

— Rzecz jasna, żartuję — uspokoiłem ich. — Zrobił błąd w moim nazwisku, ale poza tym nie miałem zastrzeżeń do tego artykułu. Wyraził też pogląd, że armia powinna była wybrać kogoś starszego ode mnie rangą do prowadzenia takiego dochodzenia.

— Czy zdenerwował tym pana?

— Teraz pan żartuje, prawda? Szkoda, że tak się nie stało. Panowie, jak byście się czuli na miejscu kogoś, kto ma orzec, co należy zrobić z tymi dziewięcioma ludźmi w bazie lotniczej w Aviano?

— Jest aż tak źle? — spyta! David.

— Davidzie, będę szczery. Tu nie ma wygranych. — Pokręciłem głową z prawdziwą troską. — A więc, czy pojawiło się coś nowego w waszym śledztwie?

— Nie za bardzo mamy na czym bazować.

— Kapitan Wolkowicz wspominał o garocie. Zakładam, że na uchwytach nie ma żadnych odcisków?

— Zgadza się.

— Zbadaliście ślady butów?

— Nadal robimy odlewy.

— Myślę, że możecie zawęzić badania do butów na gumowej podeszwie. Zabójca musiał zająć Berkowitza od tyłu bezszelestnie.

— Dobre spostrzeżenie — zauważył David i zapisał coś w notesiku.  
— Czy wokół ciała było dużo krwi? — spytałem.  
— Owszem, na ścianach, pisuarach, na podłodze, wszędzie — odparł Martie.  
— Taaa, przecięte arterie mają to do siebie. Przy odrobinie szczęścia może uda wam się odkryć ślady krwi na ubraniu mordercy. Musiał je poplamieć.

David dodał ten punkt do swojej listy w notatniku. Potem obaj wstali.

— Musimy lecieć, panie majorze — powiedział Martie, najwyraźniej przewodzący tej parze. — Jeszcze wpadniemy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Wręcz przeciwnie. Może się wam do czegoś przydam.

Miałem jednak wątpliwości, czy moi nowi znajomi posuną się daleko w swoim śledztwie. Czuję podskórnie, że człowiek, który zabił Berkowitza, był znakomicie wyszkolony i na pewno nie robił tego po raz pierwszy. Gdyby to się wydarzyło, na przykład, w Topeka, w stanie Kansas, nasza obecna wiedza byłaby całkiem wystarczająca do przeprowadzenia śledztwa. Natychmiast pozwoliłaby na ograniczenie listy podejrzanych do całkiem małych rozmiarów. W bazie lotniczej w Tuzli, miejscu pobytu Dziesiątej Jednostki Sił Specjalnych, rzucając kamieniem w dowolnym zresztą kierunku, można było trafić w podejrzanego.

\* \* \*

Dowódca Dziesiątej Jednostki, generał brygady Chuck Murphy, wyglądał na niezłe wkurzonego, i wcale mu się nie dziwiłem. Nikt nie lubi zaczynać dnia od oglądania zwłok o purpurowosiniej twarzy w zbryzganej krwią latrynie.

— Dzień dobry, generale — powiedziałem, opadając na krzesło stojące przed jego biurkiem. — Przykro mi, że przeszkadzam, ale muszę zadać panu kilka pytań.

— Mój czas jest pana czasem — odparł, spoglądając na zegarek.

— Okay, a więc sprawy mają się następująco. Przesłuchaliśmy Sancheza i jego ludzi. Przejrzeliśmy dzienniki oddziału. Obejrzelśmy ciała Serbów. Jednego nadal nie rozumiem. Jak to się stało, że Sanchez i jego ludzie w ogóle trafili do Kosowa? Czyj to był pomysł, to znaczy, kto wymyślił całą tę operację? Kto wydał panu rozkazy?

— Moje rozkazy podpisane były przez generała Partridge'a.

— A jemu kto wydaje rozkazy?

— Połączony Komitet Szefów Sztabów.

— Czy Partridge ma bezpośredni kontakt z Białym Domem?

Murphy obrzucił mnie chłodnym, uważnym wzrokiem.

— Czy to się jakoś łączy z pana dochodzeniem? — zapytał.

— Cóż, owszem. Widzi pan, Sanchez i jego drużyna mówią, że zasadzka była aktem samoobrony. Rozumie pan teraz, w czym leży problem? Zasadzka to forma ataku, prawda? Próbuję dociec, co w tej sytuacji było samoobroną. Żeby to ustalić, będę być może musiał przesłuchać ludzi, którzy przyczynili się do zaistnienia tej sytuacji.

— To nie był nikt z Białego Domu. Tyle mogę panu powiedzieć. Oczywiście generał Partridge pracuje dla naczelnego dowódcy sił zbrojnych, którym tak się składa jest prezydent, ale faktycznie cała komunikacja przechodzi przez przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów.

— A więc, być może, pomysł tej operacji powstał gdzieś w Pentagonie lub wśród pracowników Partridge'a?

— Podzielam pańskie przypuszczenia.

— Czy ma pan czas na jeszcze jedno pytanie?

— Tylko jedno, Drummond. I to już koniec — powiedział, kręcąc głową.

— Według rozkazów operacyjnych, Sanchez miał dostarczać raporty sytuacyjne dwa razy dziennie. O świcie i o zmierzchu. Między czternastym i osiemnastym Sanchez nie dostarczył trzech raportów. Jak by to pan wyjaśnił?

— A może je dostarczył, ale nie zostały odnotowane w dzienniku. Centrum operacyjne prowadzi zwykli żołnierze, a oni jak wiadomo nie są nieomylni.

— To się zgadza, sir, lecz te jednostki działają na tyłach wroga. Czy brak raportu nie powinien natychmiast zwrócić uwagi ludzi z centrum operacyjnego?

— Nie. Niekoniecznie — odparł generał. — W większości sytuacji jego pracownicy długo się zastanawiają, nim nacisną przycisk alarmowy. Oczywiście, w wypadku gdyby oddział nie złożył dwóch raportów sytuacyjnych z rzędu, chorągiewki ostrzegawcze poszłyby od razu w górę.

— Co by się stało, gdyby oddział w ogóle przestał przysyłać raporty sytuacyjne?

— Wtedy wzmocnilibyśmy obserwację z powietrza. Gdyby to nie przyniosło rezultatu, moglibyśmy wysłać tam oddział rozpoznawczy.

— Ale nic takiego nie nastąpiło, mimo braku trzech raportów od oddziału Sancheza. Czy tak się powinno stać, generale?

— Niech pan posłucha, oddział się uratował, zgadza się? Jak dotąd nie straciliśmy tam żadnego innego oddziału, to by świadczyło, że jednak mamy pojęcie o tym, co robimy.

Było jasne, że czas mojej wizyty u generała dobiegł końca. Nikt nie lubi, gdy podważa się jego zdanie, ale generał najwyraźniej nie lubił tego bardziej niż większość ludzi. To stały problem osobników, którzy przez całe życie słyszeli, że są niezwykli. W końcu sami zaczynają w to wierzyć.

Spojrzałem na zegarek.

— Uuu. Muszę już pędzić, sir. Mam przed sobą, niestety, kolejne przesłuchanie.

Po prostu nie umiałem sobie odmówić tego ostatniego zdania, czym oczywiście wprawiłem jego żołądek w nerwowe skurcze.

Od Murphy'ego przeszedłem szybko do centrum operacyjnego znajdującego się pięć budynków dalej. Wartownik przez trzydzieści sekund usiłował mi wytłumaczyć, dlaczego nie mogę dostać się do tego supertajnego miejsca. W końcu musiałem wyciągnąć plik rozkazów, w które wyposażyla mnie armia. Wynikało z nich, że mogę wejść nawet do pokoju operacyjnego w Białym Domu, jeśli sytuacja będzie tego wymagała. Poważnie, tak tam napisali.

Szedłem według znaków prowadzących mnie długim korytarzem, a potem w dół słabo oświetlonymi schodami. Przed metalowymi drzwiami w podziemiach stał kolejny wartownik, ale tym razem musiałem tylko pokazać identyfikator.

Po otwarciu metalowych drzwi znalazłem się w innym stuleciu. Na całej ścianie rozpościerała się mapa elektroniczna Kosowa. Jarzyła się mnóstwem maleńkich punkcików — czerwonych, zielonych i niebieskich. Pod drugą ścianą stały konsole najnowszej generacji, a przy nich siedziało około dziesięciu techników ze słuchawkami na uszach. Można by pomyśleć, że to centrum operacyjne giganta komunikacyjnego AT&T, gdyby nie fakt, że wszyscy ludzie w pomieszczeniu mieli na sobie mundury polowe i małe zielone berety.

Stałem, przysłuchując się i przyglądając temu ruchliwemu i gwarnemu miejscu. Jak w większości centrów operacyjnych, w których byłem, rozmowy prowadzono ściszonymi głosami. Panował tu stały, jednostajny szum ludzkich głosów, klikania komputerowych klawiszy i odsłuchiwanym sygnałów radiowych. W środku pomieszczenia stało duże drewniane biurko, a przy nim siedziało potężne monstrum z naszywkami starszego sierżanta sztabowego. Było oczywiste, że on jest panem tej maszyny i wszystkich jej części.

Po jakimś czasie spojrzał w stronę drzwi i zauważył mnie. Wstał od biurka, nalał do kubka kawy i ruszył w moim kierunku. Dopiero wtedy zobaczyłem, że niesie dwa kubki i zwróciłem uwagę na jego dłonie. Były tak ogromne, iż kubki wyglądały w nich jak naparstki.

Pasowały do reszty jego potężnego, mocarnego ciała. Nos musiał mieć złamany kilkakrotnie. Wyjątkowo brzydka głowa zdawała się wyrastać bezpośrednio z ramion, gdyż szyja przypominała niski pień. Włosy miał przycięte w typowy dla Sił Specjalnych sposób, wzrost wysoki, około metra dziewięćdziesięciu, i szerokie potężne ramiona. Rzucił okiem na mój identyfikator i naszywkę JAG na kołnierzyku.

— Pan jest tym facetem, który prowadzi śledztwo? — spytał.

— Taaa, dzięki — powiedziałem, szybko sięgając po kubek z kawą, na wypadek, gdyby się rozmyślił i nie chciał ze mną rozmawiać.

Odczytałem nazwisko Williams na jego identyfikatorze.

— Pan musi być sierżantem operacyjnym — odezwałem się.

— Jeee. Witam w moim królestwie.

— Moje gratulacje, sierżancie. Wydaje się, że wszystko tu chodzi jak w zegarku.

— Staramy się. Kiedy trzeba koordynować jednocześnie działania naszej armii, Wyzwoleńczej Armii Kosowa i jeszcze namierzać różne ciemne typy, to czasem człowiek zaczyna mieć dziwne reakcje.

— Ile tu jest zespołów?

— W tej chwili mamy dziewięć zespołów operacyjnych Armii Wyzwoleńczej, które współpracują z naszymi, i dodatkowo siedem zespołów niepowiązanych z oddziałami A.

— Nie wiedziałem, że Armia Wyzwoleńcza ma jednostki pracujące bez Aniołów Stróżów.

— Nazywamy je Zeta... czyli zespoły absolwentów. Każda nowa jednostka rozpoczyna działalność w towarzystwie baby-sitterów, aż do momentu wykonania trzech lub czterech udanych misji. Wtedy mogą już działać prawie niezależnie.

Ujął mnie pod rękę i podprowadził do ogromnej mapy elektronicznej umieszczonej na przeciwległej ścianie. Przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie i w końcu wskazał niebieski punkt w rogu na północny wschód od Kosowa.

— Czerwone kropki to Serbowie, zielone to nasi, niebieskie to Armia Wyzwoleńcza. To jest Zeta Siedem, jeden z pierwszych utworzonych przez nas zespołów.

Patrzyłem na kropkę Zeta Siedem.

— To dobry zespół?

— Bardzo dobry. Stanowią wyjątek. Większość kosowskich zespołów nie kiwnęła palcem, odkąd je utworzyliśmy.

Przez cały czas naszej rozmowy uważnie badał moją twarz z zakłopotaną miną, jak niektórzy ludzie, którzy bezskutecznie usiłują sobie coś przypomnieć.

— Proszę mi powiedzieć, sierżancie, jak dobrze pamięta pan oddział Akhana?

— Szkoda chłopaków — powiedział, kręcąc głową. — Mieli świetne osiągnięcia na szkoleniach, ale wybito ich co do jednego, zanim zdążyli podjąć walkę.

— Taaa, słyszałem, że wpadli w prawdziwą jatkę na tej komendzie policyjnej.

— Przykra sprawa — rzekł bez odrobiny prawdziwego współczucia. Nagle uniósł kąciuki ust i przechylił głowę na bok. — Hej, czy pan przypadkiem nie był w Fort Bragg?

— Lata temu, kiedy służyłem jeszcze w piechocie.

— Taaa, wiedziałem, żeśmy się już gdzieś spotkali — powiedział, ścisząc głos. — Pan mnie nie pamięta, prawda?

— Obawiam się, że nie.

Kilka razy mrugnął.

— Oczywiście, że nie. Nie rozpoznałem pana nazwiska, ponieważ w grupie nie używano nazwisk. Dawaliśmy wam wszystkim numery. Ale twarzy nigdy nie zapominam.

Patrzyłem na Williamsa i próbowałem sobie go przypomnieć. Głos wydał mi się teraz irytująco znajomy, podobnie jak oczy.

— Przykro mi, sierżancie, ale chyba pan mnie z kimś pomylił. Nigdy nie słyszałem o żadnej grupie.

Uśmiechnął się szeroko.

— A pamięta pan obóz jeniecki? Pamięta pan wielkoluda w kapturze, który wyciskał z pana siódme poty?

No tak. To pamiętałem aż nadto dobrze. Jednym z testów, jakie musieliśmy przejść w grupie, był pobyt w symulowanym obozie jenieckim, tak realistycznie brutalnym, jak to tylko możliwe. Z jakiegoś powodu pewien ogromny śledczy zapałał do mnie szczególnym afektem. Tak bardzo mnie polubił, że zapewnił mi jedną godzinę ćwiczeń indywidualnych dziennie. Ukończyłem ten jego kurs z dwoma pękniętymi żebrami i złamanym nosem na pamiątkę.

— Więc to pan jest tym draniem?

— Hej, bez urazy — zachichotał. — To była moja praca. A pana przemądrzała postawa wcale mi nie ułatwiała zadania.

— Praca, tak? No cóż, wyraźnie przypadła panu do gustu.

Znów zachichotał po tej uwadze.

— A więc, opuścił pan grupę i został prawnikiem? — spytał.

— Taaa. Po pięciu latach zdecydowałem, że muszę to zrobić, by zachować zdrowie psychiczne.

— Jasne, rozumiem pana. Ja spędziłem tam sześć lat. To ćwiczenie z obozem jenieckim było tam moim ostatnim zadaniem.

— I od tamtej pory jesteście tutaj?

— Taaa. To niezła jednostka.

Podszedłem do ściany z konsolami. Sierżant szedł za mną.

— Zdaje się, że wszystkie oddziały w tej strefie składają dzienne raporty, czy tak?

— Dwa razy dziennie. Jeden o świcie, drugi o zmierzchu.

— Czy zdarza się, że tego nie robią?

— Bardzo rzadko. Ale to nie dotyczy naszych chłopców. Im się to jeszcze nigdy nie zdarzyło.

— Co pan robi, kiedy nie dostaje pan raportu na czas?

— Próbuję nawiązać kontakt. Do tej pory nie musieliśmy posuwać się dalej, ale gdyby tak się zdarzyło, że nawiązanie kontaktu okazałoby się niemożliwe, wtedy natychmiast podrywamy w powietrze nasze ptaki.

— Dlaczego po prostu nie czekacie do następnej pory przesłania raportu?

Spojrzał na mnie jak na kompletnego głupka.

— Te raporty są ich jedyną linią łączności ze światem. Zależy od nich życie tych ludzi. Jeśli taki raport nie przyjdzie, stawiamy wszystkich na nogi i usiłujemy ustalić, co się stało.

— Czy miał pan służbę, kiedy oddział Sancheza znajdował się w strefie?

— Nie cały czas, ale muszę coś panu powiedzieć, majorze, jak swój swemu. Uprowadzono nas, żebyśmy uważali na to, co panu mówimy.

— Kto was uprzedzał?

Williams pokręcił przecząco głową i uśmiech zniknął mu z twarzy.

— Tego nie mogę panu powiedzieć, ale niech pan to rozgrywa naprawdę ostrożnie. Niech pan nie będzie taki uparty jak kiedyś. Może pan to widzi inaczej, ale tamten obóz jeniecki był dziecinną zabawą w porównaniu z tym, co trzeba robić tutaj, żeby się utrzymać na powierzchni.

W tym momencie podszedł do nas gość z pełnym emblematem ptaka na kołnierzu. Minę miał taką, jakby właśnie ugryzł cytrynę. Pułkownik złapał Williama za rękaw.

— Przepraszam, starszy sierżancie — wycedził i pociągnął Williama w róg sali. Widziałem, jak palec pułkownika wykonał stepowanie na piersi sierżanta. Williamsowi pewnie niezłe się oberwało po uszach. I nie mogę powiedzieć, że bym się tym specjalnie przejął. W końcu facet kiedyś prał mnie równo dzień w dzień przez długie dwa tygodnie.

Najwyraźniej wszyscy zostali już ustawieni przeciwko mnie i na żadną pomoc nie mogłem liczyć w tej sekcji. Wycofałem się dyskretnie, rozmyślając o ostrzeżeniu Williamsa.



## ROZDZIAŁ 6

Facet, który czekał w moim biurze, wyglądał jak nocna zjawą. Być może było to zasługą powieści szpiegowskich tak popularnych w czasach zimnej wojny, ale ciemne okulary i trencze kojarzyły się wszystkim z atrybutami ludzi powiązanych ze służbami wywiadowczymi. Odpowiedź na pytanie, czemu człowiek z NSA, czyli Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, chciał wyglądać jak szpieg, przekraczała możliwości moich władz umysłowych. W końcu, na miłość boską, te chłopaki i dziewczyny z NSA nie wykonują żadnych tajnych misji. Polegają na satelitach i niesamowitych samolotach wyposażonych w najdziwniejsze gadzety, które wykonują za nich całą robotę. Ale wracajmy do naszej historii. Facet siedział przed drzwiami mojego biura. Trencz ułożył na kolanach. Czytał rozłożony na całą szerokość „Washington Post”. Był przystojnym blondynem. Włosy zaczesane do tyłu przyprószyła mu na skroniach siwizna. Jego budowa wskazywała na to, że często bywał na siłowni NSA.

— Witam — odezwałem się, mijając go.

Natychmiast złożył gazetę, zerwał się z krzesła i poszedł za mną.

— Major Drummond? — zapytał.

— Ostatnio tak się nazywałem.

Szedł za mną aż do mojej jaskini. Usiadłem za biurkiem. Wydobył z wewnętrznej kieszeni trencza portfel i pomachał mi jakąś legitymacją. Zdażyłem jedynie zauważyć litery NSA, bo szybko ją schował.

— A więc moja prośba dotarła do pana — powiedziałem.

— Dotarła do wydziału spraw wewnętrznych w Maryland. Kazali mi się z panem skontaktować. Ma pan szczęście, majorze. Strefa Trzy była w tym czasie w zasięgu naszego satelity.

— Świetnie. Kiedy mogę obejrzeć zdjęcia?

— Cóż, obawiam się, że to może trochę potrwać. Strefa Trzy obejmuje bardzo rozległy obszar, prawie czterysta kilometrów kwadratowych. Poprosiliśmy Dziesiątą Jednostkę o współrzędne obozu i dokładne miejsce zasadzki. Kiedy je tylko dostaniemy, nasi analitycy zrobią zbliżenia. Woli pan film czy zdjęcia?

— Jedno i drugie. Ma pan tu w Tuzli jakąś kwaterę? — zapytałem.

— Tak, obok budynku sił powietrznych C3I. Tam będzie mógł pan obejrzeć te zdjęcia.

— A co będzie, jeśli zechcę je stamtąd wynieść?

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Wykluczone. Są ściśle tajne.

— Niech pan słucha, panie... hm, nie usłyszałem dokładnie pańskiego nazwiska.

— Bo nie miał go pan usłyszeć. Niech pan mi mówi po prostu panie Jones — powiedział z głupawym uśmiechem.

— Bardzo oryginalnie. Ale co będzie, jeżeli zdecyduję, że pana zdjęcia satelitarne powinny zostać dołączone do kompletu dokumentów dochodzeniowych?

— A to już pański problem. Te zdjęcia nie opuszczą mojej kwatery.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami.

— Jak mogę się z panem skontaktować? — spytałem.

— Nie może pan. To ja dam panu znać, kiedy będziemy gotowi.

— Będzie pan tu stacjonował?

— Owszem. Dzwonili do mnie z góry i kazali panu pomagać. Więc niech pan będzie grzecznym chłopcem i załatwmy tę sprawę bezboleśnie dla nas obu.

— O rany, wielkie dzięki. Już się nie mogę doczekać, żeby z panem pracować — powiedziałem, gdy wychodził.

Ten człowiek wzbudził we mnie niepokój. Miał dziwne oczy, dziwne maniery. Ale wiecie, co mnie najbardziej w nim zaniepokoiło? To, że trzymał pod pachą „Washington Post” i ten swój głupi trencz. W Tuzli nie padało od dawna.

Wyszedłem z pokoju, żeby poszukać Imeldy.

— Hej, Imeldo, niech mi pani wyświadczy przysługę i zadzwoni do Waszyngtonu. Chciałbym się dowiedzieć, jaką mieli pogodę w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Aha... jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Gdzie w nocy przechowywane są dokumenty sprawy?

— W tych szafkach — odparła i wskazała trzy wielkie szare szafy wojskowe na dokumenty.

— Proszę natychmiast zamówić sejf. A pani... lub któraś z asystentek... będzie do czasu jego dostarczenia spała przy tych szafach.

Imelda uniosła lekko brwi, ale o nic nie zapytała.

Wróciłem do biura i zadzwoniłem do mojego nowego kumpla Wolky’ego. Powiedziałem mu bardzo uprzejmie, że dwóch żandarmów ma co noc pilnować wejścia do mojego budynku.

Po chwili wróciła Imelda z wiadomością, że w Waszyngtonie lało przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Pan Jones nie szedł do mnie ulicą, lecz wystartował z bazy wojsk lotniczych w Andrews. Tylko po co leciał z tak daleka? I z jakiego powodu nie chciał ujawnić swojego nazwiska? Gdy nad tym rozmyślałem, rozległo się pukanie do drzwi. Ujrzałem w nich moich dwóch kumpli z kryminalnego, Martiego i Davida. Wyraźnie nie mogli się doczekać rozmowy ze mną.

— Proszę — powitałem ich i wstałem, by uścisnąć im dłonie.

— Cześć, majorze — odezwał się Martie. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

— Ależ skąd, ani trochę.

Usiedli ciężko na krzesłach. Byli wyraźnie w całkiem innym nastroju niż rano.

— Czy widział pan dwa artykuły na pierwszej stronie porannego „Heralda”?

Przyznałem, że nie, więc wręczyli mi kilka stron pisma przesłanych faksem. Nagłówek pierwszego wstępniaka zawiadamiał o Jeremym Berkowitzu i jego zabójstwie. Okolicznościowy kawałek, wynoszący Berkowitza do roli sławnego krajowego eksperta do spraw militarnych, odważnego i oddanego pracy dziennikarza, no i w ogóle człowieka niemal świętego.

Drugi kawałek był ostatnim tekstem Berkowitza i dotyczył mojego śledztwa. Tyle że w najmniejszym stopniu nie przypominał historii, którą Berkowitz zamierzał napisać. Były to nieciekawe, mgliste uwagi na temat tego, że śledztwo powoli się rozwija. Próbowałem nie okazać zdziwienia.

Martie siedział na krześle odchyłony do tyłu. Na twarzy miał zagadkowy wyraz.

— Czy tak właśnie miał napisać? — spytał raczej mało przyjaźnie.

— Nie mówił mi, co zamierza napisać — odparłem spokojnie.

— Ale powiedział pan kapitanowi Wolkowitziowi...

— Powiedziałem, że wydawał się podekscytowany. Powiedziałem też, że sugerował istnienie wewnętrznego informatora.

— Pańscy ludzie mówią, że Berkowitz spędził dziesięć minut w pana biurze. Dziś po południu odnieśliśmy wrażenie z pańskich słów, że tylko ustaliliście parę faktów i wasza rozmowa trwała chwilę.

— I nadal to podtrzymuję. Zamieniliśmy też parę zdań o tym, jak śledztwo jest postrzegane w Waszyngtonie. Berkowitz twierdził, że Biały Dom jest nim bardzo zainteresowany.

— I to zajęło dziesięć minut, hm? — spytał ze sceptycyzmem w głosie. — Cóż, my przejrzelismy jego notatnik znacznie dokładniej. Pana nazwisko powtarza się w nim bardzo często. I jest tam kilka notatek bardzo zastanawiających.

— Czy zastanowiło was stwierdzenie: „Myślę, że major Drummond udusi mnie dziś w nocy”, czy może: „Prowadzącym śledztwo jest Drummond. Świetny z niego facet”?

— Coś pośrodku — odparł Martie.

Wstałem i podszedłem do drzwi. Otworzyłem je i już miałem wyjść, gdy Martie zapytał:

— A dokądże to się pan wybiera?

— Idę poszukać adwokata. Jestem pewien, że jeden lub dwóch znajdzie się w okolicy.

— Momencik — powiedział Martie, starając się, by jego głos był zimny jak stal. — Radzę panu usiąść i wyjaśnić nam wszystko.

— Nie ma mowy — odparłem krótko. — Obaj wiemy, co tu jest grane. Tkwi pan między młotem a kowadłem do chwili, gdy znajdzie pan jakiegoś podejrzanego. Szkoda mi pana... mówię szczerze... Ale nie zamierzam być pana podejrzanym. A więc, co robimy? Wyjdziecie stąd, czy ja mam wyjść i poszukać adwokata?

Martie zastanawiał się chwilę, po czym obaj z Davidem wstali i wyszli.

\* \* \*

Tej nocy długo leżałem w łóżku i starałem się złożyć w jakąś całość kawałki tej łamigłówki, ale każda z wersji była tak naciągana, że sam bym w nią nie uwierzył. Gdy o drugiej w nocy zadzwonił Clapper, nadal rozmyślałem.

— Psiakrew, Drummond, co się tam, u diabła, dzieje? — zaczął naszą konwersację.

— Sprawy posuwają się do przodu. Wpadł tu dzisiaj człowiek z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i powiedział, że mamy szczęście. Dziękuję panu za pomoc.

— Nie mówię o tym. Właśnie odbyłem rozmowę telefoniczną z generałem Murphym. Mówił, że on i jego ludzie są przez pana nękani. Przefaksował mi długą listę oficjalnych zażaleń. Grożenie starszym oficerom procesem. Uniemożliwienie oficerowi kontaktu z obrońcą.

— Panie generale...

— Dołączył oświadczenia wielu świadków. Spójrzmy, co my tu mamy. Zestaw od podpułkownika Smothersa i jego adwokata, kapitana Smitha. A tu jeszcze coś od starszego sierżanta Williamsa. A teraz zapytam jeszcze raz, co pan tam, u diabła, wyprawia?

Nagle uświadomiłem sobie, że wszystkie moje wysiłki idą na marne. Nie doceniłem moich oponentów.

— Jestem pewien, że wszystko się ułoży, sir — powiedziałem słabym głosem.

— Pewnie. Jak to się skończy, przeprowadzą oficjalne dochodzenie w sprawie pańskiego postępowania. Chyba nie muszę przypominać, że Chuck Murphy to bodaj najbardziej szanowany oficer w całych siłach zbrojnych. Jego uczciwość jest nieposzlakowana.

— Rozumiem, a... — zająknąłem się.

— I jeszcze jedno. Był u mnie przed chwilą szef wydziału kryminalnego i prosił o pana teczkę personalną. Jakie są faktycznie pana powiązania z morderstwem Berkowitza?

— Ja ich nie znam, sir. Dwóch śledczych z kryminalnego było u mnie dwa razy. Powiedzieli, że zaniepokoiły ich jakieś dziwne notatki w dzienniku Berkowitza.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

— Nie jestem zadowolony z pańskich działań, Drummond.

— Ja też — przyznałem. — Choć z całkiem innych powodów.

— Czeka nas dochodzenie, kiedy pan zakończy tę sprawę — znów mnie postraszył Clapper, a potem usłyszałem nieprzyjemny trzask rzucanej słuchawki.

Nie miałem już szans na sen. Wstałem z łóżka, ubrałem się i poszedłem do naszego drewnianego biurowego baraku. Dwaj wartownicy Wolky'ego pilnowali drzwi. Pokazałem im identyfikator i wpuścili mnie. W środku zastałem Imeldę. Siedziała na posłaniu z latarką w dłoni i czytała jedną ze swoich ulubionych grubych powieści.

— Kto tam? — zamrugła w ciemnościach.

— To ja, Imeldo.

— Och, co pan tu robi o tej porze?

— Nie mogłem zasnąć. Pomyślałem, że odświeżę sobie znajomość kilku prawniczych dzieł.

— Sprawy nie idą dobrze, co?

— Nie, niespecjalnie — mruknąłem przygnębiony.

Zastanawiała się przez chwilę, nim zapytała:

— Czy uważa pan, że oni są winni?

— Nie wiem, jeśli mam być całkiem szczery. Podejrzewam, że są, ale wychodzi na to, iż nikt inny nie podziela mojego zdania.

— Ja myślę, że są winni.

— Dlaczego?

— Ponieważ przeczytałam wszystkie stenogramy z pańskich przesłuchań. Ci ludzie kłamią. A ten kapitan Sanchez? Przecież chorąży i tamci sierżanci robili z nim co chcieli. Niech się pan wczyta w ich zeznania. Nieźle go oszukiwali.

— Może — mruknąłem. — Ale wygląda na to, że armia wcale nie chce, bym odkrył, co się tam naprawdę wydarzyło.

— Armia nie zawsze wie, co dla niej dobre.

Siedziała na śpiworze z potarganymi włosami, w pogniecionym zielonym podkoszulku, wytartych szortach i białych skarpetkach. Wyglądała jak siedem nieszczęść.

— Dzięki, Imeldo — powiedziałem.

— Nie ma za co. A teraz niech pan zabiera się do roboty.

— Tak jest, ma'am.

Poszedłem do mojego pokoju i zamknąłem drzwi.

Słyszałem, jak Imelda otwiera szuflady i przerzuca teczki. Po kilku minutach pojawiła się z górą teczek w rękach. Rzuciła je wszystkie na moje biurko i wyszła bez słowa.

Spojrzałem na nalepki. Zebrała wszystkie transkrypcje rozmów, które przeprowadziliśmy we Włoszech. Przerzuciłem je, wybrałem Persica i zabrałem się do czytania. Potem, po kolei, przeczytałem wszystkie. Skończyłem o szóstej rano. Imelda miała rację. Przez wszystkie zeznania przewijał się jeden wspólny wątek — wyraźny brak respektu dla Terry'ego Sancheza.

Kilka razy pytałem Persica i Perrite'a, w jaki sposób podejmowano decyzje. Ich odpowiedzi były mgliste. Persico zapewniał mnie, że odpowiedzialność za wszystkie działania operacyjne spoczywała na barkach Sancheza, mimo to prawie nigdzie nie wspomniano o jego obecności.

Podobnie było w przypadku innych zeznań. Bliźniacy Moore wspominają, że Persico wskazał im miejsce, które mieli zająć w czasie zasadzki. Graves, lekarz oddziału, przyznaje, że to Persico wyznaczył mu miejsce o niecały kilometr od zasadzki. Butler, jeden z dwóch żołnierzy obsługujących broń ciężką, powiedział, że to Persico sprawował dozór ogniowy i zakładanie min. Tak samo brzmiało zeznanie sierżanta Caldwell.

Delbert i Morrow zjawili się o wpół do siódmej. Postanowiłem, że nic im nie powiem. Sukces tego dochodzenia zależał teraz całkowicie od zdjęć satelitarnych Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

O ósmej zadzwoniła jakaś kobieta w imieniu pana Jonesa. Słodkim, melodyjnym głosem zaprosiła nas do kwatery polowej NSA na prywatny pokaz.

Wcale nie chciałem, żeby Sanchez i jego ludzie okazali się winni, ale całą moją karierę zawodową opierałem na uczciwości. Jeśli taśmy wykażą, że oddział Sancheza jest niewinny, to pakuję manatki i wracam do Waszyngtonu. Rozpocznie się przeciwko mnie oficjalne śledztwo, a Delbert i Morrow zeznają, iż miałem obsesję na punkcie udowodnienia winy grupie Sancheza pomimo braku jakichkolwiek dowodów.

Za piętnaście dziewiąta poszedłem po Delberta i Morrow. Odnaleźliśmy kwaterę C3I i strażnik skierował nas na lewo, do małego blaszanego baraku. Przy wejściu stało dwóch wartowników. Najwyraźniej byli uprzedzeni o naszym przyjeździe. Machnęliśmy legitymacjami i wpuścili nas do środka.

Oczekiwała nas kobieta.

— Witam. Jestem Smith — powiedziała z chłodnym uśmiechem. Miała idealnie równe, połyskujące białe zęby.

Ciekawe, że każdy kto pracował dla NSA, nazywał się Jones, Smith lub miał jakieś inne monosylabowe nazwisko.

— Miło panią poznać, panno Smith. Zapewne pracuje pani z panem Jonesem?

— Zgadza się. Jestem jego asystentką do spraw administracyjnych.

Sprowadziła nas stromymi schodkami do podziemia. Jak dobra przewodniczka turystyczna, nie przestawała do nas mówić w trakcie schodzenia.

— Musieliśmy wybudować to pomieszczenie pod ziemią, żeby można było wyłożyć ściany ołowiem. Nowoczesne urządzenia mikrofalowe pozwalają wygom od podsłuchu odczytać wszystko, co przechodzi przez komputer.

— A co wy tutaj robicie?

Długo nie odpowiadała. Widziałem jedynie jej blond włosy. Nie miałem możliwości sprawdzenia, jaki ma wyraz twarzy.

— Przeważnie analizy celów do zbombardowania — powiedziała w końcu, ale jakoś nieprzekonująco.

Doszliśmy do wielkich metalowych drzwi, panna Smith zręcznie przejechała plastikową kartą przez automatyczny zamek i wejście stanęło otworem. Pan Jones siedział przy końcu długiego stołu z kubkiem kawy w dłoni. Zamienił ciemny garnitur i krawat na swobodniejszy strój, bardzo podobny do ubioru Berkowitza — myśliwska kamizelka i tym podobne. Wstał od stołu konferencyjnego i skierował się w naszą stronę. W tym czasie przedstawiałem mu Delberta i Morrow.

Z Delbertem przywitał się szybko i automatycznie, za to z Morrow wymienił długi i przeciągły uśmiech. Potem spojrzał na mnie.

— Chciał pan obejrzeć zdjęcia wykonane z wysoka, majorze. Mamy tu filmy z obrazem termicznym robione z wysokości tysiąca dwustu kilometrów. Są niewyraźne, jak wszystkie obrazy termiczne. Nie można zidentyfikować postaci.

— A więc nie mieliście wtedy żadnych satelitów zdjęciowych nad Strefą Trzy?

— Okazuje się, że nie. Ale proszę się nie martwić. Jestem pewien, iż to co mamy, zadowoli pana.

Jones poprosił, byśmy usiedli i zauważyłem, że sam usadowił się obok Lisy Morrow. Światła przygasły i rozpoczął się film. Wszystko na nim było zielone z kilkoma małymi jaśniejszymi plamkami, prawie przezroczystymi. Właśnie to skupisko plamek zgrupowane było na jednym małym obszarze. Siedem plamek znajdowało się blisko siebie, a dwie inne w pewnej od nich odległości.

Jones trzymał przed sobą notatnik i komentował obraz na ekranie.

— Ten film zrobiono o godzinie pierwszej po południu czternastego. Współrzędne terenu zgadzają się z danymi bazy Sancheza. Przypuszczamy, że to, co tu widać, to rutynowe zajęcia w obozie.

Oglądaliśmy tak przez dwie minuty, potem Jones powiedział:

— Moglibyśmy oglądać jeszcze przez następnych pięćdziesiąt minut. Jeśli pan chce, majorze, możemy tak zrobić, ale uprzedzam, że będzie widać tylko to, co w tej chwili.

— Nie, to mi wystarczy. Co jeszcze pan ma?

— Następny film został zrobiony siedemnastego.

Siedzieliśmy w milczeniu, czekając, aż operator zmieni taśmę.

I znów ekran zrobił się zielony. Było na nim znacznie więcej bladozielonych kropek i wszystkie się poruszały. Patrzyłem na to i czułem, jak serce łąduje mi gdzieś w żołądku.

W końcu pan Jones wstał i podszedł do ekranu. Zaczął mówić, wskazując ręką różne elementy na ekranie.

— Tym, którzy nie są obeznani z naszą techniką, wyjaśniam, że te małe zielone plamki to ludzie. Te większe, jaśniejsze, pochodzą od silniejszych źródeł ciepła. W tym konkretnym wypadku — silników samochodowych.

— A gdzie jest oddział Sancheza w tym galimatiasie? — spytał nagle Delbert.

— Dobre pytanie. — Jones odwrócił się i wyjął z jednej z licznych kieszeni swojej kamizelki wskaźnik laserowy. Włączył go i skierował czerwoną smugę na rząd zielonych plamek, które wolno się poruszały.

— Niech pan liczy i okaże się, że jest tu siedem plamek. Przesuwają się jedna za drugą.

Mały, czerwony wskaźnik Jonesa powędrował do miejsca, gdzie widniały dwie plamki w pewnej odległości za oddziałem Sancheza.

— Sądzimy, że to może być tylna straż Sancheza.

— To muszą być sierżanci Perrite i Machusco — sprecyzowała Morrow.

— Skoro pani tak twierdzi — zgodził się Jones. — A teraz, jeśli chcecie, mogę wyjaśnić, na co patrzycie.

— Proszę wyjaśnić — powiedziałem, czując, że robi mi się niedobrze.

— Ale zanim to uczynię, przekażę wam jeszcze jedną dobrą nowinę — ogłosił z wyniosłym uśmiechem. — Mamy też taśmy z nagraniami rozmów z tego samego dnia. Pochodzą z naszego innego urzędnika. Zostały zakodowane i są w języku serbskim, ale nasi analitycy rozkodowali je i zrobili transkrypcję.

Przerwał na chwilę, żeby dać nam czas na oswojenie się z tą nieoczekiwaną wiadomością.

— Mamy tu do czynienia z wielkim polowaniem na ludzi. Bierze w nim udział prawie siedemset serbskich jednostek. Serbski zwiad zgłasza obecność amerykańskiego oddziału A o godzinie czternastej pięćdziesiąt osiem. Natychmiast wzrasta aktywność radiowa serbskiej milicji. Rozkazy mobilizacji rozesłano do różnych serbskich grup znajdujących się w rejonie Strefy Trzy, ale zgromadzenie ich zajęło Serbom sporo czasu.

Jones znowu przerwał i spojrzął w notatki.

— Taśma, którą oglądamy, została nagrana około godziny dwudziestej drugiej. Mniej więcej osiem godzin przed zasadzką. Jak więc widzicie, oddział Sancheza znalazł się w niezłych tarapatach. W gruncie rzeczy ich ocalenie to cud. W tym miejscu mamy skrzyżowanie dróg, na którym serbskie pojazdy za chwilę urządzią blokadę.

— Czy może nam pan pokazać miejsce zasadzki? — zapytałem.

— Z największą przyjemnością, kolego. — Jego czerwona plamka przesunęła się w stronę jednej z dróg, które wskazywał przed chwilą. — W czasie zasadzki żaden z naszych satelitów nie znajdował się w tej okolicy, ale mamy film z następnego dnia, gdy oddział Sancheza zbliżał się do granicy z Macedonią. Chcecie zobaczyć?

— Nie, niekoniecznie — odparłem kwaśno.

Włączono światło i zobaczyłem, że Morrow i Delbert promienieją z radości jak dzieci pod świąteczną choinką.

— Czy przechwyciliście jakieś serbskie komunikaty po zasadzce? — zapytała Jonesa Lisa Morrow.

— W rzeczy samej, owszem. Mamy transkrypcję meldunku składanego przez jednostkę, która odkryła ciała. I jeszcze jedną, zawierającą rozkaz dowództwa serbskiego zaprzestania wszystkich działań. Ale to już wszystko, co mamy. Kiedy Serbowie chcą ukryć coś przed nami, przestają nadawać i przekazują informacje przez posłańców.

— Ale transkrypcję rozmów w momencie odkrycia zasadzki macie, tak? — upewniła się Morrow.

Jones przerzucił wydruki komputerowe i wybrał jeden.

— Okay, to właśnie to. Alfa trzydzieści sześć to kod nadawcy. Foxtrot dziewięćdziesiąt to kod odbiorcy w serbskim dowództwie. — Jones popatrzył na kartkę. — Była to seria czterech transmisji. Pierwsza wiadomość brzmiała: „Foxtrot dziewięćdziesiąt, tu Alfa trzydzieści sześć. Melduję zasadzkę w sektorze dwadzieścia trzy czterdzieści cztery pięćdziesiąt pięć dziewięćdziesiąt”. A teraz druga: „Alfa trzydzieści sześć, tu Foxtrot dziewięćdziesiąt. Opiszcie sytuację”. I trzecia: „Foxtrot dziewięćdziesiąt, tu Alfa trzydzieści sześć. Siedemnastu zabitych, trzynastu rannych, pięciu żywych”. A teraz czwarta transmisja: „Alfa trzydzieści sześć, tu Foxtrot dziewięćdziesiąt. Nie ruszajcie się stamtąd i czekajcie na dalsze instrukcje”.

Można było niemal usłyszeć, jak Delbert i Morrow oddychają z ulgą pełną piersią. W momencie odkrycia zasadzki osiemnastu Serbów jeszcze żyło. Ergo, Sanchez i jego ludzie nie mogli zabić pozostałych przy życiu. Para Delbert i Morrow wygrała tego debla.

— Mówił pan, że kiedy Serbowie mieli jakieś ważne wiadomości do przekazania, zalegała cisza radiowa? — spytała Morrow.

— Tak. Skąd to pytanie? Czy powinienem o czymś wiedzieć?

— Jedno jest pewne — odrzekła Morrow. — Ktoś pojawił się na miejscu zasadzki i wpakował kule w głowy tych, co przeżyli.

Jones wziął głęboki oddech i spojrzał na stół.

— Swoich własnych ludzi? Dlaczego Serbowie mieliby zabijać swoich własnych ludzi?

— Żeby zrzucić winę za ten nieludzki czyn na oddziały amerykańskie — wyjaśnił mu Delbert.

Jones skinął głową, by podkreślić, że teraz wreszcie wszystkie elementy łamigłówki ułożyły się w całość. Po czymś takim niewiele już mogłem powiedzieć. To już nie był mecz deblowy. Rozgrywałem go z tripletem. Jones zaczął coś szeptać do Morrow, a panna Smith uznała, że nie jestem odtąd ciekawym towarzyszem, wobec czego wstała i obesła stół, by zacząć jakąś równie bezsensowną pogawędkę z Delbertem. Zupełnie jakby mieli zebranie zwycięzców, ja zaś musiałem samotnie kontemplować gorycz porażki. W końcu podniosłem się i opuściłem kwaterę NSA, rozmyślając, co będę robił, gdy Clapper zabroni mi praktykowania prawa wojskowego.

\* \* \*

Kiedy dotarłem do mojego małego biura, musiałem wyglądać nieciekawie, gdyż wszystkie dziewczyny Imeldy zaczęły na wyścigi oferować mi kawę i pytać, czy mogą coś dla mnie zrobić. Prawdę mówiąc, jedyne, co mi pozostało, to dokończenie raportu. Potem wsiądę do samolotu i będę musiał stawić czoło trybunałowi Clappera.

Nagle doznałem olśnienia. Raport koronera. Poprosiłem Imeldę o połączenie mnie z doktorem Simonem McAbee. Kilka minut później wsunęła głowę do pokoju i kazała mi podnieść słuchawkę.

— Czołem, doktorze. Tu Sean Drummond. Jestem panu winien przeprosiny. Skrócono nam termin zamknięcia śledztwa. Muszę mieć pana wyniki na jutro.

— Nie ma żadnego problemu — zapewnił mnie. — Skończyłem przed trzema dniami. Czy mogę zapytać, jaki jest wynik śledztwa?

— Nie będziemy wnosić o trybunał wojenny.  
— Och, to duża ulga, prawda? A jak państwo wytłumaczyli te kule w głowach?  
— To sprawka samych Serbów. Mamy niepodważalne dowody, że na miejscu zasadzki byli żywi ludzie, kiedy Serbowie tam dotarli.

Miałem już zakończyć rozmowę, gdy wiedziony jakimś dziwnym impulsem, zapytałem:

— Hej, doktorze, jeszcze tylko jedno. Pamięta pan, prosiłem pana o sprawdzenie, w ilu przypadkach bezpośrednią przyczyną śmierci był strzał w głowę? Czy udało się to panu ustalić?

— W przybliżeniu...— Usłyszałem, jak szeleści papierami. — Ach tak, tak. Prawdopodobnie dwudziestu pięciu z nich i tak by umarło od ran zadanych wcześniej.

— Dwudziestu pięciu?

— No cóż. Nie mogę tego stwierdzić z całkowitą pewnością. Nie miałem możliwości dokładnego przebadania ciał.

— Czy to oznacza, że dwudziestu pięciu z tych ludzi i tak by umarło?

— O Boże. Chyba źle pana zrozumiałem. Dwudziestu pięciu ludzi umarłoby niemal natychmiast. Inni jeszcze by żyli jakiś czas.

Poczułem, jak serce wali mi w piersiach.

— Doktorze, niech pan posłucha. Muszę mieć absolutną pewność. Czy pan twierdzi, że dwudziestu pięciu ludzi straciło życie prawie natychmiast?

Nastąpiła chwila ciszy, a ja byłem bliski omdlenia.

— Nie natychmiast — odezwał się wreszcie, a moje serce zaczęło odzyskiwać właściwy rytm. — Powiem tak, dwudziestu pięciu Serbów otrzymało tak straszne obrażenia ciała, że nie mogli żyć z nimi dłużej niż trzy minuty. Czterech innych było na granicy przeżycia. Przy udzieleniu odpowiedniej pierwszej pomocy kilku jeszcze by pożyło.

— Doktorze, czy jest pan pewien tych liczb?

— Oczywiście. Na wszelki wypadek przesunąłem nawet granicę błędu. Bardzo możliwe, że nawet dwudziestu siedmiu lub dwudziestu ośmiu zmarło w ciągu minut. Sądząc po ranach, zasadzka była wyjątkowo brutalna.

— Doktorze, proszę mnie jeszcze raz zapewnić, że nie ma możliwości pomyłki co do tej liczby.

— Majorze Drummond, ukończyłem Akademię Medyczną Johna Hopkinsa. Sądzę, że potrafię rozpoznać takie uszkodzenia tkanki, które powodują bardzo szybką śmierć.

— Dziękuję panu — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Pograżyłem się w rozmyślaniach. Jones powiedział, że kiedy Alfa 36 przybyli na miejsce zasadzki, znaleźli siedemnastu zabitych, a osiemnastu ludzi jeszcze żyło. Według doktora McAbee, dwudziestu pięciu z trzydziestu pięciu Serbów musiało już wtedy nie żyć. Tak więc, ocaleć mogło tylko około dziesięciu.

Co było grane? Albo McAbee był niekompetentny, albo robiono ze mnie głupka. Transkrypcje serbskich komunikatów radiowych musiały zostać sfałszowane. A jeśli tak było, to być może... Nie, to niemożliwe... ale może filmy satelitarne też były sfałszowane. Wyglądało na to, że pan Jones zgotował nam mistyfikację wysokiej klasy przy użyciu technologii najnowszej generacji.

Z takim scenariuszem wiązał się jednak bardzo poważny problem. Pan Jones nie działał z wolnej stopy. Był tutaj, ponieważ generał Clapper zwrócił się służbowo do NSA o pomoc w śledztwie. Przysłano go tu i pozwolono zaanektować placówkę polową dla własnych potrzeb. A do tego wyposażono pana Jonesa w możliwości fałszowania przekazów satelitarnych. Widziałem wiele takich przekazów i te pokazane mi przez Jonesa wyglądały na autentyczne.

Miałem ochotę mocno stuknąć się w głowę. Powinienem być to spostrzec od razu. To oszustwo było zbyt perfekcyjne. Oczywiście, Jones nie mógłby nic zdziałać bez pomocy kogoś z mojego zespołu. Znał każdy ważny element naszego dochodzenia. No, każdy, może z



wyjątkiem jednego — liczby ciał. Ale też nikt nie wiedział, że zleciłem doktorowi McAbee takie zadanie. Prosiłem go o to na osobności. Delbert i Morrow stali w tym czasie w przeciwległym rogu pomieszczenia, porównując swoje notatki. Dlatego Jones i jego ludzie zastosowali starą i sprawdzoną zasadę, że w walce na każdego zabitego przypada zwykle dwóch rannych. Jones podzielił to jeszcze na pół, tak że na jednego zabitego przypadał jeden pozostały przy życiu.

Tylko dokąd mnie ta wiedza zaprowadzi? Nie miałem dowodów. Byłem jednak przekonany o spisku. To nie były przywidzenia. Najgorsze, że nikomu nie mogłem zaufać. Delberta i Morrow już skreśliłem. A właściwie uważałem, że nie mogę ufać jednemu z tej dwójki. Tylko komu?

Czy to Delbert wpadł na pomysł przejrzenia zdjęć satelitarnych? Ciekawe, jak na to wpadł? Był specjalistą od prawa karnego, a nie wywiadu strategicznego. A może to Morrow, która zadała odpowiednie pytania, pomagając Jonesowi sformułować pożądane wnioski?

Wróćmy jednak do podstawowych pytań, na które miało odpowiedzieć prowadzone przeze mnie śledztwo. Co się naprawdę przydarzyło Sanchezowi i jego ludziom? Szarada Jonesa pokazała jedynie, że było to coś strasznego. Nie ma dymu bez ognia, tak jak nie ma potrzeby zacierania śladów bez przestępstwa. Zwykle wielkiego, paskudnie pachnącego przestępstwa.

## ROZDZIAŁ 7

Delbert i Morrow wbiegli do budynku w podskokach piętnaście po pierwszej. Gruchali radośnie, najwyraźniej bardzo zadowoleni z przedpołudnia spędzonego w towarzystwie pana Jonesa i panny Smith — swoich nowych lub starych kolegów z NSA.

Imelda była nie w sosie. Miała wpojone silne poczucie obowiązku i długie, nieusprawiedliwione nieobecności w pracy uważała za śmiertelny grzech. Usłyszałem, jak pyta, gdzie nasza para była całe przedpołudnie.

Wyszedłem z gabinetu akurat w momencie, gdy Delbert się tłumaczył naszej opiekunce:

— Przepraszamy. Byliśmy z Harrym i Alice.

— Z Harrym i Alice? A kim oni są, do diabła?

— To pan Jones i panna Smith — wyjaśniła Morrow, wyraźnie zmieszana całą sytuacją.

— Spędziliście tam pół dnia. Bierzcie tyłki w troki i chcę was zaraz widzieć u siebie — rozkazałem oschle.

Wymienili szybkie, przestraszone spojrzenia i uciekli jak skarcone dzieci. Zauważyłem na sobie wzrok Imeldy i puściłem do niej oko. Uśmiechnęła się i też mrugnęła do mnie okiem. Nie przepadała jakoś za tą dwójką.

Odczekałem chwilę, a potem wolno wszedłem do gabinetu i usiadłem za biurkiem. Obrzuciłem ich lodowatym spojrzeniem.

— Uważacie, że dochodzenie zostało zakończone?

Delbert przełknął ślinę i bąknął:

— Cóż, tak, sir, po dzisiejszym dniu...

— A więc wszystko jest już jasne? — zapytałem. — Kapitan Morrow, a co z dokładną chronologią wydarzeń pomiędzy czternastym i osiemnastym czerwca?

— Chronologią, sir?

— Chyba nie sądzisz, że możemy złożyć raport końcowy bez chronologii. Aha, Delbert — powiedziałem, podnosząc głos — czy przypadkiem jeszcze czegoś nie brakuje?

— Można by przeprowadzić jeszcze kilka przesłuchań — odparł, czerwieniąc się.

— To są drobiazgi, Delbert. A co z zasadami podejmowania walki? Czy przypadkiem ktoś z was nie powinien polecieć do Fort Bragg i dowiedzieć się, co właściwie zamierzali osiągnąć pomysłodawcy tej operacji? Ustalić rzetelnie i fachowo, czy zasadzka stanowi dozwolony akt samoobrony.

— No tak, rozumiem, co pan ma na myśli.

— To dobrze, że się wszyscy zgadzamy — orzekłem. — Morrow, wracasz do Aviano. Przygotujesz zestawienie chronologiczne wydarzeń. Delbert, ty wskakujesz do samolotu i lecisz do Fort Bragg jeszcze dziś. I nie wracasz bez odpowiedzi na moje pytanie. Pozostały nam tylko trzy dni.

— A ty co będziesz robił? — zapytała Morrow.

— Ja napiszę końcowe podsumowanie — oświadczyłem.

— A jakie zajmiesz stanowisko?

— Czyż to nie oczywiste? A teraz ruszać się, do cholery! Oboje!

Zabrali się w niecałe dwie sekundy. To, które z tych dwojga było wtyczką, zamelduje natychmiast panu Jonesowi lub generałowi Clapperowi, że uległem naciskom i że zamykamy dochodzenie. Potem oboje wsiądą do samolotów i na dzień lub dwa będę miał ich z głowy. Czułem się dumny z siebie.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do mojego kumpla Wolky'ego. Podziękowałem mu za pożyczanie mi wartowników i zawiadomiłem, że już ich nie potrzebuję. Był niepomiernie zadowolony. Od dnia morderstwa Berkowitza musiał zapewniać ochronę każdemu dziennikarzowi, który tu przyjechał. Co gorsza, śmierć kolegi po fachu przyciągała ich jak

ómy do światła. Właśnie całe nowe stado zjechało do Tuzli i poważnie nadwreżyło nieliczną jednostkę Wolky'ego.

Wyszedłem z pokoju i dałem znak Imeldzie. Wstała zza biurka i wyszliśmy na zewnątrz. Obejrzałem się kilkakrotnie i ruchem głowy wskazałem kierunek naszego spaceru.

— O co chodzi?

— Sam sobie nie poradzę, Imeldo. Potrzebna mi pani pomoc. Chciałbym, żeby poszła pani do mojego namiotu i wzięła jeden z mundurów. Proszę usunąć wszystkie naszywki i przyszyć dystynkcje sierżanta. Potem niech pani pożyczy od jednej z asystentek naszywkę z nazwiskiem i też przyszyje ją do mojego munduru.

Kiedy wyłożyłem jej moją prośbę, małe brązowe oczy Imeldy stały się jeszcze mniejsze. Słuchała mnie uważnie i wcale nie była zdziwiona tą prośbą.

— Jedno z tych asów prawa sprzedało pana, co?

— Co najmniej jedno. A może jedna lub dwie z pani dziewcząt także. Zdaje się, że nasze telefony są na podsłuchu. Niewykluczone, że całe biuro również.

Przez chwilę Imelda zastanawiała się nad czymś.

— To da się sprawdzić — powiedziała w końcu.

— Proszę tego nie robić. Niech ci, co nas podsłuchują, myślą, że nadal mają wszystko pod kontrolą. Muszą wierzyć, że są górą.

Zgodziła się ze mną, po czym pożegnałem ją i poszedłem do stołówki na spóźniony lunch. Idąc, rozmyślałem o kamiennym spojrzeniu pana Jonesa i prześlicznej pannie Smith. W armii uczą, że zanim się podejmie bitwę, należy poznać swojego wroga. W tej chwili wrogowie znali mnie, ale ja nie wiedziałem o nich nic. A raczej znałem ich beznadziejne pseudonimy i wiedziałem, że prawdopodobnie pracowali dla NSA.

To były w tej chwili moje jedyne tropy. Gdybym mógł się dowiedzieć, kim byli ci ludzie, to może bym również odkrył, kto ich tu przysłał i co się tutaj, do diabła, działo.

\* \* \*

O szóstej znalazłem się naprzeciwko kwatery NSA. Ukryty za innym drewnianym budynkiem, obserwowałem wejście. W drzwiach pokazała się panna Smith. Obdarzyła promiennym uśmiechem dwóch strażników i ruszyła ulicą. Miałem nadzieję, że pan Jones nadal siedział za swoim biurkiem. W końcu, parę minut przed siódmą, on też pojawił się w drzwiach. Zignorował strażników i poszedł w przeciwnym kierunku niż panna Smith. Po jakichś pięciu minutach skręcił w lewo do drewnianego baraku. Widniał na nim duży napis: Kwatery gościnne oficerów.

Czekałem około trzech minut, obserwując, w którym pokoju zapali się światło. Nie zapaliło się w żadnym. Jones musiał zajmować pokój z tyłu budynku.

Do wielu użytecznych umiejętności, jakich nauczono nas w grupie, należało włamywanie się. Sprowadzili nawet jakichś byłych kryminalistów, żeby nas szkolili. Potrafiłem włamać się do samochodu i odpalić w ciągu minuty. Umiałem dostać się do mieszkania na piętrze dobrze strzeżonego domu i włamać do większości sejfów.

Wróciłem do namiotu, nastawiłem budzik na pierwszą i zasnąłem. Kiedy rozległ się dzwonek, włożyłem tenisówki i wojskowe dresy. Wziąłem czarne rękawiczki, nóż, punktową latarkę i poncho. Wszystko to wepchnąłem za pazuchę.

Było ciemno i niewielu ludzi kręciło się po okolicy. Zacząłem biec truchtem, jak na amatora nocnych ćwiczeń przystało. Ponieważ była to baza wojskowa, sporo ludzi pracowało na nocną zmianę i nocni biegacze nie byli rzadkim widokiem. Nikt nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Dotarłem do kwater gościnnych dla oficerów i cicho wszedłem głównym wejściem do holu. Było tam czworo drzwi, dwie pary z lewej i dwie pary z prawej strony. Od

razu wykluczyłem najbliższe drzwi, ponieważ okna z tych kwater wychodziły na ulicę. Pozostawały jeszcze dwa pokoje. Miałem pięćdziesiąt procent szans, że trafię na właściwy.

Podszedłem do drzwi po lewej stronie. Dałem moim oczom dwie minuty, żeby przywykły do ciemności. Następnie pochyliłem się i obejrzałem zamek. Był to prosty dwustronny zamek bębnowy. Wyjąłem rozprostowany spinacz do papieru i zabrałem się do roboty. Zamek ustąpił przy pierwszym podejściu.

Stałem nieruchomo przez jakąś minutę. Otwieranie zamka robi trochę hałasu, więc czekałem, żeby sprawdzić, czy w środku nikt się nie poruszył. Wreszcie przekręciłem gałkę i wszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi. Pokój przesiąknięty był zapachem wody kolońskiej, co oznaczało, że trafiłem na leże Jonesa. Żołnierze, a nawet starsi oficerowie nie używają wody kolońskiej. Ale cywile tak.

Przez moment stałem nieruchomo, nasłuchując oddechu mężczyzny. Spał mocno. Ruszyłem w stronę jego biurka. Macałem dłonią podłogę wokół mebla, aż wreszcie natrafiłem na walizeczkę. Przycisnąłem ją i poczułem pod dłonią gładką skórę. Potem podniosłem ją bezszelestnie i opuściłem pokój tą samą drogą, którą przyszedłem. Pamiętałem, żeby nie zamykać drzwi na klucz.

Wyszedłem z budynku, przebiegłem przez ulicę i między domy po drugiej stronie. Wyciągnąłem zza pazuchy poncho, rozpostarłem je i narzuciłem sobie na głowę tak, że utworzyło mały namiot. Ukląknęłam i położyłem teczkę Jonesa na ziemi. Wyjąłem latarkę i zacząłem oglądać moją zdobycz.

Walizeczka była zamknięta na zamek szyfrowy. Rozciąłem ją nożem wzdłuż dolnej krawędzi i włożyłem do środka rękę. Wymacałem małą książeczkę. Wyjąłem ją i otworzyłem. Ujrzałem w paszporcie przystojną twarz Jonesa, który jednak nie nazywał się Jones, lecz Tretorne. A dokładnie — Jack Tretorne.

Ponieważ i tak już włamałem się do jego walizki, postanowiłem zachować ten paszport. Mógł się okazać przydatny. Znów zacząłem przeszukiwać ręką pozostałą zawartość walizeczki. Trochę trwało, zanim trafiłem wreszcie na plastikową legitymację. Oświetliłem ją i znów zobaczyłem przystojnego Jacka Tretorne'a. Na karcie nie było jego nazwiska, a jedynie długi numer. Aha, no i oczywiście właściwie wyeksponowany napis Centralna Agencja Wywiadowcza, CIA.

Zdecydowałem, że legitymację też zatrzymam. Resztę rzeczy włożyłem do środka i wróciłem do budynku z gościnnymi pokojami. Wszedłem cichutko do pokoju Tretorne'a i delikatnie odłożyłem walizeczkę na dawne miejsce, kładąc ją rozciętym brzegiem do dołu. Błyskawicznie przemieściłem się do mojego namiotu i przebrałem w mundur polowy. Potem ruszyłem do budynku dowództwa generała Murphy'ego. Wyciągnąłem moje wszechmocne rozkazy i oznajmiłem dyżurnemu sierżantowi, że potrzebny mi oddzielny pokój i bezpieczny telefon. Wpuścił mnie do biura oficera operacyjnego. Otworzył kluczem specjalną metalową szafkę, w której znajdował się inny specjalny klucz do uruchamiania bezpiecznej linii. Wręczył mi ten klucz i wyszedł.

Pułkownik Bill Tingle był żywą legendą Sił Specjalnych. Krążyły plotki, że to na nim wzorowano postać odegraną przez Johna Wayne'a w filmie z 1968 roku „Zielone Berety”. Tingle dawno przekroczył wiek emerytalny, ale specjalna komisja Kongresu automatycznie przedłużała mu służbę każdego roku. Już podczas wojny w Wietnamie miał pełny stopień pułkownika. Po wojnie to on wystąpił z pomysłem utworzenia grupy i nadal pozostawał z nią związany jako oficjalny doradca.

Wykręciłem specjalny numer grupy, który każdy z nas, grupowych weteranów, musiał nosić w portfelu. Usłyszałem męski głos:

- Halo. Restauracja na wynos „Ling Hai”. — Był to pierwszy punkt kontrolny.
- Chciałbym rozmawiać z Bykiem. — Byk to był Bill Tingle.

Usłyszałem w tle odgłosy przełączania, a potem rozległ się jego zgrzytliwy głos:

— Tingle.

— Witam, sir. Tu Sean Drummond.

— Drummond? Drummond? Aaa, ten dupek, który porzucił nas dla jakiejś szkoły prawa.

— Zgadza się, sir. Przepraszam, sir, ale musimy się przełączyć na bezpieczną linię.

Tingle mruknął coś gniewnie. Używaliśmy specjalnych kluczy do przełączania telefonów podczas tajnych rozmów.

— Potrzebuję pomocy — rzekłem krótko.

— Dobra, Drummond, mów.

I powiedziałem, o wszystkim, łącznie z włamaniem się do pokoju Jonesa oraz kradzieżą jego paszportu i legitymacji. Tingle wysłuchał mojej relacji i po drugiej stronie słuchawki zaległo milczenie.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odezwał się wreszcie.

— Tak też myślałem, ale nie dlatego dzwonię. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej o tym całym Jacku Tretornie.

— I uważasz, że ja ci pomogę?

— Tak jest, sir. Pan ma najróżniejsze kontakty. Może uda się panu dowiedzieć, z kim mam do czynienia.

Znów nastąpiła długa cisza.

— Dobra, Drummond. A tak przy okazji, czy słyszałeś o operacji Phoenix? — odezwał się wreszcie.

— Co nieco. To chyba jedna z tych wietnamskich historii, zgadza się?

— Tak. Proszę to sprawdzić — rozkazał mi. — Odezwę się jeszcze.

— Pułkownik — powiedziałem szybko. — Myślę, że w moich telefonach założono pluskwy. Jeśli można, to ja zadzwonię do pana. A właśnie, natknąłem się tu na innego weterana grupy, starszego sierżanta Williamsa. Pamięta go pan? Prowadził obóz jeniecki.

— Od niego trzymaj się z daleka. To zgniłe jajo. Jeden z tych białych świrów od supremacji. Wywaliliśmy go, bo pomagał w lewych szkoleniach jakichś podejrzanych gruppek.

— Jak się dowiedzieliście? — spytałem.

— Wszystkie wasze rozmowy były nagrywane. Ale chyba się tego nie domyślaliście, co? No dobrze, Drummond, zabieraj się do roboty i uważaj na swój tyłek, chłopcze.

Rozłączyłem się i oddałem klucz bezpieczeństwa dyżurnemu sierżantowi. Potem wróciłem do namiotu. Przespałem się trzy godziny i znów musiałem wstać, wziąć prysznic, ubrać się i pójść do naszego drewnianego baraczkę.

Kiedy wszedłem, Imelda jeszcze spała przy szafkach z dokumentami. Podeszedłem na palcach, włączyłem ekspres do kawy i przygotowałem kubek. Imelda obudziła się, gdy nalewałem kawę.

— Proszę zrobić dwie — mruknęła.

— Tak jest, ma'am.

Wygrzebywała się jeszcze ze swojego śpiwora, gdy podeszedłem z kubkami. Zrobiłem w tył zwrot, żeby kobieta nie czuła się skrepowana. Po minucie usłyszałem, jak stuka w podłogę swoimi polowymi butami, więc odwróciłem się i podałem jej kawę. Potem pokiwałem na nią zgiętym palcem, nakazując, żeby poszła za mną.

Usiadłem za biurkiem i zacząłem pisać w notatniku, podtrzymując jednocześnie konwersację:

— Jak się pani spało?

— Jak najlepiej. A panu?

— Spałem jak nowo narodzone dziecko — odparłem, pokazując jej, co napisałem: „Proszę sprawdzić: operacja Phoenix”.

Wzruszyła ramionami.

— To dobrze. Może nie będzie pan taki gburowaty w stosunku do moich dziewcząt.

Znowu napisałem: „Czasy Wietnamu. Może coś być na ten temat w Internecie”.

— Chciałbym dziś popracować nad końcowym oświadczeniem. Obiecałem Delbertowi i Morrow, że wezmę to na siebie.

— Rozumiem — mruknęła i skinęła głową w kierunku tego, co napisałem. — Nie ma problemu.

I Imelda wyszła z mojego gabinetu.

Ponieważ nie miałem pewności, czy któraś z jej asystentek nie donosi na mnie, zacząłem udawać, że rzeczywiście piszę długie, wyczerpujące sprawozdanie, uzasadniające oczyszczenie Sancheza i jego ludzi ze wszystkich zarzutów.

Pracowałem tak już ze dwie godziny, gdy rozległo się pukanie. W drzwiach stała Martie jakiś tam i David nieboraczek, moi ulubieni agenci wydziału kryminalnego.

— Czy ma pan chwilę, majorze? — zapytał Martie. Postanowiłem być rozważny.

— Oczywiście. Czy mogę poczęstować panów kawą?

— Nie, dzięki — odparł, po czym obaj weszli do pokoju i zasiedli naprzeciw mojego biurka. — Pomyślałem sobie, że powinienem pana poinformować, iż właśnie w tej chwili dwóch naszych agentów przeszukuje pana namiot. Otrzymałem nakaz sądu wojskowego, żeby przeszukać pańskie rzeczy i wypożyczyć na jakiś czas pana adidasy.

— Czy mogę wiedzieć, z jakiego to powodu? — spytałem, mierząc ich złym spojrzeniem.

— Ma to związek z pewnymi notatkami zostawionymi przez Berkowitza. Ale niech się pan tak bardzo tym nie przejmuj. Zabieramy pana buty, żeby je porównać z kilkoma odlewami zrobionymi w laboratorium.

— Aha, i mimo to nie powinienem się przejmować, tak?

— Tak. To jedynie standardowa procedura. Zbieramy mnóstwo śladów. Rozumiem, że nigdy pan nie był w tamtej latrynie, zgadza się?

— Owszem.

— A więc wszystko się wyjaśni szybciej, aniżeli zdąży pan powiedzieć Kuba Rozpruwacz.

\* \* \*

Jedną z rzeczy, jakich człowieka uczy praktykowanie prawa karnego, jest to, że kiedy policjant mówi ci, żebyś się nie przejmował, to powinieneś zacząć obgryzać paznokcie z nerwów. Na szczęście, a może na nieszczęście, nie miałem czasu na martwienie się. Nadal pisałem moje opasłe sprawozdanie i czekałem, aż Imelda przyniesie mi materiały na temat operacji Phoenix.

Weszła żwawym krokiem piętnaście po jedenastej i rzuciła mi na biurko plik wydruków. Schyliła się, żeby coś napisać w moim żółtym notatniku: „Znalazłam w Internecie. Dla bezpieczeństwa korzystałam z terminalu w magazynie”. Następnie zgarnęła moje żółte notatki i zabrała je do przepisania.

Zagłębiłem się w wydrukach. Operacja Phoenix była tajną operacją CIA i Zielonych Beretów podczas wojny wietnamskiej. Informacji o niej nie przekazywano zwykłą drogą służbową i ani szefowie sztabów, ani generał Westmoreland nie mieli o niej pojęcia.

Była to typowa operacja przeciwpartyzancka. CIA penetrowała komunistyczne grupy w Wietnamie Południowym, a następnie jednostki Sił Specjalnych robiły mokrą robotę i likwidowały podejrzanych. Zabijano bez procesu — każdego wskazanego przez CIA. Używano suchego eufemizmu „sankcja wykonana”. Operacja została ujawniona na początku lub w połowie lat siedemdziesiątych.

Od razu się zorientowałem, dlaczego Bill Tingle chciał, żebym przyjrzał się jej bliżej. Otóż pojawia się tam pod dwoma nazwiskami Jack Tretorne, alias Mr Jones, który podając się za przedstawiciela Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, pomaga zataić masakrę popełnioną prawdopodobnie przez Zielone Berety. Nietrudno znaleźć paralele.

Stwierdziłem, że nadszedł czas, by poprawić sobie humor. Całe rano pracowałem bez wytchnienia, więc coś mi się od życia należało. Poszedłem do siedziby NSA. Strażnicy wpuścili mnie do środka. Nacisnąłem dzwonek i pokazałem język, mijając kamerę nad wejściem. Czasami zastanawiam się, jak to się stało, że zostałem majorem.

Po chwili drzwi zabrzęczały i popchnąłem je. Panna Smith już na mnie czekała. Posłałem jej nieśmiały uśmiech i zapytałem o pana Jonesa. Poprowadziła mnie korytarzami i schodami do pokoju konferencyjnego w podziemiach. Przy stole siedziało pięciu mężczyzn, przewodniczył Jack Tretorne. Wyglądało to jak narada „nimf morskich”. Wkoło nic tylko dwuogniskowe okulary, kieszonkowe długopisy i białe koszule z krótkimi rękawami. Pracownicy NSA, bez wątpienia. Czuło się tę charyzmę.

Tretorne znów miał na sobie kamizelkę do mordowania kaczek. Przyjrzał mi się uważnie i zwrócił do zebranych:

— Czy mógłbym przeprosić panów na chwilę?

Nimfy wstały i wolno opuściły pokój. Kiedy zostaliśmy tylko we troje, panna Smith zamknęła drzwi. Tretorne od razu przeszedł do rzeczy:

— Czego pan chce?

Opadłem na krzesło.

— Wczoraj oglądaliśmy filmy i czytał mi pan transkrypcje rozmów radiowych. Chciałbym zweryfikować ich autentyczność.

— Mogę to panu załatwić — odpowiedział spokojnie.

— To świetnie. I jeszcze jedno. Będą mi potrzebne pańskie dane, pełne imię i nazwisko, numer ubezpieczenia i stanowisko w NSA.

— Dlaczego?

— No, skoro nie pozwala mi pan zabrać tych filmów i transkrypcji, będę musiał w moim raporcie wymienić pana jako wiarygodnego świadka.

Zauważyłem, że Tretorne zacisnął zęby. Pochylił się nad stołem i dość wyważonym tonem rzekł:

— Słuchaj teraz uważnie, Drummond. Nie umieścisz mnie w swoim raporcie. Wykonuję wiele zadań ściśle tajnych i nie mogę ryzykować ujawnienia. Podaj po prostu nazwisko szefa NSA, generała Fostera.

Uśmiechnąłem się.

— Spoko, kolego Jones, nie bój nic. Mój raport będzie opieczętowany znaczkami „Top secret” od góry do dołu, jeśli o to ci tylko chodzi. Twoje nazwisko i dane będą wymienione jedynie w specjalnym aneksie, do którego wgląd będzie miał tylko sekretarz obrony i przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

— Nie.

— Jak chcesz. — Wstałem i zacząłem szykować się do wyjścia.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał Tretorne.

— Zadzwoń do sędziego wojskowego. Poproszę go, by wydał nakaz sądowy zaadresowany do dyrektora NSA, dający mu sześć godzin na ujawnienie twojego nazwiska i danych służbowych.

— Nie radziłbym — warknął Jones.

— Panie Jones, chyba mi pan nie grozi? Możemy to załatwić jeszcze w inny sposób. Mogę przekonać sędziego, żeby wystawił nakaz przeciwko panu i pana agencji za ukrywanie istotnych dowodów rzeczowych w śledztwie kryminalnym.

Kiedy zamykałem za sobą drzwi, słyszałem jeszcze, jak Tretorne bełkotał coś rozwścieczony do ślicznej panny Smith. Byłem pewien, że natychmiast rzuci się do telefonu, by prawnicy CIA wyjaśnili mu, czy rzeczywiście mogę spełnić swoje pogroźki. Dowie się w końcu, że mogę jedynie zdobyć nakaz dotyczący jego osoby, ale żaden sędzia nie jest władny nakazać rządowej agencji ujawnienia tajnych informacji. Nie miało to w gruncie rzeczy

znaczenia, trochę to potrwa, zanim dotrze do niego ta wiadomość, a ja chciałem go tylko sprowokować do interwencji.

Wróciłem do biura i udawania, że piszę mój długi raport. O czwartej przeszedłem się ponownie do budynku dowództwa generała Murphy'ego i poprosiłem jakiegoś gorliwego kapitana o znalezienie mi osobnego pomieszczenia z bezpiecznym telefonem.

Zadzwoiłem raz jeszcze do chińskiej restauracji i połączono mnie z pułkownikiem Billem Tingle'em. Obaj przestawiliśmy telefony na bezpieczną linię i Tingle powiedział:

— Słuchaj, znalazłem go. Tretorne figuruje jako GS-17 w Dziale Operacyjnym.

W armii GS-17 plasuje się mniej więcej między dwu- a trzygwiazdkowym generałem. Dział Operacyjny to ta połowa CIA, która wykonuje robotę w terenie.

— Odpowiada za operacje na Bałkanach — dodał Tingle. — Karierowicz, ale nie jeden z tych politycznych pudleyów.

Nie miałem pojęcia, co oznaczało słowo „pudley”. Tingle używał go do określania osób, których nie lubił. Najczęściej mówił tak o prawnikach.

— Czy dowiedział się pan czegoś o nim? — spytałem.

— Opinię ma dobrą. Poza tym ukończył West Point.

— Aha, pułkowniku, właśnie czytałem co nieco o operacji Phoenix.

— W połowę możesz nie wierzyć, ale w drugą powinienes. To się wydarzyło naprawdę.

— Czy teraz też mamy do czynienia z podobną sytuacją?

— Skąd ci to przyszło do głowy, Drummond?

— Musiał pan mieć jakiś powód, żeby mi kazać zajrzeć do tej sprawy.

— Słuchaj, synu, jestem w armii od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Nie masz pojęcia, jak możemy być głupi. I jeszcze jedno. Zastanów się, zanim zaczniesz działać. Czasami coś, co wygląda całkiem źle, w efekcie okazuje się dobre.

\* \* \*

Wróciłem do biura i zmieniłem mundur polowy na służbowy, do którego Imelda przyszyła moje nowe dystynkcje. Według nowej naszywki nazywałem się sierżant Hufnagel. Zdecydowałem się na imię Harold. Zostałem sierżantem Haroldem Hufnaglem, choć naszywka należała do jednej z dziewczyn Imeldy.

Udałem się do magazynu, z którego Imelda zrobiła swoje nieoficjalne centrum łączności. Zapytałem, czy mogę skorzystać z telefonu. Dyżurny szeregowy powiedział, że oczywiście. Zadzwoiłem do Biura Informacji Dziesiątej Jednostki. Odebrał sierżant o nazwisku Jarvis.

— Sierżancie, tu Barry McCloud z porannego wydania waszyngtońskiego „Heralda”. Czy jest może u was w bazie któryś z naszych reporterów?

— Tak, sir — odparł bardzo uprzejmie. — A nawet dwoje.

— Próbuję się z nimi skontaktować. Mieliśmy tu ich numery, ale ci z wydania wieczornego gdzieś je zagubili. Czy byłby pan tak łaskaw i powiedział mi, gdzie się zatrzymali?

— Oczywiście — odparł. Usłyszałem, jak stuka w klawisze komputera. — Clyde Sterner jest w pokoju dwieście jeden. Może go pan złapać pod numerem dwieście trzydzieści dwa sześćdziesiąt cztery czterdzieści cztery. Janice Warner ma pokój sto sześć, numer ten sam, tylko z cyfrą trzy na końcu.

— Wspaniale. Dziękuję — odparłem i odwiesiłem słuchawkę.

Zastanówmy się, do kogo zadzwonić. Clyde Sterner czy Janice Warner? Rzuciłem monetę. Wypadła reszka, czyli Clyde Sterner. Wobec czego wykręciłem numer do pokoju Janice Warner. Usłyszałem intrygująco łagodny głos:

— Janice Warner, słucham.

— Halo, panna... eee, panna czy pani Warner? — spytałem.



— Panna. Czym mogę panu służyć?

— Jestem sierżant Hufnagel. Znałem Jeremy'ego Berkowitza. Był świetnym facetem. To straszne, co go spotkało.

— Nie, proszę pana. Jeremy wcale nie był świetnym facetem. Był zepsuty do szpiku kości, ale ma pan rację, że to straszne, co go spotkało. Czy dzwoni pan w jakiejś konkretnej sprawie?

— Uhm. Być może wiem, kto go załatwił.

— No, to chyba powinniśmy się spotkać.

— Taaa, chciałbym — powiedziałem — ale są małe komplikacje. Musielibyśmy się spotkać potajemnie. Dziś wieczorem. O dziewiątej, przy wejściu do stołówki. I niech pani przyjdzie sama, bo inaczej nici ze spotkania.

— Okay. Aha, sierżancie Hufnagel, będę uzbrojona. A strzelam świetnie. Rozumiemy się?

— Tak, ma'am. Nic złego przez myśl mi nie przeszło.

Do spotkania pozostały jeszcze dwie godziny. Nie miałem nic do roboty, więc postanowiłem schować się w mojej nocnej kryjówce naprzeciwko budynku NSA. Przez godzinę stałem tam, obserwując wejście, ale ani pan Tretorne, ani panna Smith nie pojawili się w zasięgu wzroku. Już miałem odchodzić, gdy oto ktoś się pojawił przy wejściu? Generał Murphy. Ciekawe, co też mogło go tu sprowadzić. Może odbył właśnie spotkanie z Tretorne'em? A może pobrał kolejną listę ludzi do wykonania sankcji? Może było na niej również moje nazwisko?

Ale to byłoby głupotą z ich strony. Bo niby jak armia i CIA wyjaśniłyby zabójstwo głównego oficera śledczego, prowadzącego dochodzenie w sprawie masakry w Kosowie? Czy mogli być aż tak głupi? Albo, co gorsza, aż tak zdesperowani? Zdecydowałem, że nie. Najprawdopodobniej uznali, iż w tej chwili ustawili mnie tak, jak chcieli. Zresztą nie miałem już czasu na te rozważania, gdyż czekało mnie spotkanie z Janice.

Dotarłem tam biegiem za dwadzieścia dziewiąta. Wyszukałem punkt obserwacyjny trzy budynki dalej. Punkt dziewiąta zobaczyłem szczupłą kobietę ubraną po cywilnemu, która spacerowym krokiem zdażała w stronę stołówki. Miała długie ciemne włosy. Ubrana była w dzinsy i czarną skórzaną kurtkę. Doszedłem do rogu budynku oddalonego jakieś dwanaście metrów od stołówki i wtedy wrzasnąłem:

— Panno Warner!

Obejrzała się, a ja powoli zacząłem iść w kierunku najbliższej ulicy. Ruszyła za mną. Kiedy się ze mną zrównała, poszliśmy ramię w ramię.

— Dokąd idziemy? — zapytała.

— Pomyślałem, że możemy się po prostu przejść — odparłem i po raz pierwszy spojrzałem na jej twarz. Bystre, przenikliwe spojrzenie, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, wydatne usta. — Pani pierwszy raz w Tuzli?

— Tak. To nie moja specjalność.

— A jaka jest pani specjalność?

— Polityka zachodnioeuropejska. Clyde Sterner i ja zostaliśmy tu przysłani, żeby zastąpić Berkowitza.

— Czy dobrze mi się zdaje, że pani i Jeremy Berkowitz nie byliście przyjaciółmi?

— Powiedzmy, że mieliśmy inne podejście do pisania reportaży. Ja nie uznaję płatnych informacji. Jeśli chcesz w to grać, to trafiłeś na złego reportera. Spróbuj ze Sternerem. On trzyma kasę na drobne wydatki.

— Tak się składa, że nie o to chciałem prosić. Proponuję taki sam układ, jaki miałem z Berkowitzem. Po prostu wymienialiśmy się informacjami.

Przystanąła.

— Czemu sierżanta miałyby interesować informacje? Dla kogo pan pracuje, Hufnagel?

Uśmiechnąłem się do niej szeroko.

— No, trochę za wcześnie na takie szczegóły, moja pani. Dogadamy się czy nie?  
Przez chwilę się zastanawiała.

— W porządku, niech pan mówi.

— To działa tak: pani przekazuje mi jakąś informację i ja też przekazuję pani jakąś informację. Jak będę z pani zadowolony, to opowiem pani historię, która zapiera dech w piersiach.

— Dobrze, spróbujmy — odparła. — Pan mi przekazuje informację, a ja panu. Zgoda?

— Nie, pani pierwsza — nalegałem. — Tak się składa, że wiem, iż Berkowitz był na tropie czegoś dużego. Czy nie wspomina o tym w swoim ostatnim artykule?

— Nie jestem pewna, o czym pan mówi. Berkowitz pracował nad kilkoma sprawami.

— Niech pani da spokój. Chodzi o masakrę w Kosowie.

Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

— Faktycznie wysłał coś do gazety w noc swojej śmierci.

— Owszem, ale następnego dnia na pierwszej stronie ukazała się jakaś bzdurna historia na całkiem inny temat.

Rozejrzała się na boki.

— Nie wiem, co się wtedy stało, ale mogę postarać się wyjaśnić sprawę jego ostatniej przesyłki — powiedziała.

— Okay, niech to pani zrobi. Tylko niech pani nie zwleka. Teraz moja kolej. Berkowitz uważał, że ma tu miejsce jakiś spisek. Podam pani jedno nazwisko. Jack Tretorne. Słyszała pani o nim?

— Nie, nie sędzę — odrzekła, kręcąc głową.

— To jeden z większych bossów w CIA. Jest tutaj w Tuzli.

— Czy to ma jakiś związek z zabójstwem Berkowitza?

— Owszem — zapewniłem ją.

— I co miałabym zrobić z tą wiadomością?

— Na przykład spróbować zdobyć więcej informacji na temat pana Tretorne'a.

— I to wszystko? — spytała, patrząc na mnie z powątpiewaniem.

— Na razie tak. Skontaktuję się z panią znowu jutro. Zadzwoń i przedstawię się jako Mike Jackson. Powiem, że pani zamówienie jest gotowe.

Już tylko przecznica dzieliła nas od kwatery dziennikarzy, więc zostawiłem ją i wróciłem do namiotu.

Najbardziej zaskoczył mnie fakt, że Janice Warner nie miała pojęcia o masakrze w Kosowie. Może Tretorne'owi udało się zmylić jej pracodawców. Prawdziwy materiał Berkowitza nigdy nie został wysłany, a w „Heraldzie” nie mieli pojęcia, co ich reporter odkrył.

Po wejściu do namiotu zorientowałem się, że ktoś przeszukiwał moje rzeczy. Chłopcy z kryminalnego odłożyli wszystko na swoje miejsce. Brakowało tylko adidasów. W takich to skandalicznych warunkach przyszło mi pracować.

\* \* \*

Generał Clapper zadzwonił o drugiej w nocy. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem te późne telefony nie są umyślne.

— Telefonował do mnie generał Foster z NSA. Był wściekły. Powiedział, że utrudnia pan życie jednemu z jego pracowników, jakiemuś Jonesowi. Co jest grane?

Powinienem był się tego spodziewać.

— Usiłuję po prostu ustalić jego nazwisko i sekcję, żeby podać to w moim raporcie — odparłem.

— Może się pan doskonale obejść bez tego. Generał Foster pozwolił użyć swojego nazwiska. A poza tym, skoro i tak będziecie przeciwni trybunałowi wojennemu, to nazwisko tego człowieka nie ma najmniejszego znaczenia.

— Sir, jestem oficerem śledczym. Nie odstawiam lipy w mojej pracy. Pan może mi doradzać, ale nie może rozkazywać.

—I tak już czeka pana dochodzenie dyscyplinarne, Sean, w sprawie pańskiego zachowania. Niech pan nie pogarsza sytuacji.

— Przykro mi, generale, ale muszę robić to, co uważam za słuszne.

— Jak pan sobie życzy — odparł generał i odłożył słuchawkę.

Ja też odłożyłem moją i wcisnąłem przycisk stop w magnetofonie, który uruchomiłem, gdy tylko generał się przedstawił. Wydawcy waszyngtońskiego „Heralda” byliby zachwyceni, mogąc przesłuchać tę taśmę, gdyby sprawy przybrały inny obrót. A poza tym oni — kimkolwiek byli — zagrywali ze mną nie fair, więc czemu ja miałbym postępować inaczej?

Po tej konstatacji zasnąłem mocno. Obudziło mnie gwałtowne szarpanie. Zamrugalem kilka razy i dopiero po chwili byłem w stanie rozróżnić jakieś kształty. Martie jakiś tam, facet z kryminalnego, pochylał się nad moim posłaniem. Za nim jak zjawy stało dwóch żandarmów.

— Proszę się ubrać. Idzie pan ze mną — oznajmił Martie.

Usiadłem.

— Może pan wyjaśnić, co się dzieje? Czy jestem aresztowany?

— Zabieram pana do aresztu.

Nogi ugięły się pode mną. Szybko ubrałem się i potykając, poszedłem za Martiem. Żandarmi kroczyli po obu moich stronach.

Była trzecia nad ranem, więc ulice były nadal ciemne i puste. Świetna pora na dokonanie na mnie pewnych przewidzianych „sankcją” czynności. Gdy dotarliśmy do aresztu żandarmerii, nieco odetchnąłem. Trochę przedwcześnie.

— Proszę usiąść — powiedział Martie, gdy wprowadzono mnie do pokoju przesłuchań. Odczytał mi moje prawa i zapytał:

— Czy chce pan odpowiadać przy prawniku?

To pytanie jest zawsze krytyczne. Nie miałem pojęcia, o co byłem oskarżony. Nie wiedziałem nawet, czy w ogóle będę o coś oskarżony. Zdecydowałem, że żaden prawnik nie zrobi dla mnie więcej niż ja sam. Bo w końcu sam byłem prawnikiem, czyż nie?

— Nie tym razem — odpowiedziałem.

Martie ruchem głowy nakazał żandarmom opuszczenie pomieszczenia. Zamknęli za sobą drzwi. Martie przez chwilę przyglądał mi się.

— Ma pan poważny kłopot — odezwał się wreszcie. — Odciski z pana adidasów pasują do tych, które zdjęliśmy w latrynie, gdzie zamordowano Jeremy’ego Berkowitza.

— To niemożliwe. Tamtej nocy nie byłem w pobliżu latryny.

— Chyba nie chce mi pan wmówić, że ktoś pożyczyl sobie pana buty, zamordował Berkowitza i odłożył je na miejsce.

— Niczego nie zamierzam panu wmawiać.

Odchylił się na krzesło i zaczął bawić długopisem.

— Jest jeszcze coś — powiedział. — Wśród notatek, które znaleźliśmy w pokoju Berkowitza, była jedna od pana. Prosi pan w niej o spotkanie w latrynie o pierwszej w nocy.

W tym momencie cała pewność siebie mnie opuściła. Teraz już wiedziałem, że mam naprawdę poważny kłopot. Jakkolwiek adidas jako dowód rzeczowy można było w sądzie podważyć, to już z notatką nie dałoby się tego zrobić tak łatwo.

— To niemożliwe — wymamrotałem znowu.

— Dwóch ekspertów badało charakter pisma. To pana pismo, majorze. Chyba nie muszę panu tłumaczyć pewnych rzeczy.

Nie, nie musiał. Ktoś mnie porządnie wrabiał.

— Martie, poradzę sobie bez adwokata — powiedziałem.

Przyglądał mi się kilka sekund, po czym wstał, podszedł do drzwi i zapukał w nie. Pokazali się dwaj żandarmi. Nakazał im odczytanie nakazu aresztowania i odprowadzenie mnie do celi.

W celi padłem na łóżko i przez trzydzieści minut leżałem, rozmyślając, jaki byłem głupi. Gorzej, po raz kolejny nie doceniłem przeciwnika. Nagle usłyszałem odgłos otwierania zamka. Kroki. Nie zapalono świateł. Korytarz i cele tonęły w ciemnościach. Kroki ucichły pod moimi drzwiami. Poczulem wodę kolońską.

— Tretorne, ty łajdaku — odezwałem się.

— Pasujesz do tego miejsca, Drummond.

— Taaa? Czemu do mnie nie dołączysz?

Zachichotał.

— Od razu wiedziałem, że to ty włamałeś się do mojego pokoju. Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowała ta teczka. A poza tym chciałbym odzyskać mój paszport i legitymację.

— To mnie wypuść.

— Obawiam się, że to już nie jest takie proste.

— Oczywiście, że jest, Jack. Jeśli pójdę siedzieć, to nie zabiorę ze sobą moich sekretów.

— Nie masz żadnych sekretów. Tak ci się tylko zdaje.

— Hmm. Wiem doskonale, co ty i Murphy knujecie. Wsadzisz mnie, a ja to przekażę wszystkim znanym mi reporterom.

— Myślisz, że będą cię słuchać? Nikt nie zwraca uwagi na mordercę, który zaczyna coś bredzić o spiskach.

Oczywiście miał rację. Cofnął się i zobaczyłem, że opiera się o przeciwległą ścianę. Kiedy się ponownie odezwał, to, co mówił, zabrzmiało aż nazbyt rozsądnie, by mogło być prawdziwe.

— No nieważne. Przyszedłem tutaj, żeby dobić z tobą targu. Chcesz słuchać?

— W tej chwili i tak nie mam nic lepszego do roboty.

— Okay, zakończysz to śledztwo tak, jak to zostało zaplanowane, i jesteśmy kwita. Posunę się nawet do tego, że przekonam Clappera, by odwołał dyscyplinarne dochodzenie w twojej sprawie i będziesz mógł dalej rozwijać swoją karierę.

— I mam tak po prostu przejść do porządku dziennego nad twoją drobną przygodą z Zielonymi Beretami?

— No właśnie.

— A co z Berkowiczem?

— To nie my.

Teraz ja zachichotałem.

— Gówno prawda.

— Ale ja faktycznie nie wiem, kto go zamordował.

— Wobec czego za kratki wsadziłeś mnie.

— A tak, bo postawiłeś nas w cholernie trudnej sytuacji. Jeśli zostaniesz głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo, nie będziesz już mógł prowadzić dochodzenia ani próbować dostarczać prasie informacji, jak to zamierzałeś robić z Berkowiczem. To było bardzo sprytne.

Miałem potwierdzenie, że w moim biurze założono podsłuch.

— No dobra, Tretorne, więc jak to było? Czy Berkowicz dotarł zbyt blisko pewnych tajemnic? Dlatego właśnie musiałeś go zabić?

— Powtórzę jeszcze raz. Nie wiem, kto zabił Berkowicza. Nie my, w każdym razie. Jednak jego śmierć stworzyła okazję do pozbycia się ciebie. Nie jestem z tego dumny, ale robię to dla ojczyzny.

Ledwie się powstrzymałem, żeby nie parsknąć szyderczym śmiechem. Zamiast tego zapytałem:

— Jak przygotowałeś moją wpadkę?

— To było bardzo proste. Elektronika ułatwia wszystko, nawet pracę w policyjnym laboratorium. Zdziwiłbyś się, jak łatwo podmienić odcisk buta przechowywany w laboratoryjnym komputerze. Ludzie z NSA potrafią czynić cuda.

— A kartka z rzekomo moją notatką znaleziona w pokoju nieszczęsnego Berkowitza?

— Odpowiednia technologia pozwala również produkować falsyfikaty nie do rozpoznania.

Milczałem, więc dodał:

— Słuchaj, Sean, nie zmuszaj nas do tego. Podziwiam cię. Naprawdę. Wiem wszystko o twoim pobycie w grupie. Robiłeś rzeczy wymagające wielkiej odwagi, ale nie mogę ci pozwolić na szkodzenie własnemu krajowi. Nie traktuj tego osobiście.

Dawno temu zamknięto mnie w pokoju przesłuchań z sierżantem Williamsem. Po każdym jego uderzeniu coś we mnie wstępowało i wrzeszczałem na niego, a on bił mnie tym mocniej. Teraz byłem o dwanaście lat starszy, ale czy także o dwanaście lat mądrzejszy? Musiałem tylko dać Tretorne'owi to, czego żądał, i żyć dalej, tak jak żyłem.

— W porządku, Tretorne, zrobię to — wyrzuciłem z siebie.

Odszedł od ściany i zbliżył do mojej celi.

— Daj mi słowo oficera — zażądał. Był absolwentem West Point i nauczono go tam wiary, że słowo oficera jest święte. W tej sytuacji było to doprawdy zabawne. Tretorne w ogóle nie dostrzegał gorzkiej ironii tej całej sytuacji. Zmuszał mnie do złożenia honorowej przysięgi, że będę kłamał w oficjalnym raporcie.

— Masz moje słowo — powiedziałem.

— Okay. Za kilka godzin przyjdzie tu generał Murphy i przysięgnie, że byłeś z nim cały czas tej nocy, kiedy zamordowano Berkowitza. To wystarczy, żeby cię zwolniono. Jeśli jednak spróbujesz mnie oszukać, to wylądujesz tu z powrotem i nie będzie żadnej drugiej szansy.

Usłyszałem odgłos oddalających się kroków. Oczywiście skłamałem. Kiedy tylko stąd wyjdę, zrobię wszystko, żeby unieszkodliwić Tretorne'a i Murphy'ego. Ci faceci uwięzili mnie i szantażowali. Byłem tak wściekły, że chciałem kasać, ale zdecydowałem, iż moją zemstę muszę dobrze przygotować.

## ROZDZIAŁ 8

O ósmej przyszli po mnie. Wróciłem do swego namiotu, wziąłem prysznic, ogoliłem się i włożyłem świeży mundur. Delbert i Morrow już siedzieli w biurze, kiedy tam przyszedłem. Nikt się nie zorientował, że tej samej nocy zdążyłem trafić do aresztu i zostałem z niego wypuszczony, a przynajmniej nic nie wskazywało na to, by cokolwiek wiedzieli.

Zaprosiłem Delberta i Morrow do mojego gabinetu. Przez godzinę przeglądaliśmy zebrane przez nich materiały i podsumowaliśmy to, co do tej pory ustalili. W Fort Bragg Delbert dowiedział się, że kiedy ustalano tam zasady angażowania się w walkę, nie pomyślano o czymś takim jak zasadzka prewencyjna. Stwierdzono jednak, że podjęcie takiego działania może być uzasadnione, jeśli oddział znajdzie się w szczególnie trudnej sytuacji.

Morrow przygotowała długie, szczegółowe i rozpisane na kolory zestawienie chronologiczne wydarzeń. Kiedy skończyliśmy omawianie materiałów, oboje wstali i ruszyli do wyjścia. Przy drzwiach Lisa Morrow zatrzymała się i spytała, czy mogłaby porozmawiać ze mną na osobności. Skinąłem głową. Zamknęła drzwi i wróciła na swoje miejsce.

Była czymś wyraźnie poruszona.

— Nasuwają mi się pewne wątpliwości. Już nie uważam, że ci ludzie są niewinni — oznajmiła.

— Zgrywasz się, prawda? — odparłem, kręcąc głową.

Spojrzała mi prosto w oczy.

— Nie. — Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. — Słuchaj, zarabiam na życie, pracując z ludźmi, którzy popełnili różne wykroczenia. To niemożliwe, aby zeznania dziewięciu mężczyzn zgadzały się w tak drobnych szczegółach jak to, co usłyszałam w ciągu ostatnich dwóch dni. Wygląda na to, że wszyscy zostali dobrze przeszkoleni.

Przyglądałem jej się z niedowierzaniem. Przystanąła.

— Mam też konkretny punkt zaczepienia. W tej chwili już wszyscy oni wiedzą dokładnie, ile flar poszło w górę, zarówno przed, jak i po wykryciu ich przez wroga. Nie udało mi się ustalić choćby jednego punktu spornego.

Rzeczywiście zakrawało to na ironię. To ja tu podejrzewam Sancheza i jego ludzi, ponieważ szczegóły ich zeznań się nie zgadzają, a Morrow podejrzewa ich właśnie dlatego, że zgadzają się aż za bardzo.

I w tym momencie doznałem objawienia. Lisa Morrow była wtyczką. Tretorne nasłał ją teraz, żeby odegrała scenę nagłej zmiany poglądów i sprawdziła, czy zamierzam dotrzymać naszego faustowskiego paktu.

Nie trzeba było mnie uczyć, jak to rozegrać.

— Słuchaj, Morrow, nie możesz znowu zaczynać od nowa. Jest... no cóż, jest już na to za późno.

Zakręciła się wokół własnej osi, a spod zmrużonych powiek rzuciła mi przenikliwe spojrzenie.

— Nie jest za późno, dopóki niczego nie podpisano.

Wszystkimi siłami powstrzymałem się od śmiechu. Była doprawdy czarującą intrygantką, ale nie zamierzałem się nabrać na te proste numery.

— A jak to zamierzasz uzasadnić — spytałem z szyderczym uśmiechem. — Wystąpisz o trybunał wojenny, wiedzona swoim szóstym zmysłem? A może użyjesz argumentu, że zeznania świadków za bardzo się ze sobą zgadzały, by mogły być prawdziwe?

— Uzasadnię to tak, jak mi nakazuje sumienie. Mam jeszcze dwa dni na podjęcie decyzji i nie zamierzam ulegać żadnym presjom.

— Ejże, staram się tylko zaoszczędzić ci przykrych sytuacji. Delbert i ja uważamy, że ci ludzie są niewinni. Jestem o tym całkowicie przekonany. W gruncie rzeczy to bohaterowie.

Przyjrzała mi się uważnie, próbując pewnie ustalić, czy udaję, czy mówię serio. W końcu wypadła zagniewana z pokoju.

Ja zaś musiałem teraz odbyć nad wyraz istotną rozmowę telefoniczną. Wróciłem do namiotu, włożyłem mundur Hufnagla i poszedłem do magazynu Imeldy. Szeregowy stał przed nim jak zwykle. Spytałem, czy mogę skorzystać z telefonu, i zadzwoniłem do Janice Warner.

— Halo — rozległo się w słuchawce.

— Cześć, tu Mike Jackson — powiedziałem, używając umówionego kodu.

— Ach, to pan — odparła. — Czy moja dostawa jest gotowa?

— Taaa. Czy może ją pani odebrać za piętnaście minut?

— Tak. Już idę.

Ustawiłem się w połowie drogi pomiędzy budynkiem stołówki i kwaterami dla dziennikarzy. Po pięciu minutach zobaczyłem Janice Warner na ulicy i wyszedłem jej na spotkanie. Wziąłem ją pod ramię i ruszyliśmy razem wolnym krokiem.

Miała na sobie spodnie khaki, bawełnianą koszulę w kolorze niebieskim zapinaną na guziki i znaną mi już czarną skórzaną kurtkę. Teraz dopiero zauważyłem, że jej oczy były niemal tak czarne jak włosy. A brwi cieniutkie, zakrzywione jak tureckie szable. Bardzo ponętne.

— I co, skontaktowała się pani ze swoim wydziałem spraw wewnętrznych? — zapytałem.

— Owszem. Nie mają pojęcia, o czym pan w ogóle mówi. W przesyłce Berkowitza nie ma ani jednego słowa na temat jakiegoś przełomu w dochodzeniu.

— To bardzo dziwne. Podczas naszej ostatniej rozmowy kręcił się w kółko jak derwisz. Nie uwierzę, że nic o tym nie napisał.

— Dowiedziałam się też co nieco o Jacku Tretornie. Zna go jeden z naszych reporterów, który kontaktuje się z Agencją. Tretorne odpowiada za Bałkany. Ma nawet pseudonim — Jack z Serbii. Zajmuje się serbskimi sprawami od dziewięćdziesiątego roku. Ma świetną reputację. Mówi się, że stoi za każdą akcją przeprowadzaną w tamtym rejonie i jest mózgiem wszystkiego, co się tam dzieje.

— Czy nie zastanawia to pani, co on w takim razie tutaj robi? — spytałem.

— A co w tym dziwnego? Po drugiej stronie granicy szaleje wojna. W gruncie rzeczy dziwiłabym się, gdyby go tu nie było.

Odniosłem wrażenie, że zaczynała tracić cierpliwość. Powiedziałem zatem:

— A więc, mówi pani, że Berkowitz nikomu nie wspominał o tym, iż trafił na coś ciekawego w tej sprawie?

— Nie. A poza tym nie przyjechał tu z powodu masakry w Kosowie. Sierżancie Stupnagel, jakoś coraz trudniej mi traktować poważnie pańskie rewelacje.

— Mówiłem pani, że nazywam się Hufnagel.

— No cóż, to też stwarza pewien mały problem. Nasz dział informacji sprawdził również pańskie nazwisko. W Tuzli jest tylko jedna osoba o tym nazwisku i jest to kobieta, prawniczka. A kim pan jest?

W pierwszym odruchu chciałem dalej brnąć w kłamstwo. Ale w końcu czemu nie miałbym jej podać swojego prawdziwego nazwiska? Moja sytuacja i tak już nie mogła być gorsza niż teraz.

— No dobrze, jestem major Sean Drummond. Kieruję śledztwem dotyczącym masakry w Kosowie.

Spojrzała na mnie z wyraźnym zaciekawieniem.

— A po co ta cała maskarada?

— Ponieważ uważam, że istnieje powiązanie pomiędzy zabójstwem Berkowitza a moim dochodzeniem.

— I chciał pan, żebym po prostu wypełniła pewne luki informacyjne za pana?

— W zasadzie tak. Właśnie o to mi chodziło.

Była wyraźnie zawiedziona. Szablowane brwi zeszyły się na środku czoła w grymasie niezadowolenia.

— I nie ma pan żadnych istotnych informacji o zabójstwie Berkowitza, prawda?

— Mogę pani powiedzieć, że zamordował go zawodowiec. Mogę dodać, że morderstwo było związane ze sprawą, o której Berkowicz pisał. I jeszcze raz powtórzę, że miało ono związek z prowadzonym przeze mnie śledztwem.

— No dobrze, tylko nadal nie wiem, jak mogłabym panu pomóc. Gdybyśmy mieli jakiegokolwiek domysły na temat tego morderstwa, z całą pewnością przeczytałby pan o tym na pierwszej stronie „Heralda”. Pisał o pańskim dochodzeniu i przygotowywał rutynowy artykuł o operacji w Kosowie. Nie ma tu nic, co by wskazywało na powód do morderstwa.

— Czy Berkowicz jeszcze nad czymś pracował? — zapytałem.

— Cóż, prowadził na własną rękę jakieś prywatne dochodzenie w sprawie neonazistów i białych suprematystów w armii. To była jego obsesja, osobista pasja, nad którą pracował od lat. Berkowicz, widzi pan, był Żydem. Jego dziadkowie zginęli w nazistowskim obozie koncentracyjnym.

— Czy wie pani coś bliższego o tym dochodzeniu?

— Tym razem szedł ponoć pewnym tropem, na który wpadł w Fort Bragg. Podobno grupa wojskowych szkoliła tam jakichś wieśniaków w podpalaniu synagog i kościołów murzyńskich.

— I z tego powodu przyjechał aż tutaj?

— Jego szef twierdzi, że Berkowicz miał tu sprawdzić coś, co miało związek właśnie z tą sprawą. Pamięta pan serię zeszłorocznych podpażeń kościołów? Berkowicz podejrzewał, że człowiek odpowiedzialny za nie mógł być tutaj.

I nagle mój umysł przestawił się na najwyższe obroty. Sierżant Williams był ekspertem od używania garoty. Wszyscy w grupie przeszli szkolenie z tym upiornym narzędziem. Wyrzucono go potem z grupy za jakieś ciemne sprawki związane właśnie z rasistami. A że miał niewątpliwe skłonności sadystyczne, mógłbym zaświadczyć osobiście.

Raptem wskoczył na miejsce jeszcze jeden kawałek łamigłówek! Może stąd Berkowicz wiedział o istnieniu grupy. Może informator powiedział mu o Williamsie i skierował do mnie. Moje rozmyślenia przerwała Janice Warner, która potrząsnęła moim ramieniem.

— Czy wie pan coś na ten temat?

Przywołałem na twarz najbardziej niewinną minę z mojego repertuaru i odparłem:

— Nie. To pewnie kolejna zwariowana idea Berkowitza, która nie wypaliła.

Była wyraźnie rozczarowana. Nie chcąc wzbudzać jej podejrzeń, spojrzałem na zegarek i powiedziałem:

— O rany! Która to godzina! Mam kolejne przesłuchanie. Zadzwoń do pani, jak coś znajdę.

Nie była głupia. Zmrużyła oczy.

— No cóż, niech pan tak zrobi — rzekła, gdy ja już gnałem z powrotem do siebie.

Naprawdę nie mogłem jej opowiedzieć o moim starym kumplu, sierżancie Williamsie. Była reporterką, a ja miałem tylko podejrzania. Poza tym zrodziły się we mnie inne plany związane z tą ostatnią wiadomością. Szczelny klosz, który Tretorne i Murphy zbudowali wokół mnie, wykazał fatalne pęknięcie. Gdyby udało mi się udowodnić, że Williams zamordował Berkowitza, straciliby całą przewagę nade mną. Nie mogłem się tego doczekać. Napiszę nową wersję raportu i zetrę ich w pył.

\* \* \*



Lisa Morrow nadal siedziała nadąsana, kiedy dotarłem do biura. Dziewczyna była wytrwała i należało dać jej szansę.

Napisałem liścik do starszego sierżanta Williamsa i poprosiłem nieocenioną Imeldę, żeby jedna z jej asystentek zniosła go do centrum operacyjnego. Następnie udałem się na posterunek żandarmerii. Martie i David mieli pokój na końcu korytarza, obok biura kapitana Wolkowitza.

Zapukałem i jakiś głos zaprosił mnie do środka. Byli tam wszyscy trzej — Martie, David i Wolky. Siedzieli przy stole konferencyjnym. Ze dwa tuziny pustych kubków po kawie walało się wzdłuż i wszerz stołu, a Martie i David zapodziali gdzieś nawet swoje krawaty.

— Cześć, chłopaki! — powiedziałem, posyłając im najszerszy z moich uśmiechów. Wreszcie trafiłem na kogoś, kto spał jeszcze mniej ode mnie. — Macie jakichś nowych podejrzanych?

— Posuwamy się do przodu — odparł apatycznie Martie.

— To dobrze — rzekłem, siadając ciężko na krześle. — Wobec tego nie będę marnował waszego czasu i mówił wam, kto jest mordercą.

Wolky pierwszy doszedł do siebie.

— To znów jakiś żart, majorze?

— Wyobraź sobie, człowieku, że nie. Czy kiedykolwiek zadaliście pytanie w redakcji „Heralda”, nad czym aktualnie pracował as reportażu Berkowitz?

— Oczywiście — odparł Martie. — Powiedzieli mi tylko, że pracował nad operacją w Kosowie. Wiedzieliśmy też z jego artykułu, że interesował się pana dochodzeniem.

— Cóż, okazuje się, że była jeszcze trzecia historia. Próbował zdekonspirować koło neonazistów w naszej armii.

Wszyscy trzej pochyliłi się do przodu.

— Wygląda na to, że informator doniósł Berkowitzowi, iż jeden ze stacjonujących tu żołnierzy mógł być zamieszany w zeszlóroczne podpalenia kościołów.

— Skąd pan o tym wie? — zapytał Martie.

— Ja też mam swoje źródła informacji.

Martie zwrócił się do Wolky'ego.

— Wiesz coś o białych supematystach w tej jednostce?

— Nie — odparł Wolky, wzruszając ramionami.

Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ Tuzla była tylko przejściową bazą operacyjną. Oddziały przebywały tu na zasadzie rotacyjnej i swoje czarne charaktery zabierały ze sobą. Mimo wszystko cieszyłem się, że Martie zadał to pytanie. Teraz już wiedzieli, że mnie potrzebują.

— Mogę wam zaproponować pewien układ, chcecie?

— Układ? Co to znaczy układ? — spytał David.

Odchyliłem się na krześle.

— No cóż, z pewnych powodów wasz główny podejrzany będzie wymagał specjalnego traktowania. Możecie go aresztować i zamknąć w odosobnionej celi. Nikt nie będzie mógł się do niego zbliżyć. Ale już następnego dnia zgłosi się ktoś, by za niego poręczyć. Wypuście go i na tym zakończy się wasza rola, a o całej sprawie od razu zapomnicie.

Wszyscy trzej patrzyli na mnie, jakbym zwariował. Martie pierwszy doszedł do siebie.

— W życiu nie słyszałem czegoś równie dziwnego.

— Możecie w to wejść lub nie. Jeśli nie będzie wam po drodze, to zgłoszę się do kogoś innego, żeby załatwił tę sprawę — powiedziałem.

— A czemu ten człowiek wymaga takiego specjalnego traktowania? — zapytał Wolky.

— Przykro mi, Wolky. Nie mogę o tym mówić.

— A kto się po niego zgłosi?

— Faceci w czarnych garniturach. Będą mieli specjalne rozkazy podpisane przez sekretarza obrony. To wszystko, co musicie na razie wiedzieć.

Tu warto może nadmienić, że prawdziwym powodem, dla którego Clapper tak łatwo się zgodził na podjęcie przeze mnie studiów prawniczych, był fakt, iż to rozwiązywało mu pewien delikatny problem w armii. Grupa była tylko jedną z kilku tak zwanych czarnych jednostek. W sumie w całej armii służy kilka tysięcy żołnierzy przeszkolonych w takich jednostkach. Jak można sobie wyobrazić, w ich szeregach zaciąga się chętnie wielu prawdziwie niebezpiecznych bandytów. Kiedy popełnią przestępstwo, nie można im wytoczyć otwartego procesu przed trybunałem wojennym, ponieważ taki proces ujawniłby istnienie tych specjalnych jednostek. Armia poradziła sobie w ten sposób, że ustanowiono stały „czarny trybunał” ulokowany w maleńkiej tajnej bazie w północnej Wirginii. Utworzono nawet specjalny „czarny trybunał rewizyjny” do rozpatrywania odwołań. Tam właśnie pracowałem do chwili, gdy odwołano mnie do prowadzenia tego śledztwa.

Starszego sierżanta Williamsa czekała rozprawa w naszym sądzie.

Martie, David i Wolky dość szybko zorientowali się, że mają związane ręce, i przystali na mój układ.

Musieliśmy teraz udowodnić, że Williams faktycznie to zrobił. Opowiedziałem im o sierżancie tylko tyle, ile było konieczne. Poprosiłem Martiego, by zadzwonił do laboratorium w Heidelbergu i poprosił o przesłanie nam największego odcisku buta, jaki znaleźli na miejscu zbrodni. Williams był wielkim mężczyzną, około metra dziewięćdziesięciu, i kiedyś zdarzyło mi się spędzić dwa tygodnie na oglądaniu jego stóp. Jedną z jego ulubionych technik przesłuchiwanie ludzi był rozkaz wpatrywania się w podłogę, jak robią to mnisi odbywający pokutę. Zapamiętałem dobrze jego olbrzymie stopy.

Odcisk przesłano elektronicznie. Był to odcisk buta firmy Adidas, rozmiar czterdzieści osiem 2E. Martie powiedział mi, że w noc morderstwa w kwaterze dla dziennikarzy nocował reporter „Los Angeles Times”, który miał buty tego samego rozmiaru i dlatego sądzili, że tamte ślady należały do niego. Napisał do wydziału policji w Los Angeles z prośbą o sprawdzenie tego reportera, ale odpowiedź nie przyszła do dziś.

Kazałem mu zadzwonić do sędziego wojskowego z prośbą o nakaz przeszukania pokoju starszego sierżanta Williamsa, abyśmy mogli zabrać parę jego butów.

Następną kwestią, która wymagała wyjaśnienia, było to, skąd Williams dowiedział się o tym, że Berkowitz go poszukiwał. Zwróciłem się do Davida.

— Sprawdź, czy tamtej nocy nasz Williams miał dyżur w centrum operacyjnym.

David pobiegł wykonać zadanie, a gdy wrócił zdyszany, wyrzucił z siebie:

— Miał dyżur w ciągu dnia. W centrum operacyjnym był od szóstej rano do szóstej po południu.

A więc w noc morderstwa Berkowitza był wolny. Na razie wszystko pasowało. Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł żandarm z wielkimi adidasami o numerze czterdzieści osiem 2E. Wyglądały na całkiem nowe. Wszyscy pokiwaliśmy głowami. Wreszcie sprawa zaczynała się wyjaśniać.

W jaki sposób Berkowitz mógł się dowiedzieć, gdzie Williams stacjonował? Nie dawało mi to spokoju. Zadzwoniłem do biura informacji. Znów odpowiedział sympatyczny sierżant Jarvis.

— Czołem, sierżancie, tu major Sean Drummond. Kto się zajmuje pytaniami od prasy w waszym biurze?

— Najpierw przychodzą do mnie, sir.

— Pamięta pan może, czy Jeremy Berkowitz prosił o znalezienie kogoś w tej jednostce?

— Chwileczkę, majorze. Rejestrujemy każde zapytanie. — Słyszałem, jak klikają klawisze komputera. — Taaak, majorze, mam tu spis. Zobaczmy... major Sean Drummond. Kapitan Dean Walters. Starszy sierżant Luther Williams...

— Proszę się zatrzymać. Czy powiedział pan Berkowitzowi, jak się może skontaktować z Williamsem?

— Tak, powiedziałem, ale on chciał, żebym znalazł Williamsa i poprosił go o oddzwonienie. Mam to zapisane. Sprawdźmy... Zadzwońłem do starszego sierżanta o godzinie dziesiątej trzydzieści rano, drugiego.

— Bardzo dobrze. A teraz chciałbym, żeby umieścił pan kopię tego dokumentu na dyskietce i przyniósł ją na posterunek żandarmerii — powiedziałem.

— Zaraz będę. To mi zajmie najwyżej dziesięć minut.

Wreszcie miałem motyw i bardzo dobry materiał do sprawy poszlakowej. Brakowało jeszcze dowodów rzeczowych, ale z czasem zamierzałem je zdobyć.

Dochodziło południe. Powiedziałem do Martiego:

— Musisz mi dostarczyć sprzęt do podsłuchu i zgodeń od sędziego na nagrywanie rozmów Williamsa. Mamy sprawę poszlakową.

Zadzwońił do sędziego, któremu napisanie nakazu zajęło około dziesięciu minut.

Wcześniej posłałem Williamsowi wiadomość, że ma przyjść do mojego biura o 12.30. Imeldzie kazałem usunąć z budynku wszystkich pracowników i pilnować, żeby nikt do niego nie wchodził.

Następnie poprosiłem Wolky'ego, by ustawił swoich najlepszych żandarmów w bliskiej odległości od baraku i żeby nie mieli na sobie charakterystycznych opasek. To na wypadek, gdyby Williams zaczął się zachowywać gwałtownie.

Potem poszedłem do biura na spotkanie z Williamsem.

Imelda wykonała moje polecenie i budynek był pusty. Zaparzyła mi też świeżej kawy. Kochana kobieta.

Starszy sierżant Williams zjawił się dwie minuty później. Wstałem, żeby go przywitać i zaoferować kawę. Poprosił o nią, więc nalałem nam obu po kubku. Wszedł za mną do mojego gabinetu i usiadł naprzeciwko biurka.

— I co porabiasz? — spytał, uśmiechając się. Zawsze był pewny siebie, a w moim przypadku szczególnie, ponieważ spędził kiedyś dwa tygodnie, dokładając mi ile się dało.

— Jutro wyjeżdżam — powiedziałem. — Moje dochodzenie zostało zakończone, więc dałem pracownikom wolne do końca dnia. A ponieważ wiąże nas dawna znajomość, pomyślałem, że powinniśmy się spotkać przed moim wyjazdem.

Rzucił mi zaciekawione spojrzenie i wypił łyk kawy.

— Myślisz czasami o grupie? — zapytałem.

— Pewnie. To były wspaniałe dni. Trochę sobie poszaleliśmy.

— No fakt. Gdybym nie poszedł na prawo, byłbym tam pewnie nadal... A ty, dlaczego odszedłeś?

— Och, no wiesz, ludzie się wypalają.

— To zabawne. Ja słyszałem co innego. Podobno wplątałeś się tam w jakieś kłopoty.

Wyraźnie się usztywnił.

— Taaa? A gdzie to słyszałeś?

— Tu i tam. Coś o twojej współpracy z bandą bigotów w Karolinie Północnej.

Teraz już nie spuszczał ze mnie oczu. A jego spojrzenie stało się groźne.

— Musiałeś rozmawiać z niewłaściwymi ludźmi.

— Wiedziałeś o tym, że telefony wszystkich członków grupy były na podsłuchu?

— Aha. Ale to było dawno temu.

Upiłem łyk kawy i Williams też. Już się zorientował, że to nie będzie towarzyska pogawędka.

— A właśnie, właśnie, czy kiedykolwiek zetknąłeś się z tym reporterem, który tutaj został zamordowany? Jak on się nazywał? Jeremy Berkowitz.

Teraz już zamiast oczu miał wąskie szparki.

— Nie wydaje mi się.

— To trochę dziwne. Bo ja spotkałem się z nim w dniu jego śmierci. Rano. Powiedział mi, że miał się z tobą widzieć w czasie lunchu — skłamałem.

— Cóż, mnie o tym nie zawiadomił. Usłyszałem o nim po raz pierwszy, kiedy już nie żył.

— Hm, pewien sierżant z biura informacji twierdzi, że pośredniczył w ustalaniu waszego spotkania.

— Znaczy, że łże — mruknął Williams.

— Ale ma oficjalny dziennik wszystkich rozmów na dowód. A, i jeszcze jedno. W wydziale kryminalnym mają odlewy śladów zostawionych przez mordercę Berkowitza. Włożył buty sportowe, żeby cicho zająć ofiarę od tyłu. Mówimy o wyjątkowym tchórze. Nie dał temu reporterowi żadnych szans. Podobny typ do tych szumowin, które podpalają kościoły. Zabił garotą. Pamiętam, że w grupie wszystkim robiło się niedobrze na myśl o jej użyciu. No wiesz, to coś, czym może się posłużyć tylko jakiś cholernie wkurzony psychol albo zboczeniec seksualny. Bo kto inny mógłby zabić człowieka w taki sposób?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem — wycedził, a knykcie dłoni miał białe.

— I jeszcze jedno. Ze śladów stóp wynika, że mordercą był jakiś łajdak o niesamowicie wielkich stopach i do tego płaskich. Rozmiar czterdzieści osiem 2E. Ty też masz wielkie, płaskie stopy. Jeszcze o tym nie wspominałem kryminalnym, ale pamiętam, jak musiałem się w nie wślepiać, gdy mnie grzmociłeś. Jaki numer buta nosisz?

— Nawet się nie zbliżyłem do tej latryny.

— A, właśnie. Czy wiesz, że po twoim wyjeździe z Fort Bragg ustały przypadki molestowania dzieci w okolicy bazy?

Jego oczy przybrały teraz bardzo nieciekawy wyraz. Jedno zapamiętałem z naszego wspólnego pobytu w celi. Williams stawał się bardzo drażliwy, gdy rozmowa schodziła na tematy perwersji seksualnych. Kiedy mnie tłukł, obrzucałem go różnymi wyzwiskami i szybko zorientowałem się, że zboczeniec i dewiant wprawiały go w szal.

— Nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać tego — powiedział nagle groźnym tonem.

— A jednak musisz. Ja jestem teraz majorem, a ty podoficerem i rozkazuję ci zostać na miejscu. A jak się stąd ruszysz, to od razu idę do kryminalnego i zgłaszam, że jesteś podejrzany — oznajmiłem z kamienną twarzą.

Jego oczy przybrały morderczy wyraz.

— Nie rozmawiałem jeszcze z kryminalnymi tylko dlatego, że chciałem się upewnić. Skojarzyłem twoje wielkie stopy z tym, co sierżant Jarvis mi powiedział, i z powodami, dla których wylano cię z grupy, oraz z tchórzliwym sposobem zamordowania Berkowitza, no i wszystko zaczęło mi pasować.

Znałem te oznaki, ponieważ kiedy mnie katował w celi, zawsze miał na twarzy maskę i widziałem tylko jego oczy. Dobrze się nauczyłem rozróżniać ich wyraz. Teraz najwyraźniej obmyślał coś, bo igrały w nich podstępne ogniki. Wiedział, że byłem jedynym człowiekiem w bazie, który mógł połączyć w całość wszystkie fakty.

— Wiesz co, Williams? — zachichotałem. — Myślę, że pewnie przeleciałeś Berkowitza, zanim go zabiłeś.

Zerwał się z krzesła i doskoczył do biurka. Zauważyłem pięść, ale nie zdążyłem zrobić uniku. Cios Williama nic nie stracił ze swojej siły. Poleciałem z krzesłem do tyłu i wyłożyłem się jak długi na podłodze. W uszach mi dzwoniło.

Williams odsunął biurko i rzucił się na mnie. Poderwał mnie z podłogi za kołnierz. Zapomniałem, jak silny się stawał, kiedy się wściekł. Rzucił mnie w drugi róg pokoju, aż odbiłem się od ściany. Dopadł mnie, chwycił za włosy i zaczął okładać po głowie, podczas gdy ja wrzeszczałem:

— Ty degeneracie! Ty chory łajdaku!

Teraz już całkiem stracił nad sobą kontrolę. Przyciągnął moją twarz do swojej i wysyczał:

— Nie przeleciałem go. Użyłem garoty, żeby nie musiał dotykać tego plugawego Żydka. Znow przerzucił mnie przez pokój, aż uderzyłem w przeciwległą ścianę. Poczułem jakieś chrupnięcie, może żebro. Na moment ból mnie oślepił.

— Jesteśmy tu sami, Drummond. Zamierzam cię zabić i to tak, żebyś poczuł.

Popęnił tylko jeden błąd. Ustawił za szeroko stopy, kiedy się schylał, żeby mnie dźwignąć z podłogi. Złożyłem się do ciosu i ze wspaniałym uczuciem satysfakcji poczułem, jak moje lewe kolano łąduje na jego kroczu. Skurczył się we dwoje, obezwładniony z bólu.

Nie należę do ludzi, którzy kopią niezdolnego do obrony. Ale teraz żądza zemsty całkiem mną owładnęła i gdy tylko stanąłem na nogach, moje lewe kolano wylądowało na twarzy Williamsa. Rozległ się trzask łamanego nosa. Moja prawa pięść trafiła w jego splot słoneczny. Po tym ciosie ponownie zgiął się wpół. Wtedy moje prawe kolano powędrowało w górę i znow rozległo się chrupnięcie szczęki lub może wyłamanych zębów.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło trzech potężnych żandarmów. Rzucili się na Williamsa. I w tym samym momencie przestałem zwracać uwagę na cokolwiek. Kiedy masz dwadzieścia lat, po tęgim laniu czujesz się tak, jakby ktoś runął i przygniótł cię swym ciężarem. Ale oberwawszy, mając trzydzieści dziewięć, doświadczasz uczucia, jakby równo przejechał po tobie walec. Osunąłem się na podłogę i zapadłem w wyjątkowo głęboką otchłań litości nad samym sobą.

\* \* \*

Lekarzowi aż dwie godziny zajęło badanie i opatrywanie urazów i ran zadanych mi przez Williamsa. Miałem dwa złamane żebra, a nie jedno, i osiemnaście szwów założonych na trzech ranach.

Kiedy doktor obmacywał mnie, zszywał i prześwietlał, ja przez cały ten czas obmyślałem strategię postępowania z Tretorne'em, Murphym i Clapperem. Już nie mogłem sobie pozwolić na niedocenienie ich. Nie byli aż tak niebezpieczni, jak mi się wcześniej wydawało, gdyż nie zamordowali Berkowitza. Jednak wsadzenie mnie za kratki, szantażowanie, utrudnianie śledztwa nie stawiało ich na liście świętych.

Gdy tylko doktor wypuścił mnie ze swoich rąk, wykonałem telefon do owej małej bazy w Arlington, w Wirginii. Rozmawiałem ze specjalnym sędzią, którego tam mieli. Opowiedziałem mu wszystko o Williamsie i poprosiłem o przysłanie specjalnej ekipy do transportu więźnia. Sędzia obiecał, że ktoś przybędzie do nas za jakieś dziesięć godzin. Upewniłem się, iż Williams jest zamknięty w celi.

Następnie udałem się do namiotu Imeldy i powiedziałem jej, co będziemy robić. Po czym razem wróciliśmy do biura. Przygotowania zajęły nam około trzech godzin.

Wreszcie ruszyłem do budynku NSA. Panna Smith powitała mnie i sprowadziła na dół do sali konferencyjnej. Tretorne i generał Murphy siedzieli obok siebie. Zauważyłem, że Tretorne nie miał na sobie kamizelki do mordowania kaczek. Wyglądał nawet całkiem szykownie w ciemnoniebieskim garniturze z serży i wykrochmalonej białej koszuli. W mankietach miał francuskie spinki.

— Czego pan chce, majorze? — spytał Murphy.

— Jest mała komplikacja w waszym planie, chłopcy. Kryminalni właśnie aresztowali mordercę Berkowitza.

Tretorne nie wyglądał na zachwyconego. Bawił się jedną z francuskich spinek. Podniósł w końcu głowę i powiedział:

— To nie ma znaczenia, Drummond. Dałeś słowo. Nie stawialiśmy żadnych warunków.

— Racja — odparłem. — Żadnych warunków. Tak jak wtedy, gdy składałem przysięgę oficerską. Wtedy też nie było żadnych warunków. Albo wtedy, gdy byłem zaprzysiężony jako

oficer sądu wojskowego. Tak więc mamy tu dwie przysięgi bez warunków do waszej jednej. Wy przegrywacie.

— Nie rób tego, Drummond. Nie przeciągaj struny, bo znajdę na ciebie coś innego. Z nami nie wygrasz — zagroził Tretorne.

— Właśnie skończyłem długie podsumowanie, w którym wszystko ujawniam. Wasze nazwiska zajmują w nim poczesne miejsce. Podobnie jak Clappera. Jeśli nie zadzwonię za czterdzieści minut, to notatka trafi do „Heralda”, „Posta”, „Timesa” i „Newsweeka” — powiedziałem.

Tretorne pokręcił głową.

— Nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Nie wiesz, jaka to poważna sprawa i o co toczy się ta gra.

— Ależ wiem — zapewniłem go. — Ty i twój kumpel mordujecie Serbów i to już wszystko.

Popatrzyli na siebie zaszokowani.

— Siadaj, proszę — powiedział w końcu Tretorne.

Zaczekał, aż usiądę wygodnie i zapytał:

— Czy możesz powtórzyć, co ci się wydaje, że tu robimy?

— Ja wiem, co tu robicie. Używacie Zielonych Beretów do mordowania Serbów. Taka nowsza wersja operacji Phoenix. „Sankcja wykonana” — to był chyba eufemizm używany wtedy, prawda?

— Myli się pan — powiedział Murphy. — Grubo się myli. Po pierwsze, operacja Phoenix była rezultatem pierwszego nieformalnego przymierza Sił Specjalnych i CIA. Przeprowadzono ją bez oficjalnej zgody Białego Domu. Ta operacja ma całkowite poparcie prezydenta. Wie o niej także specjalna komisja Kongresu. A poza tym, nie zabijamy Serbów.

— Przykro mi, ale nie kupuję tego — odparłem.

Murphy przyglądał mi się uważnie przez chwilę, a potem rzekł:

— Proszę wyjść z pokoju, majorze. Na chwilę. Jack i ja musimy pogadać w cztery oczy.

Nie podobało mi się to, ale wykonałem polecenie. A co tam, nie miałem nic do stracenia. Imelda i jej cztery asystentki znajdowały się w różnych miejscach na terenie Tuzli. Każda z nich była przygotowana, by na dany sygnał uruchomić faks. Każda miała w dłoni zaklejoną kopertę z moim sprawozdaniem. W niecałe czterdzieści minut świat dowie się o wszystkim. Ani Tretorne, ani Murphy, ani NSA nie będą władni, aby temu zapobiec.

Minęło pięć minut. Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się i Murphy skinieniem ręki zaprosił mnie do środka. Wszedłem do sali i usiadłem na tym samym krześle.

— Dopuścimy pana do tajemnicy — powiedział Murphy.

— Nie wchodzę w to. Nie będę na nic przysięgał — oświadczyłem. Murphy skinął na Tretorne’a i odniosłem wrażenie, że spodziewali się takiej odpowiedzi. Tretorne zaczął:

— Dzieje się tutaj to, że przegrywamy wojnę. Przegrywamy, ponieważ jest to operacja NATO i prezydent ma związane ręce. Nasi sojusznicy są przeciwni wprowadzeniu sił lądowych. Możemy tylko urządzać bombardowania.

— Bombardowaniem nikt jeszcze wojny nie wygrał — przejął pałeczkę Murphy. — Stąd pomysł utworzenia Wyzwoleńczej Armii Kosowa. Mieliśmy nadzieję, że podejmie ona walkę na lądzie. Ale okazała się wielkim rozczarowaniem. Sześć lub siedem jednostek tej armii wykonało kawał dobrej roboty, ale reszta nie jest w stanie nawiązać równorzędnej walki.

— To niczego nie usprawiedliwia — powiedziałem. — Zabijanie jest bezprawne.

— Ależ my nikogo nie zabijamy — jęknął Tretorne zmęczonym głosem. — Anioł Stróż to tylko przykrywką dla operacji o nazwie Anioł Zemsty. Niektóre grupy Sił Specjalnych wysyłamy do Kosowa razem z grupami Armii Wyzwoleńczej i czasem nasze oddziały wykonują pewne wybrane misje za swoich kosowskich kolegów.

— Jaki to rodzaj misji? — spytałem.

— Wypadki, zasadzki, blokady dostaw. Kilka razy dowiedzieliśmy się o planowanych przez Serbów masakrach i wysyłaliśmy wtedy grupy Sił Specjalnych do oswobodzenia kosowskich więźniów. Jesteśmy bardzo ostrożni, uwierz, człowieku. Żadnych zabójstw, nic z tych rzeczy.

— A więc, co się przydarzyło oddziałowi Sancheza?

Wymienili spojrzenia, a Murphy powiedział:

— Nie wiemy. Grupa Albańczyków, z którą tam byli, czyli oddział Akhana, została wymordowana. Nadal nie jesteśmy pewni, jak to się stało.

— Ale oddział Sancheza nie został wykryty przez Serbów, prawda? I wcale nie musieli podejmować walki w obronie własnej, czy tak?

— Tego nie wiemy. Zdjęcia satelitarne i transkrypcje były podrobione. Prawdziwe zdjęcia nie wykazały żadnych niezwykłych ruchów oddziału Sancheza. Nie mamy niczego, co by potwierdzało, że zostali wykryci i ścigani.

— A więc, dlaczego...

— Nie mogliśmy pozwolić na to, żeby akcja Anioł Zemsty została wykryta — powiedział twardo Murphy.

Treterne bębnił palcami w stół.

— Kiedy oddział Sancheza wyszedł z zagrożonego terenu, nie zgłosili w raporcie żadnej zasadzki. Usłyszeliśmy o niej po raz pierwszy trzy dni później, kiedy Miłoszević zwołał konferencję prasową.

— Więc wsadziliście oddział Sancheza do aresztu?

— Tak — odrzekł Murphy. — A oni przedstawili nam historię o wykryciu przez wroga i pościgu. Jack kazał NSA sprawdzić ich wersję, ale nie znaleziono niczego, co by potwierdzało ich zeznania, ani też niczego, co by im zaprzeczało.

— Więc po co wywlekano tę historię?

— Wiadomość o masakrze zyskała nagle światowy rozgłos. Wszyscy uznaliśmy, że najłatwiej będzie rozwiązać tę sprawę, przeprowadzając prawdziwe dochodzenie. Oddział Sancheza obstawał przy swojej wersji wydarzeń, a nam kazano sprawić, żeby była jeszcze bardziej wiarygodna.

— A gdzie podejmowane były takie decyzje? — spytałem.

Treterne nie odpowiedział, w każdym razie nie werbalnie. Podniósł rękę i wskazał na spinę przy mankiecie.

Starając się nadać swemu głosowi jak najwięcej pogardy, powiedziałem wprost:

— A więc poszliście na układ z Sanchezem i jego drużyną. Oni współpracują z wami nad zatuszowaniem całej sprawy, a wy puszczaacie ich wolno.

— Zgadza się — powiedział Murphy bez odrobiny wstydu. — Zapomina pan o jednym. Nie znaleźliśmy żadnego dowodu, że byli winni. Być może wydarzenia potoczyły się właśnie tak, jak wszyscy twierdzą.

— Czyżby? — odparłem. — Byłem w kostnicy. Widziałem ciała Serbów. Jak pan wytłumaczy dziury w ich głowach?

Treterne przestał bębnić w stół.

— Uwierz mi, proszę... Nie wiedzieliśmy o tym aż do dnia, kiedy zameldowałeś o tym Clapperowi.

— Ale dalej próbowaliście tuszować całą sprawę.

— Mieliśmy swoje powody — rzekł Murphy. — Teraz jednak jesteśmy gotowi zawrzeć z panem umowę.

Spojrzałem na zegarek. Za dwadzieścia siedem minut Imelda i jej załoga spuszcza ze smyczy bandę zgłodniałych sensacji reporterów. Chyba się domyślali, co planuję. Zachichotałem pod nosem i pokręciłem głową.

— Zatem słucham.

— Pozwolimy panu dokończyć dochodzenie. Nie będziemy w żaden sposób przeszkadzać. Żadnych gier. Powiemy panu wszystko, co wiemy, a pan spróbuje ustalić prawdę — powiedział Murphy.

— Jak miło z waszej strony — odparłem.

Tretorne zignorował mój sarkazm.

— Mamy tylko dwa warunki — oznajmił.

— A jakież to? — burknąłem.

— Powstrzymasz się chwilowo od kontaktów z prasą. Gdy skończysz, przyjdiesz do nas i porozmawiamy. Potem, jeżeli zechcesz, podasz wszystko do publicznej wiadomości. Wybór będzie należał do ciebie. Nie będziemy ci robić żadnych przeszkód.

— Żadnych podsłuchów w telefonach ani w biurze?

Tretorne uśmiechnął się.

— Zgoda.

— Aha, jeszcze coś. Wasza wtyczka się wynosi. Morrow odlatuje pierwszym porannym samolotem.

Tretorne uśmiechnął się teraz szeroko.

— Ależ ona nie pracuje dla nas.

Uniosłem wyżej głowę, a on wręcz zachichotał.

— Delbert? — spytałem.

— W rzeczywistości nazywa się Floyd Collins. Floyd jest prawdziwym prawnikiem wojskowym, choć jego sukcesów w procesach nie ma nawet co porównywać z twoimi.

Czasami człowiek przechytrza samego siebie. Sądziłem, że Delbert — a właściwie Floyd — był zbyt oczywistym kandydatem na wtyczkę.

— Okay. W takim razie to on znika mi z oczu.

— Zrobione — zgodził się Tretorne.

— I będę musiał powiedzieć Morrow, co jest grane.

— W porządku.

Wstałem i ruszyłem do wyjścia. Byłem już w drzwiach, kiedy odezwał się Murphy:

— Jeszcze jedno, majorze.

Odwróciłem się i spojrzałem ostro na niego. Nasze spojrzenia się spotkały.

— Czasami zasady, których uczą w West Point o obowiązku, honorze i ojczyźnie... czasami kolidują one ze sobą. Czasami człowiek sam musi zdecydować, która z tych trzech jest najważniejsza, a którą trzeba poświęcić.

Wytrzymałem jego wzrok.

— Nie uczęszczałem generale, tak jak pan, do West Point, więc nie znam się na tych sprawach. Powiem panu, co ja wiem. Otóż wiem, co nas różni od Serbów. My nie hołubimy naszych morderców. Nie okłamujemy całego świata, kiedy nasze oddziały dokonają masakry. Nasze brudy pierzemy publicznie. Obowiązek, honor i ojczyzna — to jedno.

Potrząsnął głową w protekcyjnym geście, dając mi wyraźnie odczuć, że nic nie chwyta i nie rozumie z całej tej sytuacji. Tylko że to on był tym, który niczego nie rozumiał. Takie było przynajmniej moje zdanie.



## ROZDZIAŁ 9

Mocny sen bardzo poprawił moją psychiczną dyspozycję, czego nie dało się powiedzieć o ciele. Siniaki i złamania nieco okrzepły, ale ból wciąż przenikał przez kilka warstw moich komórek. Obudziłem się zeszywniały i obolały. Gdy wszedłem do biura, Delberta już nie było. W skrzynce na wiadomości zostawił mi karteczkę. Napisał na niej „Przepraszam” i podpisał się „Floyd G. Collins, kapitan, JAG”.

Lisa Morrow siedziała przy swoim biurku i zawzięcie coś pisała. Całkiem zignorowała moją osobę. Podszedłem do stolika z kawą i nalałem sobie kubek. Nadal traktowała mnie jak powietrze.

Podszedłem do niej i ostentacyjnie zajrzałem jej przez ramię. Nie przerwała pisania. W końcu rzuciłem jakby mimochodem:

— Pewnie wcale nie chcesz wiedzieć, co się stało z Delbertem. Dlaczego już go nie ma z nami i jak mi się udało uzyskać pięciodniowe przesunięcie terminu?

Odwróciłem się i poszedłem do mojego pokoju. Zamknąłem za sobą drzwi. Spojrzałem na zegarek. Zapukała po trzydziestu sześciu sekundach. Poprosiłem, żeby weszła i usiadła, a potem przez trzydzieści minut wyjaśniałem jej, co tu się naprawdę działo. Jej niezrównana twarz wyrażała całą gamę emocji od zdziwienia po wrogość, potem wzburzenie, by wreszcie zatoczyć pełne koło i wrócić do zdziwienia.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś wcześniej? — spytała. — Wzięłaś mnie za wtyczkę Tretorne’a, prawda?

Skrzywiłem się.

— Nie byłem pewien. A poza tym, jakie to ma znaczenie? Teraz już mamy zielone światło.

Jak na kilka minut, ilość nowych informacji, jakie spadły na Morrow, była ogromna. Dziewczyna czuła wprost wściekłość i na nich, i na mnie za okazany brak zaufania. Lecz była także prawniczką, nauczoną, jak trzymać emocje na wodzy.

— A co byś powiedział, gdybyśmy zwołali konferencję prasową i wszystko ujawnili? — spytała w końcu.

Prawda była taka, że na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Gdybyśmy byli sprytni, to właśnie tak byśmy postąpili.

— Zawsze mamy taką możliwość — powiedziałem po zastanowieniu. — Ale czy nie jesteś ciekawa, jak to było? Czy Sanchez i jego ludzie naprawdę to zrobili?

— Chyba tak — odparła, ale takim głosem, jakby w gruncie rzeczy jej na tym nie zależało.

— A więc, wszystko jest jasne — powiedziałem szybko, żeby nie zmieniła zdania. Albo żebym ja go nie zmienił.

Podszedłem do drzwi i zawołałem Imeldę. Ta niemal wbiegła do pokoju.

— Mamy jeszcze całe pięć dni — oświadczyłem jej. — Proszę zamówić nam lot do Aviano na dzisiejsze popołudnie. Także zadzwonić do podpułkownika Smothersa i powiedzieć mu, że kapitan Morrow i ja będziemy tam za godzinę.

— Zrozumiałam.

Po spakowaniu rzeczy i kilku pudeł dokumentów Lisa Morrow i ja poszliśmy zobaczyć się z podpułkownikiem Willem Smothersem, dowódcą batalionu Sancheza. Był z nim jego prawnik, kapitan Smith, ten sam, który złożył na mnie skargę.

Spojrzałem na Smothersa.

— On jest tu absolutnie zbędny — rzekłem krótko, wskazując palcem na Smitha.

Twarz Smitha wykrzywił grymas gniewu i zdziwienia.

— Bo zadzwonię do sędziego jeszcze raz — zagroził.

— Zrób to! — warknąłem. — I powiedz mu, że jeśli znów wystąpi przeciwko mnie, to oskarżę i jego, i ciebie o utrudnianie czynności dochodzeniowych.

Smith szybko wstał i opuścił pokój.

Posłałem Smothersowi nieco złagodzoną wersję mojego złowrogiego uśmiechu.

— Żarty się skończyły, pułkowniku. Niech pan raz skłamię lub spróbuje wyprowadzić nas w pole, a oskarżę pana o współudział w morderstwie. Zrozumiał pan?

Skinął głową.

— Okay. To zacznijmy od początku. Niech mi pan opowie o swojej roli w operacji Anioł Zemsty.

Poszukał wzrokiem Lisy Morrow, ale nie udało mu się złapać jej współczującego spojrzenia. Jej oczy nie wyrażały nic dobrego, wręcz wrogość.

— W porządku — powiedział. — Mój batalion, Pierwszy Batalion, to właśnie Anioły Zemsty. Mamy jeden lub dwa zespoły w każdej strefie. Do nas należy wykonywanie brudnej roboty.

— Dlaczego akurat pana batalion? — zapytała Morrow.

— Dlatego, że tutaj nie możemy sobie pozwolić na błędy, a moi ludzie mają największe doświadczenie.

— Niech nam pan opowie o Sanchezie — zażądałem.

Smothers spojrzał na mnie i rzekł:

— Prawdopodobnie popełniłem błąd. Terry to dobry chłopak i potrzebował tego zadania, żeby otrzymać promocję. Pomyślałem, że jeśli dam mu najsilniejszy zespół w batalionie, to wszystko dobrze się ułoży. Persico to prawdopodobnie najlepszy żołnierz w całej Dziesiątej Jednostce.

— No i jak pan ocenia postępowanie Sanchezą?

— Ująłbym to tak — w dobrych dniach jest przeciętne, ale nie można mu odmówić chęci i zapału.

— A więc to kwestia talentu?

— Niektórym przychodzi to w sposób naturalny. Terry musi nad tym pracować praktycznie cały czas. W konsekwencji tacy ludzie zaczynają się bać wszystkiego, a inni to czują.

— Co się wydarzyło po tym, gdy oddział Akhana został rozbity? — spytała Morrow.

Smothers całkowicie skoncentrował się na odpowiedzi.

— To było czternastego. Rano, jak mi się zdaje. Sanchez nadał komunikat radiowy około południa. Brzmiał on „Whiskey sześćdziesiąt sześć — to był kod oddziału Akhana — jest czarna”. Rozumiecie?

Morrow pokręciła głową przecząco.

— Do określenia stanu osobowego jednostek używamy różnych kolorów jako kodu. Zielony oznacza na przykład, że stan wynosi sto procent, czerwony — pięćdziesiąt, a czarny — zero. Niektóre grupy Armii Wyzwoleńczej nawet bardzo ucierpiały, ale nigdy wcześniej nie mieliśmy takiego przypadku, by cały oddział, dziewięćdziesięciu pięciu ludzi, w ciągu kilku zaledwie godzin przeszedł ze stanu zielonego do czarnego.

— Czy Sanchez wyjaśnił, jak do tego doszło? — zapytała Morrow.

— Powiedział tylko, że wykonywali zadanie. Ale nam to nie wystarczało, tym bardziej że nie wydawali nam w tym czasie oficjalnej zgody na żadne operacje oddziału Akhana.

— Według oświadczenia Sanchezą, oddział zaatakował posterunek policyjny w miasteczku Piluca — wtrąciłem.

— Tak rzeczywiście powiedział. Ale i tu powstał problem, ponieważ Pilucy nie było na liście naszych celów...

— Przepraszam, na jakiej liście celów? — zapytałem.

— Otrzymujemy listę celów, na które mamy uderzyć. Jest układana pod ścisłą kontrolą szefów sztabów w Pentagonie. W akcji Anioł Zemsty nie ma miejsca na dowolne wybieranie

przypadkowych obiektów ataku. Wszystko musi być pod absolutnie ścisłą kontrolą. Rozumie pan?

Owszem, rozumiałem. Gdyby Anioły Zemsty popełniły błąd, taki jak na przykład trafienie przez siły powietrzne w ambasadę chińską, hałas powstały wokół sprawy mógłby doprowadzić do unicestwienia całej tajnej operacji.

— No dobrze — rzekłem. — I co było potem?

— Rozkazałem mu, żeby się ewakuował.

— Generał Murphy powiedział nam, że Sanchez otrzymał rozkaz pozostania na miejscu.

— To się nie zgadza. Rzeczywiście zastanawialiśmy się nad taką opcją, ale mnie ta sytuacja niepokoiła.

— A co konkretnie tak pana niepokoiło? — spytała Morrow.

— Chyba Sanchez. Za każdym razem, kiedy nasze grupy szkolą oddziały Armii Wyzwoleńczej, przestawiamy się na sposób myślenia wielkiego brata. Ci z kosowskich oddziałów są tak cholernie bezradni, potrzebujący i pełni zapału do walki. Żołnierzom amerykańskim trudno się temu oprzeć.

— A więc, bał się pan, że Sanchez nie zapanuje nad sytuacją?

— Aż dwa z naszych oddziałów A przeżyły ciężko porażki swoich podopiecznych z Kosowa. Musieliśmy do nich wysłać psychiatrę razem z kapłanem, żeby pomóc im się uporać ze swoimi problemami. Taaa, chyba rzeczywiście obawiałem się, iż Terry sobie nie poradzi z zaistniałą sytuacją.

— Ale Sanchez i jego ludzie nie wycofali się? — spytałem.

— Nie. Pomimo mojego rozkazu. Przez dwa dni przesyłali meldunki o gwałtownych przegrupowaniach oddziałów serbskich w tym rejonie. Sanchez twierdził, że posuwanie się na południe stwarzało zbyt wielkie ryzyko.

— I jak pan na to zareagował?

— A co ja mogłem zrobić? On był na miejscu. Poprosiłem NSA o wzmożenie obserwacji w Strefie Trzy. Codziennie przez godzinę lub dwie robili podgląd termiczny. Filmy rejestrowały obecność oddziału Sancheza w bazie, ale żadnych śladów wzmożonej aktywności Serbów. Mimo to musieliśmy wierzyć Sanchezowi.

— A więc jego oddział wycofał się cztery dni później? — spytałem.

— Zgadza się. Absolutnie tak. Trzeba jednak pamiętać, że na piechotę zajęłoby im to dwa dni. Muszą się więc wytłumaczyć jedynie z dwóch pozostałych.

— Czy po powrocie zameldowali w swoim raporcie o zasadzce?

— Nie — odparł Smothers, a w jego głosie zabrzmiała nutka gniewu. — Nic o niej nie wspomnieli.

— Kiedy trzy dni później Miloszević zaczął urządzać swoje konferencje prasowe, co zrobiliście? — zapytałem.

— Poszedłem do generała Murphy'ego. Powiedziałem mu, co się mogło przydarzyć oddziałowi Sancheza.

— Ale wróćmy do oddziału Akhana — wtrąciła Morrow. — Czy Sanchez i jego ludzie wyjaśnili, co się z nimi stało?

— Wszyscy twierdzili, że decyzję o ataku na posterunek podjął sam Akhan. Nie mogli temu zapobiec. Strefa Trzy była rodzinnym miejscem dla wielu ludzi z oddziału Akhana, a komendant z posterunku w Pilucy podobno torturował i zamordował kilku członków ich najbliższych rodzin.

— Kiedy skończymy — poprosiłem — niech jeden z pańskich ludzi przyniesie mi kopię raportu z naszej rozmowy.

— Okay.

— Czyż ujawnienie prawdy nie poprawia samopoczucia? — zapytałem teraz.

— Nie, wcale nie — odparł Smothers. — Nikomu z nas się nie podobało, że musieliśmy przed panem kłamać. Ale my wierzymy w naszą misję tutaj.

Cóż, to tyle, jeśli chodzi o prawdę i sprawiedliwość w amerykańskim wydaniu. Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy na lotnisko, gdzie czekał już na nas przygotowany do lotu C-130.

\* \* \*

W Aviano zatrzymaliśmy samochód przed marmurowym wejściem do tego samego hotelu na wzgórzu. Dostaliśmy z Lisa Morrow sąsiadujące ze sobą pokoje. Wrzuciliśmy do nich bagaże i zeszliśmy do holu.

Imelda i jej dwie asystentki zajęły pokoje piętro niżej i wynajęły apartament na nasze biuro. Kiedy Morrow i ja wsiadaliśmy do busa, który miał nas zawieźć do bazy lotniczej, Imelda i jej dziewczyny nadal wносиły po schodach sprzęt komputerowy i pudła z papierem.

Dojazd do bazy lotniczej zajął nam piętnaście minut. Czekał tam na nas ten sam gruby oficer lotnictwa. Był bardzo grzeczny i usłużny, ale potraktowałem go chłodno i Morrow przyjęła taką samą postawę. Niech się chłopak trochę podenerwuje.

Spędziliśmy z Morrow wiele czasu, planując nasze kolejne posunięcie. W pierwszym odruchu chcieliśmy wznowić przesłuchania Sancheza. Wystarczyło, by załamał się jeden z dziewięciu członków zespołu, a Sanchez wiedział najwięcej. Lecz im dłużej o tym rozmawialiśmy, tym bardziej dochodziliśmy do przekonania, że Sanchez nie był właściwym człowiekiem. Odpowiadał za niepowodzenie tej akcji i dlatego miał najwięcej do stracenia. Prokuratorzy hołdują takiej maksymie: ten, który ma najwięcej do stracenia, zwykle zeznaje najmniej.

To Morrow wystąpiła z propozycją, żeby zacząć od Persica. W każdej organizacji jest lider narzucony przez system, i to był Sanchez, oraz lider wybrany przez zespół, w tym wypadku chorąży Persico. Jeśli jego zmusimy do mówienia, wtedy cały zespół pęknie.

Istniał też inny powód. W Kosowie w którymś momencie formalna linia dowodzenia została przerwana. Być może w wyniku jakiegoś buntu. Według mnie, mógł się on wydarzyć około czternastego. Wtedy właśnie rozbito oddział Akhana. Wtedy też Sanchez zameldował przez radio, że nie mogą się ewakuować. To były jedynie moje domysły, ale zgodnie z nimi to mógł być dzień, kiedy Persico przejął dowodzenie oddziałem.

Poszliśmy z Morrow do pokoju przesłuchań i ustawiliśmy stoły i krzesła tak, by przypominały układem salę sądową. Po kilku minutach zjawiała się Imelda ze swoimi dwiema asystentkami. Zaczęły podłączać komputer i urządzenie do transkrypcji. Chcieliśmy oboje z Morrow, żeby pomieszczenie jak najbardziej przypominało sąd. To będzie nasuwało świadkom myśli o ewentualnych następstwach ich zeznań.

Wreszcie wszystko było gotowe, wobec czego posłałem Imeldę po pierwszego świadka. Zaanonsowała chorążego Persico, jakby była urzędnikiem sądu.

— Proszę usiąść — powiedziałem, wskazując krzesło, które ustawiliśmy pośrodku pokoju.

Usiadł, założył nogę na nogę i krótko przyglądał się Morrow, która trzymała magnetofon. Potem jego szare oczy zatrzymały się na mnie.

— Czy mogę zapalić? — zapytał.

— Jeśli pan chce — odparłem.

Persico sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę cameli. Włożył papierosa do ust i zapalił.

— Celem tej sesji jest sporządzenie pana formalnego oświadczenia na temat wszystkich wydarzeń, jakie miały miejsce między czternastym a osiemnastym czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Czy jest pan pewien swojej rezygnacji z prawa do posiadania adwokata? — zapytałem.

— Jestem pewien.

— W czasie przesłuchania oświadczył pan, że razem z oddziałem uczestniczył w operacji Anioł Stróż w Kosowie. Kłamał pan, prawda? W istocie uczestniczył pan w operacji Anioł Zemsty, która zezwalała na prowadzenie akcji zbrojnych przeciwko Serbom w Kosowie. Zgadza się?

Zdecydowaliśmy z Morrow, że najlepszą strategią będzie zaatakowanie Persica naszą najsilniejszą bronią. Już teraz wiedzieliśmy, dlaczego on i jego kompani kłamali z taką pewnością siebie. Mieli za sobą rząd amerykański. Kto by się nie zgodził na opowiadanie najmniej nawet wiarygodnych bredni, wiedząc, że NSA przygotowuje pilnie fałszywe dowody na poparcie tych kłamstw, CIA stoi za tobą murem, a armia Stanów Zjednoczonych wiąże skutecznie ręce prowadzącym dochodzenie?

Persico zaciągnął się papierosem i po chwili powiedział:

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówicie.

— Jack Tretorne i generał Murphy dopuścili kapitan Morrow i mnie do szczegółów akcji Anioł Zemsty. A teraz proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

— Okay — rzekł. — Byliśmy częścią Anioła Zemsty.

— No, to załatwmy od razu drugie kłamstwo — powiedziałem. — Czy było formalne zezwolenie na atak oddziału kapitana Akhana na posterunek policji w Pilucy?

— Nie.

— Dlaczego złożył pan kłamliwy meldunek pułkownikowi Smothersowi na temat wydarzeń w Pilucy?

— Nie kłamaliśmy — odpowiedział ze spokojem.

Wyjąłem notatki z przesłuchań i udawałem, że je czytam.

— Dziewiętnastego poinformował pan majora Grenfelda, oficera operacyjnego pańskiego batalionu, że przez cały dzień trzynastego pan i kapitan Sanchez próbowaliście odwieść kapitana Akhana od pomysłu ataku na posterunek policji w Pilucy.

Persico znów zaciągnął się głęboko, rozejrzał za popielniczką, po czym strząsnął popiół na podłogę.

— Staralem się cholernie mocno, żeby wybić kapitanowi Akhanowi z głowy ten atak.

— Pan się starał? A co z kapitanem Sanchezem?

— Cóż... on, eee... On też się starał. To była bardzo ryzykowna akcja.

— Dlaczego ryzykowna? Dlaczego tak się pan jej sprzeciwiał?

— Po pierwsze, nigdy nie podejmuj akcji źle zaplanowanej. Brak rozpoznania. Brak akcji próbnej. Kapitan Akhan i jego ludzie palili się, żeby tam zejść i dobrać do skóry kilku policjantom.

— Kiedy Akhan nie odstąpił od swojej decyzji, czemu nie powiadomił pan o tym nikogo?

— To należało do Sancheza. Niech pan jego zapyta.

Zgadywałem, kierując się instynktem.

— Czyżby Sanchez chciał, żeby doszło do tego ataku? Dlaczego nie zawiadomił dowództwa?

— Pyta pan nie tego człowieka, co trzeba. Ja nie umiem czytać w myślach.

Mogłem jedynie zgadywać dalej.

— Doszedłem do wniosku, że Sanchez chciał, by doszło do tego ataku, podczas gdy pan nie chciał. Kiedy wszyscy zginęli, obwiniał pan Sancheza.

Miałem rację. Czytałem to w jego oczach. Ale powiedział tylko:

— To nie było tak. Nie ma pan o tym pojęcia.

— Pułkownik Smothers wydał wam rozkaz ewakuacji w południe czternastego. Sanchez rozmawiał z centrum operacyjnym o godzinie osiemnastej. Twierdził wtedy, że teren aż się roi od Serbów — powiedziałem.

— Racja — przyznał Persico. — Pamiętam ten telefon.

— Następnego dnia rano, około szóstej, Sanchez powtórzył ten meldunek, a potem zrobił to jeszcze raz o osiemnastej piętnastego. Kto zgłosił zwiększenie serbskiej aktywności w tym rejonie?

— Perrite i Machusco mieli wartę. Sądziliśmy, że po ataku Akhana Serbowie zaczęli podejrzewać istnienie bazy i zaczęli jej szukać.

— O jakich ruchach zameldowali Perrite i Machusco?

— O patrolach. Słyszeli w pobliżu odgłosy ciężkich pojazdów.

— A potem, siedemnastego rano, zauważyli serbski zwiad, który podobno obserwował z daleka wasz obóz?

— Zgadza się. Tylko bez tego „podobno”. Skoro Perrite powiedział mi, że byliśmy obserwowani, to znaczy, że naprawdę byliśmy obserwowani.

— A dlaczego Perrite zameldował o tym panu? Dlaczego nie kapitanowi Sanchezowi?

— Nie mam pojęcia.

— I wtedy wydał pan rozkaz do wycofania oddziału?

— Zgadza się — odparł, popełniając kolejny duży błąd. Gdyby Sanchez dowodził, to on wydałby taki rozkaz.

— Potem aż do północy przemieszczaliśmy się. Wtedy też wpadł pan na pomysł zastawienia pułapki na serbską kolumnę samochodową. Wszyscy pozostali zeznali, że to pan dowodził oddziałem w czasie zasadzki. Pan dał rozkaz wstrzymania ognia. A jednak nadal pan twierdzi, że dowódcą operacyjnym był Sanchez.

Persico zastanawiał się nad odpowiedzią i wydawał się jednak nieco zmieszany.

— Sanchez nie czuł się dobrze. Nie spał od dwóch dni, więc zaferowałem mu pomoc.

Omiał się nie roześmiałem.

— Jak to miło z pana strony — powiedziałem. A jeszcze przyjemniejsze było to, że Persico dał nam punkt zaczepienia do dalszych przesłuchań. Spojrzałem na Morrow, ona zaś tylko skinęła głową. Też to wyłapała.

\* \* \*

— Starszy sierżant François Perrite — zaanonsowała Imelda bardzo formalnie.

Perrite wszedł tym samym pewnym krokiem, co poprzednio. To ja nalegałem, żeby przesłuchać go w następnej kolejności. On był młodym gniewnym tego oddziału. Znajdował się też w centrum wszystkich wydarzeń. Ale co ważniejsze, był najwyraźniej zaufanym człowiekiem Persica. Między tymi dwoma istniała jakaś silna więź.

Wskazałem mu krzesło, na którym przed chwilą siedział Persico. Wyjaśniłem cel naszego spotkania i zaproponowałem, by zapalił.

Wyjął z kieszeni paczkę cameli. Poza innymi wspólnymi upodobaniami najwyraźniej obaj z Persico lubili takie same papierosy. Koledzy palacze.

Patrzyłem na leżące przede mną papiery, a Perrite zapalił papierosa i przyjął wygodną pozycję na krześle.

Spojrzałem na niego.

— Sierzancie Perrite, ustaliliśmy, że pan i reszta oddziału dopuściliście się krzywoprzysięstwa. Wiemy, że kapitan Sanchez popierał pomysł kapitana Akhana o ataku na posterunek w Pilucy. Wiemy także, że po tym ataku większość oddziału straciła zaufanie do jego umiejętności dowódczych i chorąży Persico w zasadzie przejął dowodzenie. Jest nam wiadome, że wasz oddział nigdy nie został namierzony przez Serbów. A także to, iż zasadzka nie była aktem samoobrony, ale zaplanowaną akcją odwetową.

Perrite popatrzył na mnie, podrapał się po twarzy i uśmiechnął.

— No, to czego, do licha, jeszcze chcecie ode mnie?

— Chcemy się dowiedzieć, jaka była pańska rola w tych wszystkich wydarzeniach. Niech pan zacznie od tego, jak wybraliście się z Machuskiem do Pilucy czternastego rano. Co tam zobaczyliście?

Pochylił się do przodu i zgasił papierosa na podłodze.

— Nie muszę odpowiadać na pana pytania — rzekł, prostując się.

— Ależ musi pan — zapewniłem go uprzejmie. — Skoro już raz został pan oskarżony o przestępstwo zagrożone trybunałem wojennym, to teraz mogę dodać do tego oskarżenia o dowolną liczbę innych wykroczeń. Nawet jeśli zostanie pan oczyszczony z zarzutów kosowskich, wniosę przeciwko panu pozostałe sprawy — odmowę wykonania rozkazu, brak szacunku, utrudnianie postępowania śledczego, krzywoprzysięstwo. Za każdą z tych spraw otrzyma pan oddzielny wyrok. Czy to jest jasne?

Skinął głową. Był to ledwo widoczny i niechętny ruch, ale jednak skinął głową.

— Sierzancie, proszę opowiedzieć ze szczegółami, co pan zobaczył, kiedy razem z Machuskiem weszliście do Pilucy.

— Aż tak bardzo chce pan to wiedzieć, co? Okay, no to panu powiem. Po pierwsze, nie poszedłem tam tylko z Machuskiem. Był z nami Brian Moore, bo znał miejscowy język. Dotarliśmy tam około dziesiątej. Było bardzo cicho, a w powietrzu unosił jakiś dziwny, ciężki odór, jakby krwi i kordytu. Powodem takiej ciszy był fakt, że wszyscy mieszkańcy opuścili miasteczko. Było dużo dymu, a niektóre budynki jeszcze się dopalały. Wiele domów było posiekanych kulami, jakby rozegrała się tu naprawdę duża bitwa. Nic nie wskazywało, by Akhan odniósł zwycięstwo.

Przerwał opowiadanie, by sięgnąć po drugiego camela.

— Potem ruszyliśmy przed siebie bocznymi uliczkami. Moore osłaniał mnie i Machusca, aż doszliśmy tak do rynku. Tam właśnie mieścił się posterunek policji. Machusco i ja podeszliśmy jak najbliżej się dało, a potem ukryliśmy się w trzypiętrowym domu. Weszliśmy aż na ostatnie piętro, a potem przez okienko wydostaliśmy się na dach. Ruchem rąk oddał panoramiczny widok rozciągający się z dachu.

— Widzieliśmy cały rynek i posterunek policji. Aż roilo się od serbskiej milicji. Dziesięć czołgów stało w rzędzie, a ich załogi wykonywały jakieś rutynowe czynności. Zobaczyliśmy także stos ludzkich ciał. Mieliśmy ze sobą lornetki, więc zaczęliśmy oglądać te ciała. Wiele twarzy dobrze znaliśmy. Machusco stuknął mnie łokciem i wskazał na posterunek policji. Przed jego wejściem wbito w ziemię wysoki pał, a na jego czubku było coś ciemnego i kapiącego. Była to niestety głowa kapitana Akhana. Ucięli ją biedakowi i wbili na ten pał jak wojenne trofeum.

Przerwał i popatrzył na nas. Chciał, byśmy wbili sobie do mózgu potworność tej sceny.

— Potem — kontynuował — zeszedliśmy na dół i wycofaliśmy się. Za miastem zauważyliśmy jakieś ślady i ruszyliśmy ich tropem. Po przejściu około pięciu kilometrów znaleźliśmy kilku mieszkańców miasteczka ukrywających się w lesie. Powiedzieli, że poprzedniego dnia późnym wieczorem Serbowie sprowadzili prawdziwie wielką jednostkę — około sześciuset ludzi. Czołgi ukryli w stodołach, a żołnierzy w okolicznych budynkach. Przez całą noc szykowali amunicję. Około szóstej rano, jak nam powiedzieli mieszkańcy, zaczęło się. Jakby całe miasteczko eksplodowało. Walka trwała może dwie godziny.

— Co się według was stało? — zapytałem.

Spurpurowiał i niemal zatrząsł się od gniewu.

— Co się stało? To chyba dość oczywiste, nie? Serbowie spodziewali się ataku Akhana i jego oddziału. Biedacy nie mieli najmniejszych szans. Zostali zaszlachtowani. Mieszkańcy mówili, że przez ostatnie trzydzieści minut walki Serbowie tylko biegali i wyłapywali pozostałych przy życiu partyzantów. Dobijali ich bagnetami.

Sposób, w jaki Perrite opowiadał, był niezwykle ekspresywny. Oczy pały mu gniewem, a słowa sączył przez zaciśnięte zęby.

— Czy wini pan za to, co się stało, kapitana Sancheza? — spytałem.

— Oczywiście! — wybuchnął. — Łajdak koniecznie chciał mieć jakiś sukces na swoim koncie, żeby dostać promocję. Chorąży Persico przekonywał go, żeby nie pozwolił Akhanowi na ten atak. Ale Sanchez go nie słuchał. W kółko powtarzał, że to będzie duża sprawa, jeśli Akhan i jego chłopcy zniszczą ten posterunek. Głupi łajdak.

— Co się stało, gdy pan, Machusco i Moore wróciliście do obozu?

— Cóż, hmm, najpierw poszliśmy do chorążego Persico. Nie miałem nastroju do rozmowy z Sanchezem.

— A co zrobił chorąży Persico?

— Potwornie się zdenerwował. Czuł się winny. Taki jest nasz chorąży. Zrobił wszystko, żeby do tego nie dopuścić, ale mimo to czuł się winny.

— Czy doszło do konfrontacji z kapitanem Sanchezem?

— Nic o tym nie wiem. Chorąży umie przełknąć wiele rzeczy.

— A co może nam pan powiedzieć o samej zasadzce? — zapytałem.

— Niewiele. Trzymałem wartę kilometr dalej. Nie widziałem, co się działo.

— No to chyba nam na dzisiaj wystarczy?

Odwróciłem się do Lisy Morrow, ale pokręciła głową, co oznaczało, że nie miała pytań. Powiedziałem Perrite'owi, żeby wrócił do celi i skinałem na Imeldę, by go odprowadziła.

Kiedy wyszedł z pokoju, niemal poczuliśmy dekompresję.

— Fiuu! — wyrwało się Morrow. Próbowaliśmy ustalić, co robić dalej. — Myślę, że powinniśmy jeszcze raz posłuchać, co ma do powiedzenia Brian Moore — zaproponowała.

Rozważałem to, ale doszedłem do wniosku, że rozmowa z nim niewiele by wniosła.

— Podaj mi jeszcze jakieś nazwisko — poprosiłem.

— No dobrze. Ezekiał Graves, lekarz.

— Czemu on?

— On ma tu najmniej do stracenia. Nie brał udziału w zasadzce.

Oczywiście miała rację.

Dziesięć minut później Imelda zaanonsowała sierżanta Ezekiała Gravesa.

Był szczupły i przystojny. Miał oliwkową cerę i wielkie brązowe oczy, regularne rysy i długą wąską brodę.

Opowiedziałem Gravesowi o przebiegu wypadków, dodając nowe szczegóły przekazane nam przez Perrite'a.

— Czy może nam pan powiedzieć, co się stało, kiedy Perrite, Machusco i Moore wrócili z Pilucy z wiadomościami o oddziale Akhana? Czy nastąpił jakiś wybuch, jakieś starcie? — zwróciłem się do niego.

— Nie, nie było żadnego wybuchu. Wiadomość o wydarzeniach w Pilucy rozchodziła się powoli. Sierżant Machusco i sierżant Perrite chodzili po obozie i zdawali nam relację.

— Czy obwiniali kapitana Sancheza?

— Tak, sir. Nie musieli zresztą tego robić. Wszyscy wiedzieliśmy, jak to było. Taki mały oddział jest jak rodzina.

Skinałem głową, ale nie skomentowałem.

— Nie było żadnego buntu, sir. Przysięgam, że nie było.

— A jak to wyglądało?

— Widzi pan, my wszyscy bardzo lubiliśmy kapitana Akhana. Był inny. Był lekarzem, a dokładnie kardiochirurgiem, absolwentem Akademii Medycznej w Harvardzie. To nas obu bardzo zbliżyło. Wieczorami po szkoleniach zabierał mnie do szpitala polowego prowadzonego przez ONZ. Pełno tam było rannych i chorych uchodźców z Kosowa. Pracowaliśmy co noc przez siedem, osiem godzin. Nie wiem, jak on to robił. Wstawał o piątej trzydzieści rano na szkolenie wojskowe, a pracował do drugiej, trzeciej nad ranem. Trzeba go było widzieć wśród tych ludzi w namiotach. Nie był zwykłym lekarzem. Był świętym. Ranny



dzieciak na przykład ze złamaną nogą lub raną po szrapnelu krzyczał z bólu do momentu, gdy w swoje ręce wziął go Akhan. Podczas operacji mówił do dziecka tym swoim nieprawdopodobnie kojącym głosem i dziecko przestawało płakać i pozwalało mu się operować. Żaden inny lekarz tego nie potrafił.

Graves przerwał i przez chwilę obracał się w swoim świecie, do którego nie mieliśmy dostępu. Potem podjął wątek:

— Kapitan Akhan wcale nie musiał tutaj być. Jego rodzice wyemigrowali do Stanów dawno temu. Czy wiedzieliście, że był obywatelem amerykańskim? Miał żonę i trójkę małych dzieci, dom w Bostonie i pracę w dużym szpitalu. Kiedy wybuchła ta wojna, spakował rzeczy i przyjechał tutaj.

Twarz Gravesa wyrażała teraz bezbrzeżną rozpacz. Było dla nas oczywiste, że podobnie jak Persico, darzył Akhana wielką sympatią. I wtedy Graves powiedział:

— Przepraszam. Trudno jest mi to opisać, siedząc tak przed wami, ale on był... Cóż, ludzie nie lubili go na zwykły sposób. Oni go kochali. Nawet chorąży Persico, jak mi się zdaje. To znaczy, gdy on i Akhan byli razem, wyczuwało się, że istniała między nimi jakaś silna więź.

— A więc, co się stało? — zapytałem. — Jeśli to nie był bunt, to co?

— Hmm... wydaje mi się, że po prostu wszyscy zdecydowali, że nie będą więcej słuchać kapitana Sancheza. Nikt tego nie powiedział głośno. To się czuło. Ale nie było żadnego buntu, sir. Przysięgam. Nawet sam kapitan Sanchez jakby w tym uczestniczył. Po prostu wycofał się na dalszy plan. Był z nami, ale przestał wydawać rozkazy. Chorąży jakby wszedł w tę lukę.

— A zatem spędził pan półtora dnia w bazie, tak?

— Tak, sir.

— Co w tym czasie robił cały zespół?

— Czekali. Perrite i Machusco oraz bracia Moore patrolowali okolicę i wszyscy, jak mi się wydaje, starali się zdecydować, co robić dalej. Po tym, co się stało z kapitanem Akhanem i jego oddziałem, żaden z nas nie myślał o uciekaniu do domu z podkurczonym ogonem.

— Czy Serbowie odkryli wasz obóz?

— O ile wiem, to nie.

— Kto wpadł na pomysł zasadzki?

— Nie wiem, sir. Pamiętam tylko, że tamtej nocy rozeszła się wiadomość, iż mamy sprawdzić amunicję i przygotować broń do walki. Sierżant Caldwell obudził mnie, kiedy nadszedł czas wymarszu.

Spojrzałem na zegarek. Była siódma i oboje z Lisa nie mieliśmy w ustach nic od śniadania. Nie czułem głodu, ale złota zasada armii mówiła, że żołnierzy należy karmić. Podziękowałem sierżantowi Gravesowi za jego spostrzeżenia i poprosiłem Imeldę, by odprowadziła go do celi.

Wyszedłem razem z Morrow. W drodze do hotelu mówiliśmy niewiele. Do tego momentu po prostu prowadziliśmy kolejne dochodzenie, gromadząc dowody w chłodny, racjonalny sposób, jak większość prawników na świecie. Teraz, na naszych oczach, fragmenty straszliwej ludzkiej tragedii zaczynały się łączyć w całość, a my nie umieliśmy już dłużej przyglądać się temu obojętnie.

— Kolacja? — spytałem.

— Kto płaci? — odparowała Morrow.

— To zależy. Jeśli potraktujemy to jako randkę — ja. Jeśli to wyjście służbowe, to mam związane ręce i płacimy po połowie.

— No, to po połowie — zdecydowała, psując mi nieco humor, i poszła na górę do swojego pokoju.

Przebrałem się szybciej niż ona i zbiegłem na dół. Zająłem stolik przy szerokim panoramicznym oknie, wychodzącym na okoliczne równiny rozjarzone światłami, jak okiem sięgnąć.

Z poczuciem winy szybko opróżniłem dwie szklanki szkockiej i postanowiłem nie przyznawać się Morrow, że zacząłem bez niej. Żebra mnie bolały i należała im się miła niespodzianka. Dopilnowałem też, żeby kelner sprzątnął dowody winy przed przyjściem mojej towarzyszki.

Akurat z nimi odchodził, gdy ukazała się w drzwiach. Jak na służbowe spotkanie, trochę przesadziła ze strojem. Miała na sobie krótką, obcisłą spódniczkę w kolorze niebieskim, która kończyła się wysoko nad kolanem, i fantastyczną bluzkę z głębokim dekoltem. Można było zobaczyć niemal wszystko, co przez ostatnie tygodnie ukrywała pod przepisowym mundurem. Omal zabrakło mi tchu, ale jestem zbyt opanowany, by dać po sobie cokolwiek poznać. Ograniczyłem się do lekkiej zadyszki i obrzydliwie zalotnego spojrzenia.

Jej przemarsz przez jadalnię wzbudził ogólną uwagę.

— Nie ma to jak wemknąć się na salę niepostrzeżenie — mruknąłem ku jej satysfakcji.

Uśmiechnęła się miło i lekko zaczerwieniła.

— Nie miałam nic innego do włożenia. Czy możemy zamówić butelkę chianti?

— Zamów, oczywiście — powiedziałem. — Ja mam dwa złamane żebra i obolałe ciało, które woła o lekarstwo.

Rozejrzałem się i mrugnąłem do kelnera.

— Chciałbym zacząć od dwóch szkockich.

— Ja poproszę kieliszek chianti.

Zaległa długa i niezręczna cisza. Pierwsza przerwała ją Morrow:

— Od kogo chcesz jutro zacząć?

— Czemu by nie od Sancheza? Wiemy chyba wystarczająco dużo, by go sprowokować do otwarcia się.

Kelner postawił szklanki na stole, a ja starałem się panować nad sobą, gdy sięgałem po pierwszą, żeby nie było widać, jak bardzo jestem spragniony. Zanim się zorientowałem, szklanka była pusta.

Morrow obracała kieliszek wina w smukłych palcach.

— Straszne to wszystko, prawda? Porusza człowieka do głębi.

— Taaa — odparłem, czując powoli efekty trzeciej szkockiej.

— Jeszcze nigdy nie prowadziłam takiej sprawy. Jest potwornie skomplikowana. Tu nie ma czerni i bieli.

— Ależ jest. Mylisz się. Ponieważ oni się mylili — powiedziałem, napoczynając kolejną szklankę i jednocześnie kiwając na kelnera, by przyniósł dokładkę. — Jednym z powodów, dla których armia tak nalega na konieczność zachowania żelaznej dyscypliny, są sytuacje właśnie takie jak ta. Oficerowie to też ludzie. Czasami zawalają sprawę, a ich ludzie to widzą. Struktura oddziału, dyscyplina musi jednak zostać zachowana. Persico to stary żołnierz. Wiedział o tym. Do diabła, oni wszyscy o tym wiedzieli.

Moja szklanka znów była pusta, a kelner już stał w pogotowiu z dwiema pełnymi. Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

— Dobrze się czujesz? — spytała nagle Morrow.

— Będzie dobrze — zapewniłem ją. — To tylko drobne znieczulenie. Wiesz, tu dużo osób będzie musiało przyznać się do winy. Smothers nigdy nie powinien był powierzyć Sanchezowi tego zadania — powiedziałem, pociągając kolejny długi łyk. — Sanchez powinien wziąć się w garść, kiedy sprawy poszły w złym kierunku. Ludzie powinni go wspierać. Ten system ma pewne zasady i wszyscy powinni ich przestrzegać — dodałem srogo.

— Mówisz dziwne rzeczy — zaniepokoiła się Morrow.

— Czemu? Bo zachowuję się bezczelnie? Bo nie mam szacunku dla systemu? Nie oszukuj się, Morrow. Ja jestem dzieckiem armii. Widziałem, jak mój ojciec odchodził na wojnę trzy razy. Wierzę w armię i jej głupie zasady. Co nie znaczy, że je lubię, ale dzięki nim wygramyśmy wiele wojen. Czyli coś musimy robić dobrze.

Morrow patrzyła na mnie zdumiona i zdałem sobie sprawę, że wypilem zbyt dużo i tracę kontrolę nad słowami. Wypiła łyk wina i przyjrzała się sińcom na mojej twarzy.

— Żebra nadal cię bołą? — zapytała.

— Chyba tak.

Uśmiechnęła się.

— I co? Ccco jest takie szmieszne? — zabełkotałem.

— Lepiej zamówmy szybko jakąś kolację, żeby coś wrzucić do twojego żołądka — powiedziała, błyskając tymi swoimi wspaniałymi oczami o współczującym spojrzeniu.

W tym momencie spojrzałem na moją zastawę i zobaczyłem, że leży przede mną co najmniej dziesięć widelców. Powiedziałem coś w rodzaju:

— Dużzzwidelnozzz.

Po tej wypowiedzi Morrow wstała, obeszła stół i wzięła mnie pod ramię. Była bardzo silna, bo podniosła mnie z krzesła, jakbym był puszystym naleśnikiem. Założyła sobie moją lewą rękę na ramię i wyprowadziła mnie z jadalni. W windzie oparła mnie o ścianę. Wjeżdżając na trzecie piętro, śpiewałem pod nosem jakieś wesołe kuplety. Doszliśmy do mojego pokoju i Morrow musiała mi przetrząsnąć kieszenie w poszukiwaniu klucza. Potem poprowadziła mnie do łóżka. Na ten moment czekałem. Myślała, że jestem kompletnie pijany. Myślała, że jestem nieszkodliwym, bezradnym pijanym eunuchem, zbyt upojonym szkocką, by okazać się mężczyzną. He, he, he. Zwaliłem się na łóżko, pociągając ją za sobą.

Mamrotałem coś przez cały czas, ale dobrze, że nic nie rozumiała, bo oznaczało to coś, czego grzeczne dziewczynki zazwyczaj nie robią.

Następna rzecz, jaką pamiętam, to odgłos budzika przy moim łóżku i jakieś gromkie walenie. Sturlałem się z łóżka, potykając, dotarłem do drzwi i otworzyłem je. Zobaczyłem Lisę Morrow już nie w spódniczce mini, lecz w zwykłym mundurze polowym. Jak ona zdołała się tak szybko przebrać?

Minęła mnie i weszła do łazienki. Czułem się głupio, stojąc jak kołek. Spojrzałem na budzik. Była 7.40. Nastawiłem go na dzwonienie o szóstej. Usłyszałem szum prysznic. Morrow podeszła do telefonu i zamówiła dwa amerykańskie śniadania.

Odłożyła słuchawkę, oznajmiając:

— Masz pięć minut, żeby się umyć i ogolić. I nie wychodź z łazienki nago. Regulamin armii mówi, że starsi oficerowie nie powinni pokazywać swoich pudleyów młodszym oficerom. A przecież ty akurat uwielbiasz wojskowe zasady.

Wreszcie się dowiedziałem, co oznacza słowo „pudley”, myślałem, człapiąc do łazienki. Prysznic świetnie mi zrobił, a żebra prawie przestały dokuczać. Siedem minut później wyszedłem z łazienki całkowicie ubrany. Morrow stała w drzwiach, płacąc obsłudze za przyniesienie nam śniadania.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zapytać:

— Gdzie poznałaś słowo „pudley”?

Zachichotała.

— W szkole prywatnej dla dziewcząt, do której chodziłam. Używałyśmy go do określenia... no, wiesz czego. Ale tylko gdy chodziło o małe sztuki. Duże nazywałyśmy humongo.

Chwilę nad tym myślałem. Ugryzłem jajko i popiłem je kawą.

— Jeśli chodzi o mnie, to nie ma mowy o pudleju — rzekłem z wyraźnym naciskiem.

— Niech ci będzie — odparła, śmiejąc się. — Jesteśmy spóźnieni. Jedz szybko.

— Okay — burknąłem. — Ale pamiętaj, nie ma mowy o pudleyu. Może nie jestem humongo, ale, do diabła, i nie pudley.

— Jedz! — rozkazała.

Zjedliśmy śniadanie i pojechaliśmy do bazy.

## ROZDZIAŁ 10

Terry Sanchez wyraźnie schudł i zmizerniał. Oczy miał podkrążone, idąc, powłóczył nogami. Po prostu nikł w oczach.

Wskazałem mu krzesło pośrodku pokoju i poprosiłem, żeby usiadł. Osunął się na nie i patrzył na mnie pustym wzrokiem. Wyjaśniłem powód naszego spotkania, tak jak wczorajszym przesłuchiwanym, uświadamiając Sanchezowi, że nasza wiedza o wydarzeniach w Kosowie znacznie się poszerzyła.

Błądził wzrokiem po pokoju, gdy mówiłem, i fakt, że tyle się już dowiedzieliśmy o tamtych strasznych wydarzeniach, zdawał się nie robić na nim żadnego wrażenia.

Zanim zdążyłem zacząć, usłyszałem głos Lisy Morrow:

— Terry.

Spojrzał na nią. Jej głos był niezwykle miękki i łagodny.

— Terry, wiemy już, co się tam wydarzyło. Chcemy jednak poznać twoją wersję wypadków. Takie historie nigdy nie są czarno-białe.

Patrzył jej w oczy, jakby były dla niego tratwami ratunkowymi, na które może uda mu się wspiąć. Morrow przejęła przesłuchanie.

— Wszyscy członkowie twojego oddziału powiedzieli nam prawdę. Teraz twoja kolej, Terry.

Skinął głową, lecz nadal nie odrywał wzroku od oczu Morrow. Zdałem sobie sprawę, że nigdy bym nie potrafił dokonać tego, co ona właśnie robiła.

— Dobrze, Terry. Może zaczniemy od momentu decyzji, w wyniku której kapitan Akhan poprowadził swój oddział na posterunek milicji w Pilucy?

Obliznął wargi i w tym momencie pomyślałem, że przypomina człowieka zagubionego na pustyni.

— Wiem, czego się dowiedzieliście od innych. Ale oni się mylą. Nie wiedzą, jak to naprawdę było. Akhan błagał mnie o zezwolenie na tę akcję. Wielu jego ludzi mieszkało w pobliżu Pilucy i oni z kolei błagali jego. Był pewien serbski kapitan o nazwisku Pajocović. Ten człowiek terroryzował miasteczko przez rok.

— Ale — wtrąciła Morrow — nie było tego na liście miast i obiektów, które należało zaatakować, prawda?

— Powiedziałem to Akhanowi. Przysięgam. A wtedy on stwierdził, że ta lista nie obowiązuje jego ani jego ludzi. Ona odnosi się tylko do mojego oddziału. I uważam, że co do tego miał rację.

— Tak, Terry, jeśli chodzi o przepisy, miał rację. Czy pan popierał pomysł tego ataku?

— Oczywiście. Dobrze rozumiałem, co czuli jego ludzie.

— Czy akcja Akhana została właściwie zaplanowana?

— Tak. Przez dwa dni omawialiśmy razem wszystkie szczegóły. Kazałem nawet Akhanowi wysłać do miasteczka trzech ludzi na dzień przed akcją. Wszystko sprawdzili. Zobaczyli jedynie garstkę pijanych Serbów kręcących się w okolicy posterunku. To miała być łatwa akcja.

— Więc co się w takim razie stało, Terry?

— Tak do końca, nie wiem. Podejrzewam, że jeden z ludzi Akhana musiał być wtyczką i zawiadomił Serbów o planach akcji. To nie była moja wina, rozumiecie? Do moich ludzi to jakoś nie dotarło. Akhan nie zginął przeze mnie. Winien jest ten, który uprzedził Serbów o jego nadejściu.

— Rozumiem — powiedziała Morrow. — Co się stało, kiedy Perrite, Machusco i Moore wrócili z Pilucy?

— Co się stało? — powtórzył. — To się stało, że wszyscy zwrócili się przeciwko mnie. Wcześniej i tak nikt za mną nie przepadał.

— Czy doszło do buntu, Terry?

W końcu oderwał oczy od Morrow. Spojrzał na Imeldę i jej asystentki, jakby zobaczył je po raz pierwszy w życiu. Potem niespodziewanie zaczął pocierać otwartymi dłońmi o uda. Robił to mechanicznie i chyba nieświadomie.

— Stało się to, że Persico zabrał mnie do lasu i opowiedział, co zobaczyli w Pilucy. Mówił cicho, ale to było bezpośrednie oskarżenie. Patrzył na mnie, jakbym ponosił winę za to wszystko.

Przestał mówić, ale jego dłonie nadal pocierały uda.

— Oni wszyscy uwielbiali Akhana. Było coś w tym człowieku. Nie wiem co, ale oni go niemal czcili. Wydaje mi się, że uznali, iż specjalnie wystawiłem go na śmierć. Niby z zazdrości. Ale to kompletna brednia! On nawet nie był żołnierzem. A poza tym, ja też go lubiłem. Nigdy bym mu czegoś takiego nie zrobił. Kiedy wróciliśmy z lasu, wszyscy zaczęli mnie unikać.

— Ale nie było otwartego buntu? — upewniła się Morrow.

— Jeśli ma pani na myśli taki bunt jak na statku, to nie. Ale jednak to był bunt. Wiedziałem, że nie będą mnie już słuchać.

— Terry — powiedziała Morrow — o godzinie dwunastej zameldowałeś pułkownikowi Smothersowi, że oddział Akhana jest czarny. A on nakazał ci ewakuację z tego terenu. O osiemnastej meldowałeś o wzmożonych ruchach Serbów i trudnościach z ewakuacją. Powtórzyłeś ten raport o szóstej następnego dnia i potem znów o osiemnastej. Dlaczego przesłałeś taki meldunek?

Dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, w jak błyskotliwy sposób Morrow prowadziła to przesłuchanie. Jeśli doszło do buntu, to czemu Sanchez starał się zatrzymać oddział w Kosowie? Czy ktoś mu przystawił pistolet do głowy?

— Persico mi kazał. Chciał w ten sposób zyskać na czasie.

— Ale czemu, Terry? Do czego był mu ten czas potrzebny? Co jeszcze zamierzał zrobić?

— No, wie pani — odparł Sanchez, unikając jej wzroku — chciał dopaść Pajocovicia.

— Pajocovicia? Tego dowódcę posterunku w Pilucy?

— Tak. A jak pani myśli, na kogo zastawiliśmy zasadzkę?

Nagle brakujące kawałki łamigłówki zaczęły spadać na swoje miejsca jak lawina. Zaatakowali kolumnę nie ze względu na jej liczebność, lecz dlatego, żeby zabić człowieka odpowiedzialnego za śmierć Akhana. Morrow bez zająknięcia i mrugnięcia okiem zapytała:

— A więc pan i chorąży Persico trzymali oddział w bazie, a Perrite i Machusco wrócili, żeby poszukać Pajocovicia?

— Zgadza się. Wysłałem z nimi również Moore'a. Zasięgnęli języka w kilku okolicznych wioskach, pytając o Młota. To był pseudonim Pajocovicia. W końcu jakiś starszy człowiek powiedział im, że Młota widziano w małej wiosce koło Ishataru. Pajocović działał w ten sposób, że organizował wypadki do małych wiosek i przez dzień, dwa terroryzował ich mieszkańców. Potem wracał do Pilucy. Wtedy podjąłem decyzję o dalszych działaniach. Że urządzimy zasadzkę między Pilucą a Ishataram. Przybyliśmy na miejsce dzień wcześniej i...

— Terry — przerwała mu Morrow.

Zamilkł i kilka razy zamrugał.

— Kto podejmował te wszystkie decyzje? To nie byłeś ty, prawda?

— Nie. Robili to Persico i Perrite.

— Czy próbowałeś ich powstrzymać, czy też ich zachęcałeś?

To było pytanie kluczowe dla całego dochodzenia. Dotyczyło bowiem odpowiedzialności prawnej za zabicie Serbów. Myślę, że na swój sposób Sanchez żałował, iż to nie on podjął decyzję o zasadzce, bo to by mu pozwoliło ocalić resztki honoru.

— Pozwoliłem im robić, co chcieli — wymamrotał.

— Co się wydarzyło podczas samej zasadzki?

— Cóż, na drodze był duży ruch. Czekaliśmy niemal do ósmej. Perrite był gdzieś na zwiadzie. Miał okulary noktowizyjne. Obserwował pojazdy jadące od strony Pilucy. Wóz Pajocovicia miał wymalowaną z boku nazwę posterunku w Pilucy. Około ósmej dostaliśmy sygnał, że wreszcie nadjeżdżają. Persico odczekał, aż pierwszy samochód dojedzie do dwóch min przeciwzołgowych założonych na drodze. Eksplozja wyrzuciła ten duży samochód w powietrze. Wtedy wszyscy otworzyliśmy ogień. Trwało to siedem, może osiem minut. Potem odeszliśmy.

— Terry — odezwałem się. — Ktoś wrócił na miejsce zasadzki i dobił rannych strzałami w głowę. Czy ty to zrobiłeś?

Spojrzał na mnie zszokowany.

— Nie. Strzelałem, jak wszyscy inni. Ale kiedy Persico wypuścił flarę, po której mieliśmy przerwać ogień, przestałem strzelać. Wszyscy zaczęliśmy biec na miejsce zbiórki jakieś półtora kilometra za miejscem zasadzki.

— Czy jacyś Serbowie pozostali przy życiu? — zapytałem.

— Tak, bo ciągle do nas strzelali.

Nic już nie rozumiałem. Jeśli nadal strzelano do wycofującego się na miejsce zbiórki oddziału, to kto dobił Serbów strzałami w głowę?

— Terry — odezwała się Morrow. — Kiedy dotarliście do Macedonii i składaliście raport, dlaczego zdecydowałeś się kłamać?

Był bardzo zakłopotany i najwyraźniej nie zamierzał odpowiadać na to pytanie. Znów zaczął pocierać dłońmi uda. Dopiero teraz mnie oświeciło.

— Terry, czy zawarłeś jakąś umowę z oddziałem?

Patrząc w podłogę, odparł:

— Tak, zawarliśmy umowę.

— Czy dlatego zgodziłeś się na tę zasadzkę, Terry? I pomagałeś im zyskać na czasie w kontaktach ze Smothersem? Chciałeś, żeby przeprowadzili tę zasadzkę, prawda? Wiedziałeś, że łamiecie zasady i że jeśli Pajocović i jego ludzie zostaną zabici, oddział czeka trybunał wojenny po powrocie do głównej bazy. Wiedziałeś, że jeżeli to zrobią, to będą mieli tyle samo do ukrycia, co ty. Wiedziałeś, że oddział będzie cię krył, ponieważ potrzebowali ciebie do krycia ich samych.

Sanchez patrzył tylko w podłogę, co też było odpowiedzią. Teraz już wiedzieliśmy wszystko. Wszystko oprócz rzeczy najistotniejszej — kto dobił rannych Serbów?

\* \* \*

Po tym jak Imelda odprowadziła Sancheza do celi, stwierdziliśmy, że wszystkim nam potrzebna jest przerwa. Imelda ze swoimi dziewczynami ruszyła na poszukiwanie automatu z kawą. Poprosiłem ją, by zawiadomiła dyżurnego strażnika z sił powietrznych, że chcę z nim mówić.

Oboje z Morrow byliśmy nieco oszołomieni. Przez kilka minut siedzieliśmy przy stole w milczeniu. Wreszcie Lisa wyjęła swój żółty notatnik i zaczęła pisać.

Przyglądałem jej się jakiś czas, nim powiedziałem:

— Przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru. Za dużo wypilem. Chyba nie pozwoliłem sobie... hm, no wiesz... na zbyt wiele, kiedy odprowadziłaś mnie do sypialni?

Miałem cichą nadzieję, że powie coś w rodzaju „No cóż, właściwie pozwoliłeś sobie i to na bardzo brzydką rzecz, ty zwierzaku, ale prawda jest taka, że bardzo mi się to podobało i mam nadzieję, że zrobisz to jeszcze raz”. Zamiast tego usłyszałem:

— Nie przejmuj się. Zacząłeś nieźle chrapać, jeszcze zanim padłeś na łóżko.

— Taak. Żebra bolały mnie jak piorun.  
— To nie były żebra, ale twoje sumienie — powiedziała Morrow, nie przerywając pisania.  
— Nieprawda. To były żebra.  
— Nie jesteś taki twardy, za jakiego chciałbyś uchodzić. Podobają ci się ci ludzie. Są tacy jak ty, i to cię dręczy. Przyznaj się.

Chwilę nad tym myślałem.

Morrow odłożyła długopis i spojrzała na mnie.

— Wiesz, jesteś odpowiednim człowiekiem do prowadzenia tego śledztwa, ale zarazem i nieodpowiednim. Macie pewne wspólne doświadczenia. Zwykły prawnik, taki jak ja, nawet nie ma co marzyć, by pojąć, co tam naprawdę zaszło. Z tej samej przyczyny nie możesz być całkowicie bezstronny w tej sprawie.

Popatrzyłem na nią. Jak dla mnie, za dużo tu było psychoanalizy. Na tym polegał problem Morrow. To dlatego jej oczy były takie współczujące, ponieważ Lisa Morrow była cała przepełniona współczuciem. I teraz rozglądała się za następnym obiektem, w którym by Je mogła ulokować.

Zjawiała się Imelda z asystentkami, a wraz z nimi wkroczył puciołowaty strażnik.

— Pan mnie wzywał, sir? — zapytał.

— Tak, do diabła! Czy w tej bazie jest jakiś psychiatra?

— Owszem. Jest jeden w szpitalu polowym.

— Sprowadźcie go tutaj i to dziś. Chcę, żeby spędził trochę czasu z kapitanem Sanchezem.

— Pochyliłem się ku niemu. — Czy nie zauważyliście, że bardzo stracił na wadze?

— Hm... nie, nie zauważyłem.

— Ale na pewno zauważyliście, że jest bardzo przygnębiony.

— No nie. Eee... tego też nie zauważyłem.

— No, to słuchajcie uważnie. Jeśli uda mu się popełnić samobójstwo lub jeśli straci jeszcze choćby gram na wadze, to oskarżę was o poważne zaniedbanie obowiązków służbowych. Czy wyrażam się dość jasno?

— Tak jest, sir — rzucił strażnik i szybko uciekł.

Zrobiłem, co mogłem, dla Terry'ego Sancheza, ale nie byłem pewien, czy mu to pomoże. Kiedy człowiek straci do siebie szacunek i zrezygnuje ze wszystkiego, w co dotychczas wierzył, to coś wewnątrz pęka nieodwracalnie.

Rozejrzałem się za Imeldą i kazałem jej przyprowadzić chorążego Persico.

\* \* \*

Persico usiadł i tradycyjnie założył prawą nogę na lewą. Nie można było nie dostrzec uderzającego kontrastu pomiędzy tym szpakowatym, pewnym siebie mężczyzną i roztrzęsionym, pocierającym nogi strzępką człowieka, jaki pozostał z Terry'ego Sancheza.

— Będę z panem całkiem szczery. Może pan zostać oskarżony o zbiorowe zabójstwo, odmowę wykonania rozkazów, podżeganie do buntu i wiele innych spraw mniejszego kalibru. Doradzałbym panu znalezienie adwokata.

— Nie potrzebuję adwokata, majorze. Pozwoli pan, że zacznę od kilku uwag?

— Skoro pan tak chce.

Przez chwilę uważnie mierzył mnie wzrokiem.

— Majorze, widzę, że nosi pan Odznakę Bojową Piechoty. Brał pan udział w walce, zgadza się?

— Owszem. Byłem w osiemdziesiątej drugiej w Panamie i w Zatoce — odparłem, co było zgodne z prawdą, gdyż 82. Dywizja Powietrznodesantowa była w obu tych miejscach, gdy stacjonowałem tam wraz z grupą.

— Czy dowodził pan na polu walki?



— Tak — odparłem, co także było zgodne z prawdą.

— Strzelał pan do ludzi?

— Zdarzało się.

— Ja również byłem w Zatoce, chociaż nie w Panamie. Służyłem też na Haiti, w Mogadiszu i Rwandzie. Spędziłem także kilka lat w Bośni, robiąc to i owo. Ja, Perrite, Machusco, Caldwell, Butler, bracia Moore byliśmy w tych wszystkich miejscach razem.

Milczał przez dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po sali, po czym podjął temat:

— Nie umiem panu powiedzieć, w ilu obozach uchodźców byliśmy od czasu Zatoki. Przysięgam, że widziałem miliony twarzy uchodźców o martwym spojrzeniu. Okaleczone dzieci, zgwałcone kobiety, sieroty, matki, które straciły niemowlęta. Takie widoki zaczynają w końcu człowieka męczyć. To znaczy, nazywa się to akcjami humanitarnymi, ale prawdziwy zwolennik humanitaryzmu zrobiłby raz na zawsze porządek z tymi bandytami, prawda? Prawdziwy obrońca człowieka uniemożliwiłby im krzywdzenie kolejnych ludzi.

— Chorąży Persico — powiedziałem najłagodniej jak umiałem — nie jesteśmy tutaj po to, by dyskutować o polityce państwowej. Naszym zadaniem jest ustalenie, co się wydarzyło w Kosowie między czternastym a osiemnastym czerwca.

— Czy inni opowiadali panu o Akhanie? — spytał chłodnym tonem.

Skinąłem głową.

— Cóż, wątpię, by ich słowa właściwie oddały, jakim był człowiekiem. Widziałem paru dzielnych ludzi w życiu, ale żaden z nich nie mógł się równać z Akhanem. Nie musiał tam być. Człowiek był świetnym lekarzem. — Persico spojrzał mi prosto w oczy. — Chciałbym znaleźć słowa, żeby właściwie opisać Akhana. Był młody, tuż po trzydziestce. Przystojny mężczyzna, wysoki, szczupły, o niezwykle spokojnym spojrzeniu. Akhan nigdy nie powinien był się znaleźć w Pilucy. To wina Sancheza, że tak się stało. Wiedziałem, że Sanchez był zazdrosny o Akhana, gdyż wszyscy go podziwiali. A Sanchez? Jemu nie udało się wzbudzić niczyjego szacunku. Myślę, że chciał, aby Akhan podjął się prawdziwie trudnego zadania i zginął. Czy to według pana ma sens?

— Owszem — przytaknąłem.

— No, w każdym razie, kiedy Perrite, Machusco i Moore wrócili z Pilucy, wszystko jakby się zawaliło. Nie twierdzą, że Sanchez chciał, aby tak się stało. Nie chodziło mu o wystawienie na śmierć całego oddziału. Kiedy zabrałem go do lasu i opowiedziałem, co się wydarzyło w Pilucy, rozplakał się jak dzieciak. Reszta oddziału przyjęła to podobnie.

— Czy powiedział pan Sanchezowi, że nie będzie już mógł dowodzić oddziałem? Czy zbiorowo uniemożliwiono mu wykonywanie jego obowiązków?

— Nie, ale też nie zrobiłem nic, by zapobiec powstałej sytuacji. Wiedziałem, co się dzieje, i wcale nie chciałem tego korygować. Nie winię ludzi. Nie mieli z tym nic wspólnego. Wina leżała po mojej stronie. Widziałem, że stracił posłuch, i nie zrobiłem nic, żeby go odzyskał. Chcecie oskarżyć kogoś o podżeganie do buntu? Oskarżajcie mnie. Chyba się do tego przyczyniłem.

— Kiedy została podjęta decyzja o zasadzce na jednostkę Pajocovicia? — zapytałem.

— Od razu, tego samego dnia.

— Dlaczego? Dlaczego nie wycofaliście się, pomimo wyraźnych rozkazów generała Smothersa o ewakuacji?

Persico sięgnął do kieszeni po camele. Wyjął papierosa, postukał nim w opakowanie, zapalił i zaciągnął się głęboko. Dopiero wtedy odpowiedział:

— Trzeba zrozumieć, z czym wiąże się wykonywanie tych wszystkich misji humanitarnych. Człowiek zaczyna się angażować osobiście. Głowę kapitana Akhana zatknęto na palu jak jakieś trofeum myśliwskie. Ten facet, Pajocović, był bezwzględny mordercą. Zabił i torturował setki ludzi. Niezależnie jak potoczyłyby się wydarzenia w Kosowie, pozostałby bezkarny.

— A więc, postanowił pan wykonać na nim egzekucję?

Persico wpatrywał się w dym wydobywający się z papierosa.

— Tak, sir. Tak właśnie postanowiłem. I nie żałuję tego. Ludzie po prostu wykonali polecenie. Ich to w żadnym wypadku nie obciąża.

— Ktoś to jednak zrobił, szefie. Ktoś tam wrócił i wpakował kule w głowy tych Serbów. Czy może nam pan powiedzieć, kto to był?

— Taaa — odparł bez mrugnięcia okiem. — Ja to zrobiłem.

To były ostatnie słowa, jakich oczekiwałem od niego albo chciałem usłyszeć.

— Jak to, szefie? Jak pan to zrobił? — wyjąkałem.

— To było proste, w gruncie rzeczy. Większość Serbów już nie żyła lub była ranna. Zaczekałem, aż strzelało już tylko trzech lub czterech, i odpaliłem flarę sygnalizującą wstrzymanie ognia. Potem nakazałem wszystkim odwrót na miejsce zbiórki. Zaczęli biec. Biegiem kawalek z nimi, a potem zawróciłem. Wspiąłem się na wzgórze po drugiej stronie drogi. Serbowie, ukryci za samochodami, oddawali ostatnie strzały w stronę naszych ludzi. Zaszedłem ich od tyłu i otworzyłem ogień. Rannych dobiłem strzałem w głowę.

— Ale dlaczego, szefie? Dlaczego pan to zrobił?

— Czyż to nie oczywiste? Jednym z tych, którzy strzelali, mógł być Pajocović. A poza tym, nie chciałem zostawiać świadków.

W pokoju nagle zapadła głucha cisza. Persico spokojnie dopalił papierosa. Rzucił niedopałek na podłogę i przycisnął butem parę razy, aby się upewnić, że jest dobrze zgaszony. Ta fizyczna metafora była bardzo sugestywna.

— Okay, szefie, to już by było wszystko — powiedziałem.

Wstał i zasalutował, a ja mu odsalutowałem. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Atmosfera w pokoju zrobiła się bardzo napięta, więc zarządziłem dwudziestominutową przerwę. Nawet Lisa Morrow wstała i wyszła. Usiadłem przy małym stoliku.

Morrow wróciła po piętnastu minutach. Opadła na krzesło.

— To straszne — jęknęła. Trudno było się z tym nie zgodzić.

— Jeszcze tylko jeden — rzekłem.

Wstałem, żeby poszukać Imeldy. Powiedziałem jej, co ma zrobić, i wróciłem do pokoju przesłuchań. Cierpliwie czekałem, aż wrócą jej dziewczęta i siądą na swoich miejscach.

Po dwóch minutach drzwi się otworzyły. Weszła Imelda, a za nią sierżant François Perrite.

— Proszę siadać — zwróciłem się do niego.

Zrobił to, ale tym razem był o wiele bardziej zdenerwowany niż poprzednio. Zapalił papierosa i od razu wyjął drugiego.

— Czy na pewno nie chce pan adwokata, sierżancie? Poważnie bym to panu doradzał.

— Nie, nie. Już i tak wystarczająco dużo prawników jest w tym pokoju.

— Nie da się zaprzeczyć — przyznałem.

Potem spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy i on już wiedział, że ja wiem.

— Właśnie wyszedł stąd chorąży Persico. Wziął na siebie całą odpowiedzialność. Powiedział, że podejmował wszystkie decyzje, które doprowadziły do cichego buntu przeciwko kapitanowi Sanchezowi, jak również decyzję o zasadzce oraz że zignorował rozkaz wycofania się.

Perrite w milczeniu kiwał głową podczas mojej wyliczanki.

— Oczywiście, sierżancie Perrite, to pan ponosi większość odpowiedzialności. To pan po powrocie ze zwiadu próbował nastawiać ludzi przeciwko Sanchezowi. Wiedział pan, że Sanchez i tak nie cieszył się popularnością i próbował pan podsycać te nastroje. To pan podsunął pomysł zabicia Pajocovicia, prawda? A jednak szef starał się pana kryć.

Perrite nie reagował, mierzając mnie jedynie wzrokiem. Kontynuowałem więc:

— A potem zeznał, że to on wrócił na miejsce zasadzki i dobił rannych Serbów.

Perrite wpatrywał się teraz w czubek papierosa, podobnie jak niedawno Persico. To było niesamowite. Perrite tak podziwiał tego człowieka, iż przejął nawet jego maniery.

— Problem polega na tym, sierżancie Perrite — powiedziałem — że i pan, i ja wiemy, iż on tego nie zrobił. Prawda? Próbował po prostu osłaniać kogoś, do kogo jest głęboko przywiązany. I mogę tylko mieć nadzieję, że ów ktoś to przywiązanie odwzajemnia.

Perrite zastygł w tej samej pozycji, nadal patrząc na żarzący się koniuszek papierosa. Zdawało się, że trwa to wieczność.

— No dobra — wymamrotał w końcu. — Ja to zrobiłem.

— Proszę nam opowiedzieć, jak to się stało.

— I tak nie zrozumiecie. Nie jesteście prawdziwymi żołnierzami, pan i tamta prawniczka. — Tu machnął lekceważąco ręką w stronę Morrow. — Nie możecie nawet mieć pojęcia, jak tam było.

Nagle Imelda zerwała się ze swojego krzesła, podeszła do Perrite'a i stając tuż przed nim, wzięła się pod boki i oświadczyła:

— Dość tego, sierżancie. Pan nie wie, o czym mówi! — wrzasnęła. — Widzi pan naszywkę bojowej jednostki na prawym ramieniu majora? Widzi pan Odznakę Bojową Piechoty na jego piersi? To, czego pan nie widzi, to trzy Purpurowe Serca i dwie Srebrne Gwiazdy i jeszcze Krzyż za Wybitną Służbę. A wie pan, dlaczego został prawnikiem? Bo spędził sześć miesięcy w szpitalu, dochodząc do siebie po ostatnich obrażeniach. Nie pozwolono mu już wrócić do piechoty. A teraz niech się pan zachowuje jak na żołnierza przystało i odpowiada na zadane pytania.

Perrite wytrzeszczył oczy na Imeldę. Nie miałem pojęcia, skąd ona to wszystko wiedziała. Moje odznaczenia i nagrody leżały zakurzone w jakiejś szufladzie, ponieważ dostałem je za operacje, o których nikt nie wiedział, ani nie powinien wiedzieć, że w ogóle miały miejsce.

Perrite przeniósł spojrzenie na mnie.

— Czy to prawda? — zapytał.

— Chyba tak — przyznałem.

Przez chwilę jeszcze coś rozważał w swoim umyśle i wreszcie zaczął mówić:

— W porządku, majorze. Jak już mówiłem, byłem oddalony od miejsca zasadzki. Słyszałem jej odgłosy i nie mogłem wytrzymać z ciekawości, co się dzieje. Jak człowiek stoi na straży, to zawsze się niepokoi, czy jego przyjaciele właśnie nie giną. Wiedziałem, że źle postępuję, ale przeszedłem przez drogę i zszedłem wzgórzem na tyły Serbów. Dotarłem tam akurat w momencie, gdy szef wydał rozkaz do wycofania się. Kilku Serbów, trzech lub czterech, wciąż strzelało. Więc zdecydowałem, że ich... no, wiecie, zdecydowałem, że... ich zabiję.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Może dlatego, że chciałem mieć swój udział w akcji. A może dlatego, że szef powinien był się pozbyć świadków.

— A może dlatego, że chciał pan zdobyć trofeum?

W jego oczach dostrzegłem isierkę paniki. Powiedziałem wolno:

— Kiedy w Belgradzie oglądaliśmy z kapitan Morrow ciała Serbów, jedno nie miało głowy. Czy to było ciało kapitana Pajocovicia?

Odwrócił oczy.

— Nie wiem. Może.

— Obciął mu pan głowę, sierżancie, czy tak?

Nagle jakby się zniecierplwił. Pajocović pozbawił głowy Akhana, więc Perrite odplacił mu tym samym.

— Dlaczego pan to zrobił, sierżancie?

Perrite nadal odmawiał odpowiedzi. Ale już nawet nie nalegaliśmy na to. Zrozumiałem, że Perrite chciał się pochwalić wojenną zdobyczą przed swoim bohaterem, jak pies myśliwski, który przynosi zdobycę i składa ją do nóg swemu panu.

— Przyniosłeś ją szefowi, prawda? Żeby zobaczył, czego dokonałeś, czy tak?

Nagle wyprostował się na krześle i rzucił niedopałek na podłogę.

— Tak. Tak właśnie zrobiłem.

— A co zrobił szef?

— Wpadł w szal. Zabronił mi wspominać o tym komukolwiek i musiałem natychmiast zakopać głowę.

— Dziękuję, sierżancie. Może pan odejść do celi.

\* \* \*

Wróciliśmy do Tuzli. Po raz ostatni miałem pokazać strażnikom moje pełnomocnictwa, zrobić głupią minę do kamery i poczekać, aż panna Smith otworzy drzwi. Tylko że tym razem to nie była panna Smith, lecz generał Clapper.

Wyciągnął dłoń.

— Sean, jak się pan ma?

— Kiepsko — przyznałem.

Przywitał się z Morrow i poprowadził nas do sali konferencyjnej w wyłożonych warstwami ołowiu podziemiach.

Przy długim stole konferencyjnym zasiadło aż nazbyt szerokie grono. Był tam oczywiście Treterne, znów w swojej ulubionej kamizelce myśliwskiej. Był Murphy i jego szef, generał Clive Partridge. Nie wyglądali na zachwyconych tym spotkaniem.

Przez ostatnie trzy noce Morrow i ja prawie nie spaliśmy. Analizowaliśmy zebrane dowody i zeznania, rozważaliśmy każdy aspekt prawny, każdą alternatywę, aż powstał pakiet informacyjny, który właśnie zamierzaliśmy przedstawić.

Clapper okrążył stół i usiadł obok generała Partridge'a. Wszyscy zajęli miejsca po jednej stronie stołu. Pośrodku drugiej stały dwa krzesła. Najwyraźniej przeznaczono je dla Lisy Morrow i dla mnie.

Podeszliśmy do stołu i usiedliśmy. Wykładanie materiałów z teczek zajęło nam trochę czasu. Zrobiliśmy tylko dziesięć kopii. Zostały ponumerowane i oznaczone uwagą „Ścisłe tajne”. Morrow wstała i rozdała po jednej kopii siedzącym po drugiej stronie stołu.

— Panowie — odezwałem się. — Oto wyniki naszego dochodzenia. Jeśli chcecie, kapitan Morrow zaprezentuje nasze wnioski.

— Powiedzcie, co ustaliliście — zażądał generał Partridge.

Lisa Morrow zmierzyła wzrokiem rząd twarzy po drugiej stronie stołu i zaczęła:

— Rano osiemnastego czerwca około godziny ósmej rano, oddział A kapitana Terry'ego Sancheza urządził zasadzkę, w wyniku której zginęło...

Mówiła przez prawie dwadzieścia minut, sprawnie odsłaniając kolejne elementy spisku, zmywy, przyzwolenia i zgody na współdziałanie. Mężczyźni po drugiej stronie stołu słuchali z kamiennymi twarzami, nie przerywając jej. Obserwowałem te twarze, próbując sobie wyobrazić, co teraz myśleli.

Kiedy Morrow skończyła, zapadła pełna napięcia cisza.

Generał Partridge sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów, mógłbym się założyć o wszystko, że były to camele. Wyjął jednego, postukał nim w pudełko i zapalił. Generał Murphy wstał, podszedł do małego stolika w rogu sali i wziął z niego szklaną popielniczkę dla swojego szefa. Palenie w pomieszczeniach wojskowych i rządowych jest zabronione, ale nikt z obecnych nie śmiał przypominać o tym najbardziej złośliwemu i uszczypliwemu generałowi w całej armii Stanów Zjednoczonych, a już na pewno nie ja.

Partridge spojrział na mnie.

— Co więc pan zaleca, majorze? Za co mam oskarżać i kogo?

— Może zaczniemy od najpoważniejszego oskarżenia, o morderstwo — zaproponowałem i przybierając mój najbardziej prawniczy sposób mówienia, podjąłem: — Ze względu na to, że oddział Sancheza został wysłany do Kosowa w celu przeprowadzania operacji ofensywnych, uznaliśmy, że zasadzka zorganizowana osiemnastego czerwca była działaniem dopuszczalnym i nie stanowiła aktu zbiorowego morderstwa. Musimy wszakże potraktować owo działanie jako świadomą odmowę wykonania rozkazów, ponieważ pułkownik Smothers rozkazał oddziałowi wycofanie z tego terenu i nadto ponieważ oddział we wszystkich swoich działaniach miał ściśle przestrzegać zakazu atakowania przypadkowych obiektów wroga.

— Odnotowane — było jedynym komentarzem Partridge'a.

— Sam atak sierżanta Perrite'a na resztkę broniących się Serbów również nie był morderstwem. Było to jednakże świadome niewykonanie rozkazów. Sierżant Perrite opuścił swoje stanowisko bojowe, co również stanowi dodatkowe wykroczenie. Linią dzielącą te wykroczenia od aktu morderstwa przekroczył, gdy świadomie dobił rannych Serbów. Popęnił tym samym akt wielokrotnego morderstwa pierwszego stopnia oraz jeden akt okaleczenia zwłok. W aktach całej sprawy znajduje się raport koronera z oględzin zwłok oddziału serbskiego.

— Odnotowane — rzucił Partridge.

— Akt buntu jest sprawą bardzo złożoną. Kodeks Prawa Wojskowego określa bunt jako świadome i zorganizowane uzurpowanie sobie praw osób, którym powierzono dowodzenie daną jednostką. Minione stulecia dostarczają wielu przykładów precedensowych aktów buntu. Kapitan Morrow i ja nie doszukaliśmy się w prawie wojskowym przykładu choćby w części odzwierciedlającego to, co miało miejsce w oddziale kapitana Sancheza. Uważamy natomiast, że kapitan Terry Sanchez świadomie uchylił się od odpowiedzialności dowodzenia oddziałem oraz stwierdzamy, iż chorąży Michael Persico podjął chwalebny krok przejścia jego obowiązków. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdyby Sanchez nie zrzekł się dowodzenia dobrowolnie, doszłoby do buntu. Jego pasywna postawa zapobiegła temu.

— Odnotowane — rzekł Partridge, strząsając popiół do popielniczki.

— W przygotowanych przez nas aktach opisujemy jeszcze wiele drobnych wykroczeń, lecz są dwa poważne, które chcemy omówić teraz.

— A jakież to? — mruknął Partridge.

— Spisek zawiązany w celu utrudniania śledztwa oraz krzywoprzysięstwo. W tych dwóch przypadkach natrafiliśmy na największe komplikacje. Zmowa oddziału przechodziła różne fazy, poczynając od zgody na wysyłanie fałszywych raportów do pułkownika Smothersa, poprzez próbę ukrycia faktu zorganizowania zasadzki, aż do udzielenia fałszywych informacji oficerowi pułkownika Smothersa po powrocie z akcji. Potem jednak armia oraz rząd stały się stronami tego spisku. Interes rządu, by ukryć tajne działania w tym rejonie, połączył się z interesem oddziału, by ukryć popełnione przestępstwo. Doszło do porozumienia między stronami.

Następnie wziętem głęboki oddech i zapytałem:

— Generale, czy był pan stroną w tym porozumieniu?

— Byłem — przyznał szczerze.

— Wobec tego pana obowiązkiem jest powstrzymanie się od działań prawnych w tej sprawie. Musi pan przekazać władzę komuś innemu, kto będzie mógł podjąć decyzję po zapoznaniu się z naszymi rekomendacjami.

Spodziewałem się, że Partridge skoczy mi do gardła, gdy tylko skończę mówić. Omawialiśmy tę sytuację z Morrow przez wiele godzin. Prawdopodobnie żaden z mężczyzn siedzących po drugiej stronie stołu, a nawet żaden z obecnych wysokich dowódców, nie mógł

decydować w tej sprawie. Mieliśmy do czynienia z koniecznością wielokrotnego uchylecia prawa do podjęcia decyzji. Stanowiłoby to ciekawy precedens.

Partridge uśmiechnął się i powiedział:

— Masz rację, Drummond. Przy obecnych tu świadkach zrzekam się prawa do podejmowania decyzji w sprawie waszych rekomendacji. Zrobiłeś świetną robotę, synu. Wykazałeś się prawdziwą odwagą, charakterem i inteligencją. Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Do diabła, ja też jestem z ciebie dumny. A teraz nadeszła pora na kilka wskazówek poza protokołem. Jesteś gotów?

— Tak jest, sir.

— Ile przypadków morderstwa stwierdziliście?

— Dziesięć można tak zakwalifikować, sir. Oskarżać będziemy tylko jednego człowieka.

— A więc jednego, tak? Starszego sierżanta François Perrite'a?

— Tak jest, sir.

— A zatem oprócz Perrite'a żaden inny członek oddziału nie zostanie oskarżony o popełnienie ciężkiego przestępstwa. Chodzi mi o to, że moglibyśmy skazać Sancheza za poważne zaniedbanie obowiązków, ale czego tym dowiedziemy? Ten człowiek już i tak postradał zmysły. Moglibyśmy skazać kilku innych za błędy w ocenie sytuacji, ale wtedy wyjdziemy na takich, którzy się mszczą. Pozostaje więc kwestia spisku i krzywoprzysięstwa w celu utrudniania śledztwa. A jeśli tak, to będzie pan musiał wnieść setki wniosków oskarżających aż do samej góry. Czy dobrze wszystko zrozumiałem, majorze?

— Tak jest, generale. To wyczerpujący opis sytuacji.

Partridge odchylił się na krześle.

— Obecni tu Tretorne i Murphy powiedzieli ci, że jeśli chcesz ogłosić całą sprawę publicznie, masz wolną rękę, czy tak?

— Taka była umowa, generale.

— A umów trzeba dotrzymywać. Od ciebie więc zależy, synu, co teraz zrobisz.

— Dziękuję, sir.

Nagle zachichotał. Ale nie był to wesoły chichot.

— Czy pomyślałeś o tym, co się stanie, jak to ogłosisz?

— Tak, generale. Myślę, że wywoła to duży skandal.

— Drummond, gdyby tylko o to chodziło, nikt z nas nie wchodziłby ci w drogę. Skandale wybuchają i przemijają. Nie sądz, że Tretorne, Murphy lub ja robiliśmy to, by zapobiec skandalowi. Czy w czasie pobytu tutaj odwiedziliście jakieś obozy dla uchodźców?

— Odwiedziliśmy.

Skinął głową z aprobatą.

— To dobrze. W tej chwili mamy około półtora miliona Kosowian w naszych obozach. Półtora miliona ludzi, dla których stanowimy jedyną nadzieję. Ogłosisz wszystko publicznie i cała operacja umożliwienia tym ludziom powrotu do ojczyzny upadnie. I tak już wisi na włosku. Rosjanie oskarżają nas o ludobójstwo. Nasi sojusznicy z NATO nienawidzą nas, że zmuszamy ich do takich akcji. Większość z nich została wciągnięta we wspólne działania. Wystarczy, że dowiedzą się, iż prowadzimy ukrytą wojnę lądową, a wycofają się szybciej, niż zdążysz pomyśleć. Włosi nie pozwolą nam używać swoich lotnisk. Może jedynie Brytyjczycy pozostaną z nami, ale cel naszego sojuszu w tym rejonie przestanie już istnieć. Czy sądzisz, że Kongres zgodzi się na naszą obecność tutaj? Bo ja nie. Może to nawet doprowadzić do rozpadu NATO.

Słuchałem, notując w myślach każde słowo.

— Teraz wszystko jest w twoich rękach, Drummond. Zrób to, co sam uznasz za słuszne. Miloszević ma na swojej liście płac prawdopodobnie tysiące morderców, gwałcicieli i przestępców każdego rodzaju. Większość z nich nigdy nie ujrzy sali sądowej. Więc wytocz sprawę temu jednemu żołnierzowi, sierżantowi Perrite, a jego los zaważy na losie półtora

miliona Kosowian. Sam zdecyduj, czy nagłośnienie tej sprawy nie przyczyni się do triumfu Miloszevicia. Sam zdecyduj, czy jesteś skłonny zniszczyć życie milionów ludzi, abyśmy mogli ukarać jednego człowieka za to, że pozbawił życia mordercę, który i tak zasługiwał na śmierć. Pomyśl, czy można stawiać po dwóch stronach los półtora miliona ludzi, pozbawiając ich nadziei na własny kraj, oraz bandyty zwanego Młotem?

Potem Partridge wstał i wyszedł z pokoju bez słowa. Do dzisiejszego dnia uważaliśmy z Morrow, że oto podjęliśmy szlachetną krucjatę przeciw złu. Teraz siedzieliśmy jak przytwierdzeni do krzeseł, zbyt oszołomieni, by wykonać jakiś ruch. Pozostali mężczyźni obserwowali nas.

Otrząsnąłem się i rzekłem:

— Panowie nam wybaczą, ale kapitan Morrow i ja musimy porozmawiać na osobności.

Przed opuszczeniem pokoju odwróciłem się i spojrzałem na generała Murphy'ego. Patrzył mi prosto w oczy i wiedziałem, że nie poczuwa się do najmniejszej winy lub wstydu. Razem z Treborne'em udało im się jeszcze raz mnie pognębić. Chyba rzeczywiście zawarłem pakt z diabłem.

## ROZDZIAŁ 11

Bywają w życiu takie chwile, że zrobienie rzeczy złej może się okazać jedynym dobrym wyjściem z sytuacji. Czasem jest pewnie odwrotnie. Sam nie wiem. Jeszcze nie miałem możliwości przeprowadzenia dłuższych badań na przetestowanie tej teorii.

Rozejrzałem się po sali sądowej i wiedziałem, że czeka mnie ciężka praca. Dziesięciu członków trybunału wojennego utkwilo wzrok w przedstawicielce obrony, która ku mojej konsternacji bardzo wprawnie radziła sobie z mową wstępną, opartą na jakichś nedorzecznych argumentach. Odwróciłem się i popatrzyłem na moją starszą asystentkę, Imeldę Pepperfield. Wzruszyła tylko ramionami i poprawiła okulary w cienkich złotych oprawkach. Pod tym adresem nie miałem co liczyć na współczucie.

Uważałem, że sprawa jest całkowicie dopięta. Fakty były wyjątkowo proste i oczywiste. Sierżant przydzielony do jednej z „czarnych” jednostek armii został przyłapany na nielegalnym korzystaniu z karty kredytowej.

Na jego i rządu nieszczęście była to karta Visa należąca do armii. Sierżant zafundował sobie samochód, aparat z wysuwającym obiektywem, nieco drogich ubrań, a nawet kije golfowe. Nadużycie wykrył jego dowódca. Mój miesięczny pobyt w Kosowie opóźnił przygotowania do tej sprawy, ale i tak mi ją przydzielono.

Sprawa dopięta, prawda? Już sam rodzaj kupionych rzeczy świadczył na niekorzyść oskarżonego. Pozostało tylko wyjaśnienie tego trybunałowi. Wszystkich jego członków wybierano z „czarnej” jednostki. Dla obrońców często był to koszmar, ponieważ ci od „czarnej” roboty byli zwykle nieprzyjemni i zawzięci.

Niestety, prawniczka reprezentująca obronę nie chciała się zgodzić na mój scenariusz poprowadzenia sprawy. Twierdziła, że jej biedny klient podejrzewał dwóch oficerów w swojej jednostce o działalność szpiegowską i te wszystkie zakupy miały mu posłużyć do działań maskujących, dzięki którym zamierzał udowodnić ich winę. Dowodziła, że dwaj domniemani szpiedzy spotykali się raz w miesiącu ze swoim zagranicznym kontaktem na polu golfowym i grali w triplecie. Tam właśnie dochodziło do wymiany informacji i zapłaty za nie. Dalej, jej zdaniem, klient kupił nowy samochód, ponieważ w swoim własnym zostałby bez trudu rozpoznany. Sztuczne wąsy i peruka miały dopełnić przebrania. A aparat z zoomem 400X? No, a jak miał udokumentować przekazywanie pieniędzy i informacji?

No i czy to była sensowna linia obrony? W całej mojej prawniczej karierze nie słyszałem czegoś podobnego. Niestety, członkowie trybunału pozostawali pod urokiem ujmującego spojrzenia pani adwokat, nie wspominając o innych jej urokach. Takiej linii obrony sprzyjała jedna rzecz. Trybunał mógł ją zaakceptować właśnie dlatego, iż argumenty brzmiały tak jaskrawo nedorzecznie, że aż mogły przybrać pozór prawdopodobieństwa.

Lisa Morrow skończyła i posłała członkom trybunału jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów. Trzepot ich serc można było niemal usłyszeć. A potem uśmiechnęła się do mnie. Ale to już był całkiem inny uśmiech. Uśmiech lwicy, która się oblizuje po wspaniałej uczcie. A może raczej przed wyjątkowo smaczną ucztą.

Zdecydowaliśmy wspólnie, że nie będziemy rozgłaszać publicznie sprawy Sancheza. Nie mogliśmy stawiać na szali losu jednego człowieka przeciwko losowi prawie dwóch milionów zagubionych ludzi.

Clapper hojną ręką przesunął nam termin przedłożenia raportu o kolejne trzy dni. Napisaliśmy na nowo cały elaborat, oczyszczając Sancheza i jego ludzi ze wszystkich zarzutów. Poszliśmy na całego w tym wybielaniu ich win. Serbowie zwołali wielką konferencję prasową, na której skarżyli się, że cały oddział zginął od strzałów w głowę. Nikt nie dawał temu wiary, gdyż wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić do kłamstw opowiadanych przez Miloszevicia przez całe lata.



Starszy chorąży Persico dostał następną Srebrną Gwiazdę, a kilku innych członków oddziału Gwiazdy Brązowe. Odbierali je na trawniku przed Białym Domem. Polubiłem Persica, więc to mi nie przeszkadzało. Terry Sanchez trafił na oddział psychiatryczny szpitala wojskowego gdzieś w południowej Wirginii. A sierżant Perrite? Został odwołany z oddziału i pozbawiony zielonego beretu. Był to jeden z dwóch warunków, jakie postawiłem przed przystąpieniem do wybielania na rozkaz rządu. Perrite'owi pozostały jeszcze dwa lata do końca bieżącego kontraktu. Przekonałem ich, by dostał przydział do sekcji rejestracji grobów i przez kolejne dwa lata kopał doły, i wypełniał je ciałami. Może to za mała kara za to, co zrobił, ale kto wie... Może pobudzi jego szare komórki do myślenia.

Czego się nauczyłem? Chyba tego, że Murphy miał rację. Czasami to, co stoi za słowami obowiązek, honor i ojczyzna, może ze sobą kolidować i zmuszać do trudnych wyborów.

Poszedłem też do Clappera i poprosiłem o jeszcze jedną przysługę w zamian za rezygnację z moich niezłomnych jak dotąd zasad. Nasza specjalna jednostka prawna straciła akurat jednego z obrońców i poprosiłem Clappera, żeby przydzielił nam Morrow.

W tej chwili jednak żałowałem tej decyzji. Popatrzyłem na twarze członków trybunału. Niektórzy nadal nie mogli oderwać oczu od kształtnych nóg Morrow. I jak ja mam z nią konkurować? Ręce opadają. Facet kupuje sobie samochód, ciuchy, wymyślny aparat fotograficzny, pełny zestaw golfowy, i wszystko po to, by przyłapać jednego ze swoich oficerów na sprzedawaniu sekretów wojskowych wrogowi? Morrow oglądała zdecydowanie za dużo filmów Olivera Stone'a.

Lecz prawdą było również to, że czułem potrzebę przebywania blisko Morrow. A jej ujmujące spojrzenie okazywało się nawet przydatne od czasu do czasu.

W każdym razie zdążyliście mnie poznać na tyle, by wiedzieć, że łatwo się nie poddaję. Już wkrótce udowodnię ślicznej pannie Morrow, że nie jestem pudleyem. Może nie jest ze mnie humongo, ale na pewno nie pudley. Oczywiście, ujmując rzecz metafizycznie.

## BRIAN HAIG

Romans Briana Haiga z armią amerykańską miał trudne początki. Kiedy autor był nastolatkiem, jego ojciec, Aleksander Haig (późniejszy sekretarz stanu w rządzie Reagana), mógł sobie pozwolić na opłacenie czesnego za studia tylko jednego z dwóch synów. Starszy brat wybrał Uniwersytet w Georgetown, a Brian trafił do West Point za sprawą Wujka Sama. Pierwszy rok był trudny, wyznaje Haig, ale wszystko się zmieniło, kiedy po drugim roku podczas wakacji służył w jednostce stacjonującej w Niemczech. „Tamten pobyt sprawił, że zakochałem się w armii. Nic już nie mogło odciągnąć mnie z West Point. Ten stan trwał do końca mojej służby, całe dwadzieścia dwa lata”. Świetny militarny strateg, rozpoczął karierę jako oficer piechoty, by w końcu zostać specjalnym asystentem przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Na emeryturę przeszedł w randze podpułkownika i rozpoczął pracę nad fabułą swojej pierwszej książki. „Czytałem najpopularniejszych autorów, żeby się dowiedzieć, jak konstruowali takie dobre powieści — mówi Haig. — Największe wrażenie wywarli na mnie John Grisham i Nelson DeMille. Szczególnie podobał mi się gorzki humor, którym przepełnione były ich dialogi”. Haig zachował szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa i rodzina pozostaje w bliskim kontakcie do dziś. Czwórce swoich dzieci Haig zamierza przekazać radę, którą kiedyś zasłyszał od ojca: „Szukajcie pracy, która będzie wam sprawiała przyjemność i w której będziecie dobrzy. Nie upieram się przy tej kolejności”.